

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/203

1964



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. MIEROSZEWSKI :

REFLEKSJE ĆWIERĆWIECZA

Cz. MIŁOSZ :

O POLSKIEJ POEZJI

K. A. JELEŃSKI :

NA MARGINESIE ANTOLOGII

SPIS RZECZY

Redakcja:	„Wyzwolenie”	3
Juliusz Mieroszewski:	Refleksje ćwierćwiecza	5
Witold Gombrowicz:	Dziennik transatlantycki	15
Czesław Miłosz:	O polskiej poezji	23
K.A. Jeleński:	Na marginesie antologii	46
Józef Łobodowski:	O cyganach i katastrofistach (2) ..	59



Jan Krok-Paszkowski:	Bobuś żywy	69
----------------------	------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Czesław Dobek:	O polskich funduszach (dok)	82
Komitet Koordynacyjny Polaków- obywateli brytyjskich:	Oświadczenie	97

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk:	Kronika angielska	99
—	Dalsze echa memoriału „34”	104

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Bogusław Miedziński:	Ciężki rok	108
----------------------	------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

(m. l. d.):	W oczach Londynu	115
J. K.:	Polska muzyka współczesna	121
—	Komunikaty	126
	1) Terminarz uroczystości 20-tole- cia walk I Dywizji;	
	2) Nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego;	
	3) Nagroda poetycka im. Z. Pol- kowskiej-Szkaradzińskiej;	
	4) Subskrypcja na książkę: „John Kennedy and Poland”	

KSIAŻKI

Jerzy R. Krzyżanowski:	Tym co nie zginęli	128
Aleksander Kawałkowski:	O pojednanie polsko-niemieckie ..	135
Michał M. Borwicz:	„...Zabawy, spory w one lata” ..	143
—	Nadane nowości wydawnicze	156



Dr H. von Krannhals, Zb. Jasiń- ski, K.A. Jeleński, H. Noch, M.K. Pawlikowski, R. Retman:	Listy do Redakcji	157
---	-------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1964

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Jan KROK-PASZKOWSKI — urodzony w 1925 roku w Siedlcach. Przeszedł do drugiej klasy gimnazjum, gdy wybuchła wojna. Maturę zdał w konspiracji w Warszawie. Brał udział w powstaniu na Mokotowie. Dostał się do niewoli, uciekł z transportu. Aresztowany w 1945 roku przez U.B. Uciekł z więzienia i wyjechał nielegalnie z Polski. Przyjęty do 2-go Korpusu we Włoszech. W Anglii skończył Szkołę Nauk Politycznych. Od 1952-go roku pracuje jako dziennikarz. Specjalizacja: Wspólny Rynek.

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Wilhelmina Skroczyńska, Brooklyn, NY (USA) dla uczczenia
pamięci poległego w Powstaniu Warszawskim Stefana Bronimira

S. po raz drugi	24,00 F
Dr Jan Dobrucki, Edmonton Alta (Kanada)	45,00 „
Józefa Turska, St. Anne de Belleville, P.Q. (Kanada) po raz ósmy	45,00 „
Kazimierz Zdziarski, Caracas, (Wenezuela) po raz piąty	26,00 „
Anonimowo, Paryż	91,00 „
Wł. Brochwicz (Francja) po raz drugi	9,00 „
Janusz Zembrzuski, Paryż	100,00 „
Rev. Artur Słomka, Ramsey, N.J. (USA) po raz drugi	24,00 „
Aleksander Grzonka, Gossau, St. G. (Szwajcaria) po raz siódmy	22,00 „
Tadeusz Likiernik, Marly le Roi (S.-et-O.)	15,00 „
Marian Jaworski, Chicago Ill. (USA) po raz trzeci	19,00 „
Irena Dyrcz, Gloversville, N.Y. (USA) po raz drugi	24,00 „

DZIĘKUJEMY

„Wyzwolenie”

„W pewnej ograniczonej mierze ludzie przemogli niedostatek łącząc się w grupy społeczne. Owe grupy nie są wynikiem społecznej natury człowieka. Powstały one w konsekwencji „paktów nie-agresji” zawartych pomiędzy naturalnymi rywalami i wrogami w przeświadczeniu, że lepiej jest żyć pracując razem niż umrzeć zwalczając się wzajemnie. Fundamentem grupy społecznej jest lęk a jej więzią zobowiązanie. Zobowiązanie wymuszone jest Terrorem. Przemoc stanowi nerw centralny grupy społecznej. Terror czyni z wszystkich członków społeczności braci, ponieważ zagraża przemocą każdemu, który by zdradził zobowiązanie i postępował nie po bratersku. Terror jest braterstwem”.

Tak mówi Sartre.

Dzięki Sartre’owi stało się zrozumiałe, że może istnieć *liberation* bez *liberty* — by użyć określenia Maurice Cranstona. Wyzwolenie bez wolności. W chwili gdy piszę te słowa w Polsce Ludowej partia obchodzi 20-tą rocznicę tego typu „wyzwolenia”.

I my z naszej strony pragniemy upamiętnić tę rocznicę. Chcemy ocalić przed zapomnieniem nazwiska ofiar Terroru. Chcemy przywrócić historii tych, którym „wyzwolenie” i partia zamknęły usta na wieki.

Naczelnny redaktor „Polityki” Mieczysław Rakowski napisał rocznicowy artykuł pod makabrycznym tytułem: „Plan realizowania marzeń”.

Kto realizował owe marzenia?

W latach 1946-49 — „realizatorów marzeń” chroniło przed polskim społeczeństwem 300.000 żołnierzy sowieckich, 230.000 UBeków i milicjantów oraz 120.000 ORMO’wców dowodzonych przez oficerów sowieckich. W tym okresie więzienia i kazamaty Bezpieki przepełnione były politycznymi więźniami którzy reprezentowali wszystkie klasy społeczne.

Podejmujemy pracę żmudną i obliczoną na długą metę. Apeluujemy najgoręcej do wszystkich Polaków tak w kraju jak i zagranicą, by przekazywali pod naszym adresem wszelkie materiały i dowody dotyczące pomordowanych i zaginionych w okresie 20 lat istnienia PRL. Projektujemy historyczne, naukowe opracowanie wolne od propagandy. Nadsyłane materiały będą publikowane w „Zeszytach Historycznych” poczynając od Zeszytu VI, a następnie ukazać się w wydaniu książkowym w języku polskim i angielskim.

Nie kierujemy się mściwością. Ufamy natomiast, że gdy Słownik Biograficzny ofiar Terroru Polski Ludowej zostanie w pełni opracowany — rzuci nowe światło na genezę rewolucji w Polsce. Narzucona rewolucja w pewnych wypadkach może torować drogę własnej rewolucji. Lecz u nas „realizatorzy marzeń” zdradzili polską drogę do socjalizmu. Realizowali nie polskie marzenia tylko marzenia imperialistów sowieckich.

Ci, którzy zginęli — komunistów nie wyłączając — nie mogli pogodzić się z wyzwoleniem bez wolności.

REDAKCJA

Refleksje ćwierćwiecza

Oto wiersz Anny Achmatowej w przekładzie J. Łobodowskiego:

*„Nie czymś cudzoziemskim niebem
ani pod ochroną obcych sił,
żyłam z moim ludem w dniach potrzeby
tam gdzie, na nieszczęście, lud mój żył”.*

W zrozumieniu wielu Polaków w kraju żyć pod obcym niebem jest sprzeczne z narodowym „ethosem” — a korzystanie z ochrony obcych sił jest po prostu zdradą. Nasz patriotyzm jest miłością do ziemi. Jest to typ patriotyzmu ludzi osiadłych, związanych z rolą.

Wielka Brytania w odczuciu większości Anglików jest jeszcze ciągle imperium. Wszędzie gdzie powiewa Union Jack — czy to będzie Hong Kong czy Aden — jest ta sama whisky, ta sama „way of life”, ta sama polityka wielkobrytyjska. Brytyjczyk swego patriotyzmu nie kojarzy z zagonem kartofli, z łańcem żyta, z dworkiem, z kolumnienkami, z tętentem konia, z muzyką Szopena.

Wielu z nas dokładnie ćwierć wieku temu opuściło Polskę. Choć mam wstręt do rocznicowych artykułów — myślę, że warto zastanowić się nad pytaniem, które nurtuje każdego z nas: czy emigracja polityczna istotnie zawiodła?

Nie ma prostej odpowiedzi na to pytanie. Żłudne są przede wszystkim wszystkie analogie.

Można nam postawić dziesiątki zarzutów. Byliśmy źle przygotowani, źle uzbrojeni, należało powołać koalicyjny rząd obrony narodowej itd. itd. Lecz dla Polski wciśniętej pomiędzy Sowiety i Trzecią Rzeszę — problem sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: czy iść z Rosją czy z Niemcami?

Nie mieliśmy *de facto* ani wyboru ani alternatywy. Nie było bowiem ani Rosji ani Niemiec tylko dwóch psychopatów o nie-

ograniczonej władzy: Stalin i Hitler. Gdyby w 1939 r. w Rosji rządził Chruszczow — należałoby w obliczu hitlerowskiego niebezpieczeństwa szukać porozumienia z Sowietami. Gdyby w roku 1939 w Niemczech rządził Adenauer — należałoby szukać wyrównania stosunków z Niemcami w obliczu niebezpieczeństwa stalinowskiej Rosji. Można porozumieć się z Rosją a nawet z Sowietami, ale nie ze Stalinem. Można porozumieć się z Niemcami, lecz nie z Hitlerem.

Na emigracji poddaliśmy rząd wrześniowy nieubłaganej krytyce. W wielu wypadkach krytyka była słuszna. Lecz na dylemat, który stał przed rządem Polski niepodległej nie wypracowaliśmy żadnej odpowiedzi.

W sprawie Niemiec tak Sowiety jak i mocarstwa zachodnie umocniły status quo. Na 20-letni układ Chruszczow-Ulbricht trzy mocarstwa zachodnie odpowiedziały oświadczeniem, że dołożą wszelkich starań by dopomóc Niemcom w dziele pokojowego zjednoczenia. Powtórzono przy tej okazji tezę poczdamską, że o finalnym wytyczeniu granic zadecyduje traktat pokojowy.

Czy to oznacza, że sprawę Niemiec pogrzebano na dwie dekady w cichej nadziei, że rozładuje się samoczynnie? Nie podzielałam tych optymistycznych przypuszczeń. Zachód i Wschód prowadzą w sprawie niemieckiej niebezpieczną grę. W praktyce bowiem tak układ Chruszczow-Ulbricht jak i deklaracja trzech mocarstw — oznaczają, że problemu niemieckiego nie będzie się dyskutować w okresie odprężenia. Chruszczow podpisując układ z Ulbrichtem pragnął dać do zrozumienia Amerykanom, że jeżeli cenią sobie odprężenie z Moskwą — muszą zrezygnować z forsowania sprawy Niemiec. Sądząc z komentarzy prasowych intencję Chruszczowa odczytano właściwie. Deklaracja mocarstw zachodnich była tylko gestem mającym na celu uspokojenie opinii niemieckiej.

Niebezpieczeństwo wyżej naszkicowanej gry polega na tym, że problem niemiecki nie będzie negocjowany w atmosferze względnego odprężenia tylko wybuchnie z całą siłą w momencie kryzysu.

Na dylemat Września nie znaleźliśmy żadnej odpowiedzi. Powtarzamy frazesy o niepodległości podobnie jak rządy sanacyjne. Doprowadziło to do intelektualnej dewaluacji idei niepodległości. Szanujący się pisarz, poeta, eseista — unika tego tematu, który jest zgraną płytą znaną z rocznicowych akademii i z drętwych przemówień starszych panów stojących jedną nogą w grobie.

Koncepcja niepodległości wymagałaby radykalnej rewizji, lecz boimy się utraty symboli, bo tylko symbole definiują naszą tożsamość. Jeżeli nie orzeł w koronie — to jakaż będzie różnica pomiędzy nami a „nimi”? Jeżeli nie suwerenność przedwrześniowa — to gdzież grunt pod naszymi nogami?

Tradycja jest dla nas tylko przeszłością, lecz i współczesnością. Na emigracji nie byt określa świadomość — tylko przeszłość określa świadomość.

Idea niepodległości nie może być abstraktem zawieszonym w powietrzu. W przeszłości wehikułem idei niepodległości były partie polityczne. Piłsudski był socjalistą, który „wysiadł na przystanku Niepodległość”. Istotne jest jednak, że nie wysiadł wcześniej.

Zadna z tzw. historycznych partii, reprezentowanych na emigracji — nie jest i nie może być wehikułem idei niepodległości w tym sensie w jakim był socjalizm za czasów młodości Piłsudskiego.

Partie historyczne utraciły związek z rzeczywistością. Socjalizm demokratyczny z całą pewnością w Polsce ma ogromną przyszłość. Nie oznacza to jednak by tradycyjna, historyczna PPS mogła dziś przerzucić most porozumienia pomiędzy emigracją a krajem. Przyszły socjalizm polski nawiąże do rewizjonizmu, a nie do tradycji PPS. Pokolenie robotników i działaczy politycznych związanych z tradycją PPS jest na wymarcu.

O rewizjonizmie pisano na emigracji wiele i mętnie. Wszystkim, którzy poważnie interesują się tym tematem polecam studium Zbigniewa Jordana pt. „The Philosophical Background of Revisionism in Poland”. Praca powyższa jest dostępna obecnie w wydaniu książkowym („Political Thought Since World War II” — edited by W.S. Stankiewicz, Collier-Macmillan, London, 1964).

Polski rewizjonizm może wykazać się bardzo bogatym i oryginalnym dorobkiem intelektualnym. Podkreślam ten moment, bo wydaje mi się, że problem ten wiąże się z wielką naszą przegraną na emigracji.

Jedyną moralno-polityczną legitymacją tych, którzy żyją „pod obcym niebem i pod ochroną obcych sił” jest stwierdzenie: „10-bimy zagranicą to, czego w Polsce robić nie można”.

Gdyby ktoś jednak w Londynie założył koło monarchistów polskich — nie mógłby powołać się na powyższe stwierdzenie. Monarchizm nie jest bowiem związany z rzeczywistością krajową i z polską niepodległością. Podobnie, Rada Trzech i Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego — opierające się na legalizmie 2-giej Rzeczypospolitej — nie są w ścisłym tego słowa znaczeniu instytucjami emigracyjnymi. To są organizacje uchodźców z Polski przed Wrześniową. W kraju bez względu na ustrój i sytuację — nikt nie myśli o restauracji 2-giej Rzeczypospolitej ani w fragmentach ani w całości.

Do czego zmierzają te rozważania? Pragnę wykazać, że emigracja polityczna musi reprezentować aktualne, współczesne prądy polityczne w Polsce, które ze względu na sytuację w kraju nie mogą znaleźć wyrazu ani w słowie ani w czynie. Tylko wtedy ma się prawo uspokoić swoje sumienie stwierdzeniem, że robi się zagranicą to czego w kraju zrobić nie można.

Uchodźcy z 2-giej Rzeczypospolitej święcie wierzą, że mimo upływu 25 lat — gdyby jutro PZPR zapadła się pod ziemię — znikłyby wszystkie bariery oddzielające ich od kraju. W istocie wówczas dopiero uchodźcy mieliby możliwość wymierzenia przepaści wykopanej przez owo ćwierćwiecze.

„Biała Emigracja” reprezentuje ustrój, który nie tylko upadł lecz którego ludność danego kraju sobie nie życzy. Natomiast emigracja polityczna winna reprezentować żywe poglądy i dążenia poważnego odłamu społeczeństwa w kraju. Innymi słowy, emigracja polityczna musi stanowić fragment sił krajowych przetrzucyony zagranicę.

Witos w Czechosłowacji był klasycznym emigrantem politycznym — reprezentował bowiem współczesne dążenia poważnego odłamu społeczeństwa i utrzymywał ścisły kontakt z krajem.

Rewizjonizm dawał nam wielką szansę kontynuowania na emigracji aktualnego ruchu politycznego stworzonego w kraju. Tego zadania nie mógł się podjąć zespół „Kultury”. Nasze pismo mogło tylko służyć ruchowi swoimi łamami wolnymi od cenzury. Ideę rewizjonistyczną winni byli podjąć młodzi polscy socjaliści-intelektualiści (jeżeli na emigracji tacy istnieją).

Polscy socjaliści na emigracji korzystają z pełni swobody, lecz nie wyprodukowali niczego co można by porównać z pracami rewizjonistów krajowych. Celowo nie wymieniam ani nazwisk ani tytułów. Zainteresowany Czytelnik znajdzie w cytowanej pracy Jordana szczegółową bibliografię.

Stworzenie rewizjonistycznego ośrodka zagranicą umożliwiłoby odbudowę — choćby we fragmencie reprezentacyjnego charakteru emigracji.

Po upadku Października rewizjoniści nie emigrowali bo zdawali sobie sprawę, że na obczyźnie nie będą mieli o co zaczepić rąk. Gdyby zagranicą istniał ośrodek rewizjonistyczny utrzymujący kontakt z krajem — sprawy prawdopodobnie ułożyłyby się inaczej.

Piłsudski nim wysiadł na owym „przystanku” reprezentował ideę niepodległości — tak jak ją wówczas rozumiała większość Polaków współcześnie żyjących. Dziś nasi przywódcy na emigracji nie mogą powiedzieć za Piłsudskim, że reprezentują ideę niepodległości tak jak ją pojmują większość współcześnie żyjących Polaków. Mimo upływu ćwierćwiecza nasz model niepodległości jest modelem tradycyjnym, który przyświecał rodzinom 2-giej Rzeczypospolitej.

W przeciwieństwie do lat 1914-18, nikt nie zamierza rozgromić dziś zarówno Niemców jak i Rosjan. Przeciwnie, nasi byli i obecni zaborcy potężnieją z roku na rok. Dla Polski wciśniętej pomiędzy Rosję a Niemcy ideałem byłaby neutralność. Pas neutralny — jeżeli miałby uzyskać zgodę Rosji — musiałby obejmować Niemcy. Status neutralny można było narzucić Niemcom jeszcze 10 lat temu — dziś jest już na to za późno.

Jeżeli nie możemy być neutralni musimy porozumieć się przynajmniej z jednym z naszych sąsiadów. Musimy porozumieć się z Rosją ponieważ należy szukać porozumienia z sąsiadem potężniejszym. Nie możemy porozumieć się z Niemcami ponieważ Federalna Republika zgłasza terytorialne pretensje pod naszym adresem.

Niepodległość w naszym położeniu oznacza stworzenie sytuacji w której porozumienie z Rosją na rozsądnych warunkach byłoby możliwe i osiągalne.

Zarzucamy Gomułce, że w gruncie rzeczy nie dąży do porozumienia z Rosją. Drogi do rzetelnego porozumienia pomiędzy Wielką Brytanią a Indiami nie torowali induscy karierowicze, którzy wystugiwali się imperialistom, lecz drogę tę torowali Gandhi i Nehru, którzy łącznie dziesiątki lat spędzili w więzieniach brytyjskich.

Mocarstwa imperialne porozumiewają się z satelitami tylko wówczas gdy dany rząd satelicki czy kolonialny zdoła wywalczyć dla siebie status partnera. Z satelitą nie ma powodu porozumiewać się — wystarczy przekazywać instrukcje.

Georgiu Dei zdołał w pewnym stopniu uniezależnić się od Sowietów — ponieważ miał za sobą zjednoczoną partię i poparcie znacznego odłamu społeczeństwa rumuńskiego. Gomułka nie może wstąpić w ślady Georgiu Dei — ponieważ nie ma za sobą ani zjednoczonej partii ani poparcia społeczeństwa. Trudno wymagać od Gomułki by uniezależnił się od Sowietów jeżeli Sowiety stanowią jedyne poparcie jakim dysponuje.

Gomułka nie jest ani mężem stanu ani trybunem ludu tylko aparaczykiem. Rozgrywki partyjne i wieczne „kłajstrowanie” frontu partyjnego przysłaniają mu wszystko. Gdyby Gomułka był mężem stanu rozumiałby, że źródłem siły politycznej — nawet w państwie totalnym jest poparcie poważnego odłamu społeczeństwa. Dysponując takim poparciem Gomułka mógłby w pewnej mierze uniezależnić się od Rosji, co w konsekwencji zapewniłoby mu status partnera.

Sytuacja Polski jest paradoksalna. Obiektywnie należy stwierdzić, że niepopularność komunizmu w wydaniu Gomułki utrudnia ewolucję w kierunku niezależności.

Im postawa społeczeństwa w stosunku do partii i jej przywódców jest bardziej wroga — tym poparcie sowieckie dla Gomułki jest bardziej nieodzowne.

Odpowiedzialność za obecną sytuację ponosi nie tylko Rosja. Istnieją różnorakie możliwości niewykorzystane. Gdyby Polska posiadała komunistycznego męża stanu, który dorastałby do swego zadania — PRL mogłaby mieć pozycję i status wręcz wyjątkowy.

Administracja Gomułki boi się odwilży — gdyż liberalizacja wydobyłaby na powierzchnię opozycję. Panowie w KC nie zdają sobie sprawy z faktu, że tłumiąc rewizjonizm reprezentujący postęp w ramach socjalizmu — ureakcyjniają społeczeństwo. Jeżeli nie mają racji ci, którzy wierzyli w ewolucję komunizmu — muszą mieć rację ci, którzy głoszą konieczność likwidacji komunizmu. I to stanowi mechanizm owej ponurej karuzeli, której Gomułka nie umie zatrzymać. Dokręcanie śruby ureakcyjnia społeczeństwo — koniunkturalna odwilż ujawnia owe siły reakcyjne, co z kolei powoduje dalsze dokręcanie śruby i tak w kółeczko. Ten proces z budową socjalizmu ma zaiste nie wiele wspólnego.

Na polityczną siłę Gomułki i jego administracji składają się trzy elementy: 1. poparcie Sowietów, 2. rewizjonizm Niemiec, 3. dezorientacja znacznego odłamu społeczeństwa w kraju.

Komentarza wymaga tylko punkt trzeci. Tak w kraju jak i na emigracji znaczny procent Polaków nie wierzy w ewolucję komunizmu. Gomułka i jego aparczycy starają się umacniać społeczeństwo w tym przekonaniu. Na IV Zjeździe PZPR powiedziano (Ryszard Strzelecki), że ci którzy głoszą potrzebę reform lub ulepszania socjalizmu identyfikują się z agenturami obcych interesów.

Polacy, którzy odcinają się od ewolucjonizmu i są za likwidacją komunizmu — *de facto* popierają Gomułkę. Likwidacja komunizmu — w okresie który można objąć analizą polityczną — jest propozycją nierealną. Likwidatorzy dostarczają natomiast Gomułce argumentu dla jego polityki satelickiej. Odgrywają na wewnątrz identyczną rolę jaką na zewnątrz odgrywają rewizjoniści niemieccy. Niemiecki rewizjonizm terytorialny usprawiedliwia podporządkowanie się Rosji jako gwarantce granic — likwidacyjne opinie poważnego odłamu społeczeństwa usprawiedliwiają rządy „silnej ręki”.

Pamiętajmy, że dla Gomułki i jego aparatu komunizm jest wyłącznie i jedynie problemem władzy. Ci panowie wolą być przy władzy w antyliberalnym satelickim państwie niż na emeryturze w niepodległej demokratycznej Polsce. Są przeciwnikami ulepszania socjalizmu bo podejrzewają nie bez racji, że wszelkie ulepszanie socjalizmu musiałoby się zacząć od wywiezienia na taczach pp. Strzeleckich, Kliszków itd.

Ci, którzy nie wierzą w możliwość ewolucji komunizmu (likwidatorzy) — w kraju przyjmują postawę bierną, a na emigracji ograniczają się do działalności propagandowej. Likwidatorzy są reakcyjni i politycznie jałowi. Dla komunizmu nie przedstawiają żadnej groźby.

Może jeszcze raz warto podkreślić, że ewolucjoniści wychodzą z założenia, że dla Polski i innych krajów Europy wschodniej — nie ma odwrotu od socjalizmu. Nie ma odwrotu od socjalizmu choćby z tej przyczyny, że nie ma powrotu do kapitalizmu.

W kraju mamy konserwatystów-komunistów z Gomułką na czele a na emigracji konserwatywną, historyczną PPS. Ewolucjoniści nie podpisują się pod żadnym tradycyjnym programem. Sądzą natomiast, że jest rzeczą możliwą unowocześnienie i zliberalizowanie współczesnego ustroju PRL. Wierzą również, że jest rzeczą możliwą zastąpienie statusu kolonialnego PRL statusem partnera.

W ramach obecnego układu w wschodniej Europie nie ma miejsca na Polskę typu 2-giej Rzeczypospolitej. Lecz niewątpliwie jest miejsce na państwo socjalistyczne znacznie bardziej nowoczesne i liberalne niż PRL. Polska — największy z krajów satelickich — nawet w obecnej sytuacji nie musi zadawałać się statusem kolonialnym. Bez ryzyka wojskowej interwencji można by wydatnie poszerzyć zakres niezależności, gdyby była po temu wola i siła.

Polską bynajmniej nie musi rządzić Gomułka i miernoty, które go otaczają. Polską mógłby rządzić przywódca, który wykrzystałby w pełni poszerzający się stale margines możliwości politycznych. Unowocześniając model polskiego socjalizmu i gruntując maksimum państwowej niezależności osiągalnej w danych warunkach — przywódca o którym mówimy zdobyłby to, czego Gomułce nie dostaje tzn. aktywne poparcie społeczeństwa. Socjalizm przestałby być obcą doktryną narzuconą z zewnątrz, forswaną przez rząd, który czerpie swą władzę z zewnątrz i stałby się polską polityką popieraną przez znaczny odłam społeczeństwa.

Gomułka i jego aparat robią obiektywnie antysowiecką i antyrosyjską robotę. Rosjanie pogodzili się z titoizmem — i pogodziliby się z polskim modelem, gdyby polski model istniał. Dziś Rosjanie pogodziliby się z wieloma rzeczami na które nigdy nie zdobyłby się Gomułka.

Rosjanie, zwłaszcza inteligencja rosyjska, nie zdają sobie sprawy z niepopularności Gomułki. Wiem od Polaków krajowych, którzy niedawno odwiedzali Związek Sowiecki, że wśród kół inteligencji rosyjskiej w Moskwie i w Leningradzie panuje przekonanie, że pierwszy sekretarz cieszy się entuzjastycznym poparciem narodu polskiego. Byłby czas rozwiać te złudzenia. Gomułka i jego aparat nie mają żadnej szansy rozładowania uczuć antyrosyjskich w kraju. Przeciwnie, pogłębiają te nastroje i umacniają. I w tym sensie administracja Gomułki jest *de facto* czynnikiem antyrosyjskim.

Za całą ciasną bezduszość gomułkowskiego modelu Polacy winią Rosjan. Polska w systemie sowieckim zajmuje kluczową pozycję. Związek Sowiecki jest dziś w trudnej sytuacji i Rosjanie poszliby na wielkie ustępstwa gdyby ktoś tych ustępstw się domagał. Lecz Gomułka boi się ustępstw — boi się nawet tej liberalizacji jaką na pewnych polach obserwujemy w Sowietach. Chruszczow nie jest niczym „podopiecznym” i w niepomiernie większym stopniu niż Gomułka cieszy się poparciem swojego społeczeństwa. Z tych przyczyn Chruszczow przeżyłby kontrolowaną odwilż — natomiast Gomułka wie, że w Polsce poważniejsza odwilż mogłaby się stać grobem jego kontroli.



Emigracja w płaszczyźnie politycznej zawiodła ponieważ nie potrafiłmy idei niepodległości przełożyć na język drugiej połowy 20 wieku. W Polsce Ludowej nie ma warunków ani możliwości wypracowania projektu modelu społeczno-politycznego, który mógłby liczyć na poparcie społeczeństwa. Model o którym mówimy musiałby — w oparciu o szczegółową analizę sytuacji krajowej stanowić sumę reform i korektur możliwych i osiągalnych na drodze stopniowej ewolucji. Wypracowanie takiego modelu — przy współdziałaniu ludzi z kraju — było i jest podstawowym zadaniem emigracji politycznej.

Dlaczego zawiedliśmy na tym polu. Odpowiedź jest jasna i prosta. Realistyczny model musiałby zawierać sumę przemian z którymi znaczny procent emigracji nie zdołał się jeszcze pogodzić.

Podział pokoleniowy odgrywa na emigracji niewspółmiernie większą rolę niż w jakiegokolwiek innej społeczności. W sensie polityczno-reprezentacyjnym rządzi nami pokolenie gospodarzy 2-giej Rzeczypospolitej. Mianem tym obejmuję zarówno członków byłego obozu rządowego jak i członków byłej opozycji. To są ludzie w wieku 64-74 lat, którzy opuścili Polskę w pełni uformowani i dojrzały. Dla większości tych ludzi dzieje 2-giej Rzeczypospolitej zamykają okres ich szczytowych osiągnięć — byli ministrami, wojewodami, przywódcami partyjnymi, dowódcami jednostek w wojsku polskim itd. Pokolenie gospodarzy Polski przed-Wrześniowej stworzyło uchodźcze instytucje, które stanowią nostalgiczną projekcję 2-giej Rzeczypospolitej. Orzeł w koronie, Prezydent RP, Rada Trzech pełniąca funkcje prezydenta RP itd. To jest zrozumiałe i ludzkie i dopóki ci panowie żyją nic się w tej materii nie zmienia.

Najbardziej dynamiczne na emigracji jest pokolenie średnie. Przez średniaków rozumiem emigrantów, którzy opuścili Polskę w wieku 24-34 lat. Średniacy są Polakami z urodzenia i z wykształcenia lecz przeszłość nie obciąża ich w tym stopniu jak pokolenia gospodarzy. W Polsce byli za młodzi by coś znaczyć i za młodzi by ponosić poważniejszą odpowiedzialność. Intellektualnie najwartościowszy element tego pokolenia zasiłił obce uniwersytety, stacje naukowe, instytuty sowietoznawcze itd. Ludzie ci są w znacznym stopniu uformowani na obczyźnie. Niemal każdy z nich może powiedzieć za piszącym te słowa, że dłużej mieszka w Londynie niż w jakimkolwiek mieście polskim. W innym wypadku będzie to Paryż, Nowy Jork, Chicago czy Toronto.

Pod adresem tego pokolenia, do którego sam przynależę — wysunąć można najpoważniejsze zarzuty. Indywidualne osiągnięcia średniaków są często wybitne — Miłosz, Herling-Grudziński, Zbigniew Jordan i dziesiątki innych. Lecz średnie pokolenie — poza paryską „Kulturą” — w sensie emigracyjno-politycznym nie stworzyło niczego.

Weźmy dla przykładu sowietoznawstwo. Na emigracji mamy dwa typy specjalistów w tej dziedzinie. „Niezłomnych” i zgorzkniałych propagandzistów (starsze pokolenie) i obiektywnych naukowców typu amerykańskiego (średnie pokolenie).

Jeżeli J.B. Thompson na łamach „East Europe” opisuje sytuację w Polsce — oczekujemy od niego wyłącznie znawstwa przedmiotu i obiektywnej analizy. J.B. Thompson nie jest politycznym emigrantem, nie jest stroną w sporze — jest cudzoziemskim specjalistą i na tym koniec. Jeżeli jednak Polak przyjmuje analogiczną postawę i analizuje przemiany w Polsce z punktu widzenia niezaangażowanego cudzoziemskiego naukowca — przestaje być politycznym emigrantem.

Autor piszący po angielsku dla zachodniego czytelnika jest negatywnie zaangażowany — to znaczy — przestrzegając norin

obiektywnej analizy nie ukrywa swego ujemnego stosunku do komunizmu. Od autorów anglosaskich nie oczekujemy pozytywnego zaangażowania, ponieważ Amerykanin czy Anglik nie może pisać „recept” politycznych dla narodu polskiego. Współczesna problematyka polska, a tym samym i polskie interesy — dla cudzoziemskiego specjalisty są tylko *przedmiotem* badania — nigdy *podmiotem* jego działalności.

Tym różni się paryska „Kultura” jako instytucja polityczna od obcych sowietoznawczych ośrodków i organizacji. Polskie sprawy i interesy określają naszą działalność polityczną, a nie stanowią tylko obiektu badań i analizy. To jest nasz kraj i nasz naród — podmiot a nie przedmiot. Różnica kardynalna i decydująca.

Paraliżująco działają rozproszenie emigracji i brak pieniędzy. Lecz to nie są istotne przyczyny. Istotną przyczyną jest przesuwanie się owej granicy, która oddziela politycznego emigranta od obywatela obcego polskiego pochodzenia. Owa granica przebiega pomiędzy podmiotowym i przedmiotowym pojmowaniem polskości. Podmiotem lojalności naturalizowanego Amerykanina polskiego pochodzenia, zgodnie z jego przysięgą są Stany Zjednoczone. Polska może natomiast stanowić przedmiot jego głębokiej troski. Jestem jak najdalej od niedoceniań zasług Polaków obywateli obcych, a zwłaszcza obywateli amerykańskich. Niemniej są sprawy, w których emigranci polityczni są nie do zastąpienia ponieważ owe sprawy mogą być podjęte wyłącznie przez polskich obywateli. Tylko emigranci polityczni stanowiąc fragment żywych sił narodu — mają tytuł i prawo do reprezentowania dążeń i ruchów politycznych prześladowanych w kraju. Roli opozycji w stosunku do rządu PRL nie mogą pełnić Polacy, obywatele państw obcych — choćby najbardziej zasłużeni. Tylko emigranci polityczni mają prawo i obowiązek wypracowania alternatywnego modelu ustrojowo-politycznego, który stanowiłby punkt krystalizacyjny dla sił opozycyjnych w Polsce.

W kraju obserwujemy odpływ naporu, zniechęcenie i bierność. Podtrzymywać opór można tylko formułując cel — choćby odległy, lecz osiągalny. Podtrzymywać opór oznacza nie tylko podsycać ferment, lecz również kierować dyskusją nad reformą i przebudową.

Wystarczy przeczytać „List do Przyjaciół” („Kultura”, nr 201/202), by zdać sobie sprawę z nieopisanych trudności na jakie napotykać ci, którzy usiłują zastanawiać się i dyskutować nad współczesną problematyką w kraju. Tym ludziom nic nie zależy by o ich sprawach napisano jeszcze jeden uczony „paper” w takim czy innym cudzoziemskim ośrodku sowietoznawczym. Autorzy cytowanego listu pragnęliby natomiast przedyskutować z nami problemy, które ich nurtują. Lecz niestety ci z nas, którzy posiadają przygotowanie i wiedzę umożliwiającą rzeczową analizę poruszonych zagadnień — traktują ludzi po tamtej stronie

barykady za „szczury laboratoryjne”, a nie za rodaków-partnerów w dyskusji.

Emigracja może się poszczycić znacznymi osiągnięciami w dziedzinie literatury, kultury, nauki. Politycznie z nielicznymi wyjątkami — nie umiała jednak wyjść poza ramy 2-giej Rzeczypospolitej, która dla Polaków w kraju jest równie egzotyczna, jak PRL dla większości emigrantów.

Juliusz MIEROSZEWSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Dziennik transatlantycki

Wylądowałem na lotnisku Tegel w Berlinie rok temu, szesnastego maja.

Profesor von Bomhard, przedstawiciel Fundacji Forda, umieścił mnie wraz z walizkami w samochodzie, pięknym, czarnym, i wiozł przez miasto. Ja — jedna walizka więcej. Którą wylądowano przed budynkiem jakimś, gdzieś w parku, winda, korytarz, pokój duży z oknem ogromnym, schody z tego pokoju na górę gdzie drugi pokój, balkon, łóżko, szafa, rozpakowywanie, stół.

Wyszedłem na balkon: klocki prostokątne domów piętnastopiętrowych w zieleni, miasto-ogród. Pławiłem się w tych przestrzeniach po hotelowej klitce paryskiej.

Ingeborg Bachmann, poetka z Austrii, też zaproszona przez Forda i mieszkająca w tejże Akademii der Künste, była pierwszą osobą z którą się zaprzyjaźniłem. Spacerowaliśmy, oboje nieco zdziwieni, czy oszołomieni tą wyspą (na komunistycznym oceanie), a może czymś innym, nie wiele widzieliśmy, prawie nic, przypominam sobie, że zdumiewało mnie bezludzie w Berlinie, gdy gdzieś w oddali ktoś się pojawił, wykrzykiwaliśmy „o o, człowiek na horyzoncie!”. W obcych, odległych miejscach napadała niejaka trudność widzenia, rozeznania... dotyczy to przede wszystkim miejsc niezwykłych, egzotycznych... pamiętam, mnie kiedyś na górnej Paranie księżyc w pełni podlażył przed sam nos, na odległość kilkunastu kroków, daremnie szczypałem się, bania świetlna nad wodą była tuż, tuż, i był to księżyc, i żebyś nie wiem ile wysiłku włożył w tłumaczenie sobie, że to nie tak, jednak to było tak... otóż ta trudność rozeznania, towarzysząca nam zresztą wszędzie, w domu własnym, w pokoju, staje się natarczywsza, gdy jedna, lub więcej anomalii, nadadzą miejscu charakter czegoś za-

szyfrowanego. Dlaczego Berlin wydał mi się w tych pierwszych dniach prawie pusty? Mieszkalem w dzielnicy parkowej, ale obwiedzono mnie także po centralnych ulicach. Nie rozumiem. Fata morgana. Po tygodniu spostrzegłem, że jednak sporo jest ludzi w Berlinie.

Po rozgardiaszu paryskim — błogi spokój, błoga cisza. Wi-legiatura. Przechadzam się w słońcu majowym po Tiergarten i mrużę oczy. Nic naglącego do roboty, poza kilkoma wizytami — potem prof. Höllerer wioził pannę Bachmann i mnie nad jezioro Wansee, gdzie nas filmowano. Kilka wywiadów. Wakacje. I za-stygnięcie tego, co za mną, Argentyna, podróż, Paryż, wszystko uspięne...

Ale wtedy zaleciały mnie (gdym spacerował po parku Tiergarten) pewne wonie, mieszanina z ziół, z wody, z kamieni, z kory, nie umiałbym powiedzieć z czego... tak, Polska, to było już polskie, jak w Małoszycach, Bodzechowie, dzieciństwo, tak, tak, to samo, przecież już niedaleczko, o miedzę, ta sama natura... którą ja porzuciłem przed ćwierć wiekiem. Śmierć. Zamknął się cykl, powróciłem do tych zapachów, więc śmierć. Śmierć. W rozmaitych okolicznościach spotykałem się ze śmiercią moją, ale zawierało się zawsze w tych spotkaniach jakieś rozminięcie, dające perspektywę życia, tymczasem w Tiergartenie doznałem śmierci wprost — i od tej chwili ona mnie nie odstępowała. Nie trzeba było ruszać się z Ameryki. Dlaczego nie rozumiałem, że dla mnie Europa musi być śmiercią? Wszak dla człowieka, jak ja, dla kogoś w mojej sytuacji, wszelkie zbliżanie się do dzieciństwa i młodości musi być zabójcze — i choć nieraz potem „dzi-wiłem się”, że coś tak wątego, jak woń, mogło znieśc tak radykalnie wykończyć mi życie, to przecież odtąd śmierć co chwila przysiadła mi na ramieniu, niczym ptak, w ciągu całego pobytu w Berlinie.

A jednocześnie okres argentyński — zakończony — nabierał blasku mitologicznego. Odnawiałem w pamięci chodząc po Tiergarten moment niesamowity, gdy ja, Polak z roku 1939-go, znalazłem się w Argentynie, sam, sam, na lądzie zgubionym w oceanach, jak rybi ogon sięgający południowego bieguna, och, samotność Argentyny na mapie, jej zatracenie się w wodach, jej zepchnięcie w dół, zatonięcie w odległościach... Sam, zgubiony, odcięty, obcy, nieznan, utopiony. Jeszcze mi rozrywały bębni gorączkowe wrzaski głośników radiowych, dręczył wojenny ryk gazet, a już zanurzałem się w mowę niezrozumiałą i w życie tak temu odległe. Co się zowie niesamowity moment. Cisza, jak w lesie, że słyhać nawet brzęczenie muszki, po huku lat ostatnich przedziwna muzyka — i w ciszy, wypełniającej, przepełniającej, zaczynają dochodzić mnie dwa słowa wyjątkowe, jedyne, szczegól-

ne: Witold Gombrowicz, Witold Gombrowicz. Ja do Argentyny wyruszyłem przypadkiem, na dwa tygodnie tylko, gdyby zrządzeniem losu wojna nie wybuchła w ciągu tych dwóch tygodni, wróciłbym do Polski — ale nie ukrywam, że gdy klamka zapadła i zatrzasnęła się nade mną Argentyna, to było, jak bym siebie samego na koniec usłyszał.

Dwadzieścia cztery lata tego wyzwolenia z historii. Buenos Aires — sześciomilionowy obóz, koczowisko, imigracja z całej kuli ziemskiej, Włosi, Hiszpanie, Polacy, Niemcy, Japończycy, Węgrzy, przemieszane, tymczasowe, z dnia na dzień... A rdzenni Argentyńczycy mówili swobodnie „que porqueria de pais” („świński kraj”) i ich swoboda brzmiała zachwycająco po duszącej furii nacjonalizmów. Rozkoszą było, w tych pierwszych latach, nic nie wiedzieć o Argentynie, nie znać się na partiach, programach, przywódcach, nie rozumieć gazet, żyć jak turysta. Jeżeli ta turystyka mnie nie wyjałowiła, to dlatego iż, szczęśliwym trafem, jako człowiek pióra nawykły do posługiwania się formą, mogłem przedsięwziąć kształtowanie mojej osoby z tej nowej pozycji, w tej sytuacji... ale czyż Argentyna nie leżała w moich przeznaczeniach gdyś, dzieckiem w Polsce, robił co mógł żeby nie maszerować w takt marsza na defiladzie?

Błogosławieństwo wód olbrzymich, rozbełtanych w wieczności, które mnie oddzielały od europejskiej historii! Aż tu naraz... powrót, przerzucenie się do Europy i to jeszcze w jej punkt najbardziej zboczony historią, w miejsce najbardziej bolesne. Do myślałem się teraz, wiedziałem, że to wszystko nie pójdzie gładko, w ogóle cała ta moja podróż do Europy od pierwszej chwili stała się czymś o wiele bardziej niebezpiecznym, niż mogłem być przypuszczać, gdyś w Buenos Aires zamykał walizki. Coś bardzo rozpaczliwego domieszało się do tej podróży. Ale któż mógł wiedzieć, że mnie śmierć zaskoczy w Tiergartenie. Błaga? Frazes? Owszem, błaga i frases, ale z tych co to nie popuszczają... gdy raz się uczepią...



Przeżuwałem jeszcze Paryż, myślałem o Sartrze.

Któryż jest bardziej prowokacyjny — Sartre czy wolterowski Pangloss? To trochę tak, jakby dym, bijący ze zgliszcz i krematoriów, wzniósłszy się na stosowną wysokość, nakreślił w powietrzu słowo „wolność”.

Mniejsza o wojny i kacety — taka proklamacja wolności byłaby prowokacją zawsze i wszędzie. Wmawiać nam, że jesteśmy wolni, nam, ofiarom, męczennikom, niewolnikom, po uszy w cho-

robach, nałogach, żądzach, zawsze, w kieracie, w znoju, w strachu, zagonionym, zahukanym? Doświadczamy najohydniejszej niewoli od wczesnego ranka do późnego wieczora... a tu „wolność”! Pogłębia krwawą ironię, że myśl najbardziej sprzeczna z naszym codziennym doświadczeniem, okazuje się wcale dorzeczną i płodną w rozmaitych swoich konsekwencjach.

Czy jednak filozofia, której punktem wyjścia jest świadomość, może mieć wiele wspólnego z egzystencją? Przecież świadomość, jako taka, jest czymś dla życia obojętnym. Życie zna tylko kategorie przykrości i przyjemności. Świat istnieje dla nas tylko jako możliwość bólu, lub rozkoszy. Świadomość, póki nie jest świadomością bólu, lub rozkoszy, nie ma dla nas znaczenia. Uświadomiłem sobie istnienie tego drzewa — i cóż stąd? Ani mnie grzeje, ani ziębi. Byt uświadomiony to nie jest żaden byt — póki moja wrażliwość go nie odczuje. Nie byt uświadomiony, a byt odczuty jest ważny. Świadomość tedy musi być świadomością wrażliwości, nie zaś bezpośrednią świadomością bytu.

Ale przykreść (a więc i przyjemność) jest z istoty swojej sprzeczna z pojęciem wolności. Powiedzieć, że zachowujemy jakąś zasadniczą możliwość wolności wobec cierpienia (która byłaby związana z celowością określającą nasz system wartości; i choćby nawet była tylko wolnością „w sytuacji”), to przekreślić w ogóle sens tego słowa. Cierpienie to coś, czego ja nie chcę, co muszę „wycierpieć”, istotny jest tutaj przymus, czyli brak wolności. Trudno o większe przeciwieństwo, niż cierpienie i wolność.

Przyjmując, że punktem wyjścia egzystencjalizmu może być tylko wrażliwość, wykluczam tym samym wszelką filozofię egzystencjalną, będącą filozofią wolności.

Piszę o Sartrze, żeby oderwać się od Berlina. Jasne przecież — nie pisać nigdy „o Berlinie”, „o Paryżu”, a tylko o sobie... w Berlinie i w Paryżu... nie pozwolę mojemu pisaniu odbiec od tematu. Ale, odkąd wyruszywszy z Buenos Aires zaznałem szerokiego świata, coraz mi trudniej skupić się na sobie, ja, Argentyńczyk, skorumpowany Południem, nasiąknięty tamtym słońcem i niebem, spacerujący teraz pod niebiosami, których kształty i światła zostały we mnie zaprzepaszczone... zagłębiam się w krzak, lub w mech, zadumany, podniecony, jak pies węszący... ostre niebo północne z gnającymi chmurami, przestrzeń, czas. Nic nad głową, prócz pędzącej nieskończoności. Pisałem kiedyś, że po przybyciu do Argentyny przeżyłem rodzaj wtórnej młodości, otóż ta wtórna młodość zabiła we mnie jakoś tamtą, pierwszą, polską, tamto wszystko, Bodzechów, Małoszyce, lata szkolne w Warszawie, start literacki, kawiarnie, zostało we mnie wykończone, odpadło. Więc?

Co teraz? Odnajdywać w sobie, oprócz ogromu nieba, cały ten ogrom porzucony, tonąć, roztopiać się, także i w tym?

Tymczasem Berlin jął mi się zarysowywać, jako miasto nie takie znów łatwe...

Nie miałem oczywiście złudzeń co do mojej niemczyzny — ale żeby to miało być aż tak zjadliwie! Ujrzałem zjadliwość, o której mowa, gdy pewien dygnitarz zaprosił mnie na kolację. Doproszono osoby, władające angielskim, gdy dwa języki, których zażywam swobodnie, to hiszpański i francuski. Co pewien czas zwracano się do mnie bardzo uprzejmie, ale kończyło się na mimice. Wtedy jeden z obecnych sięgnął po niemiecką „Ferdydurke”, leżącą na półce, i zaczął czytać niektóre ustępy.

Było to bardzo grzeczne z jego strony. Ale... słyszę, że mówię, to moje słowa... ale nie rozumiem.. Widzę, że mówię i że rozumieją, a ja nie rozumiem... Rozdarcie dziwne, jak gdybym był tylko cielesnym uzupełnieniem tamtego Gombrowicza, napisanego — i wtedy poczułem, że moje istnienie tutaj musi być niepełne i... i... fizyczne raczej. Co mnie przestraszyło. Ale nie o to chodzi, nie o to chodzi. Czy jechać do Polski? Pytanie, które mnie prześladowało już na statku. W Paryżu namawiano, pojedź, co ci szkodzi, zobaczysz ilu masz przyjaciół... I wystarczało zbliżyć się do okna, by niebo północne, ciemne i wrące od chmur, zaczęło napierać, do licha, już prehistoria moja napierała zewsząd, z kolorów, ze sposobu chodzenia, wsiadania do omnibusu, z czapek, z uśmiechu niemieckiego, który sąsiadował o miedzę z uśmiechem polskim. Jechać? Nie jechać? Nie do Polski bym jechał, ale do siebie samego, jakim byłem... i tego nieco się lękałem. To nic, że wszystko tam było poprzewracane do góry nogami i nie do poznania — ja bym odnalazł siebie. Otóż nie mogłem temu sprostać, zanadto wymknął mi się z rąk cały okres argentyński, gdy statek oddalał się od Buenos Aires, zanadto byłem zgubiony... Doskonała okazja, o, pismaki, by zakrzyknąć chórem: — Taki to los emigranta i sobka! Bzdura. To los każdego człowieka w pewnym wieku, któremu życie rozpadło się na dwie części. Zaglądać do tej zmurszałej studni, gdzie bym zobaczył dziesięcioletnią, szesnastoletnią, dwudziestoletnią twarz moją i iść na cmentarz, odkopywać grób, w którym ja leżę... a zarazem witać się z rodziną, z przyjaciółmi, wymieniać poglądy, brać udział w towarzyskich zebraniach?

Zamyślony w tym sensie, pogrążony w tych lękach (bo od kąd opuściłem Argentynę lęk mnie trapił) i z tą śmiercią, napotkaną w Tiergarten, rozpoczynałem mój żywot w Berlinie. Po dwu-

tygodniowym pobycie w Akademii der Künste przeniesiono mnie do wygodnego mieszkania na Hohenzollerndamm. Rozpakowałem się i urządziłem. Poznałem w tym czasie wszystkich prawie czołowych pisarzy i redaktorów (w Berlinie przebywała śmietanka literatury niemieckiej), z którymi, niestety, nie zawsze mogłem się porozumieć. Günter Grass, Peter Weiss, Uve Johnson, moi koledzy po piórze, kiepsko władali językiem francuskim. W ogóle, po ćwierćwiekowej nieobecności Europa wydała mi się wieżą Babel. Bywało, że na obiadach, w których uczestniczyło dziesięć osób, mówiono sześcioma językami. Aeroplany miały ludźmi, znałem takich co mieli po trzy mieszkania, każde w innej stolicy — Rzym, Berlin, Zurych, przypuśćmy — każde na dziesięć dni w miesiącu. Ta Europa nowa, nowoczesna, też była nie do uchwycenia, zanadto rozpędzona, zanadto galopująca, trzymałem ją w rękach, jak bombę, nie wiedziałem co z tym począć. Ale nie o to chodzi, nie o to chodzi. Berlin Zachodni, przedzielony słynnym murem od Wschodniego, liczy sobie nie wiele ponad dwa miliony mieszkańców a zajmuje ogromną stosunkowo przestrzeń, co chwila raczącą parkami, jeziorami, lasami, niektóre dzielnice są tak wsadzone w drzewa, że nie wiadomo, domy, czy las. Miasto-kurort, najwygodniejsze ze wszystkich znanych miast, gdzie samochody suną równo, bez zatorów, a ludzie idą równo, bez pośpiechu, gdzie nie wiadomo prawie co to tłok i duszność. Niezwykła IDYLLA w powietrzu: starsi panowie oprowadzają czule swoje wypielegnowane pieski, schludna pani podlewa w oknie doniczki, samochody zatrzymują się grzecznie na sygnał elektryczny, z uśmiechem wyładowuje paczki robotnik, ktoś zajada ciastko na werandzie kawiarni, dziewczę doskonale wychodowane ogląda wystawę... GRZECZNOŚĆ. W windach nieznajomi wymieniają ukłony i uprzejme słowa. Gdy zapytasz przechodnia o jakąś ulicę, odprowadzi cię do niej nakładając drogi. W rozmowach słyszy się ton wzbudzający zaufanie, jak gdyby kłamstwo, ironia, złośliwość, zostały stąd na zawsze wyświęcone. Niezmierzona POPRAWNOŚĆ ujawnia się w kołnierzykach, krawatach, palcach, paznokciach, butach, w podejżdżaniu taksówek, w załatwianiu klientów, w geście urzędnika na pocztę, wybierającego stosowne znaczki aby je nakleić na twój list. Głęboka MORALNOŚĆ w oczach, ale i w całym ciele, w sylwetce od kapelusza do butów. DOBRODUSZNOŚĆ, SPOKÓJ, ŻYCZLIWOŚĆ przenikają miasto, którego stopa życiowa jest wyższa bodaj, niż w Stanach. PIĘKNOŚĆ niejednokrotnie zagląda ci w oczy, wstrzemięźliwie północna i mocna. W mieście, będącym punktem newralgicznym świata, wyspą, i z murem w dodatku, nie widać prawie policji, kilometrami można chodzić, a żaden mundur się nie nasunie... w tym zielonym kurorcie, w idyllicznym Berlinie... Ale nie o to chodzi, nie o to chodzi. Jadałem ko-

lacje w ogródku restauracji na Fehrbellinerplatz: zacisznie, drzewka, parasole. Wróbelki, których nigdy żaden Niemiec nie przestraszył, siadały mi na stole i wydziobywały z talerza co mogły. Dwie fontanny, rozpapuzione coraz to inną barwą światła, jak dwa bukiety w okręgu stolików, pośród rozhoworu gości, biegania kelnerów. I co pewien czas przychodziła kolej na kolor czerwony, a wtedy mnie w Berlinie niewinnym musiała nasunąć się krew i krew tryskała z ziemi bezlitosnej! Ale nie o to chodzi, nie o to chodzi. Berlin... nie, to nie jest łatwe, może byłoby łatwiejsze gdybym — o, Hamlecie! — złych snów nie miewał. W dobrych sześć miesięcy po tym, gdy mieszkalem na Bartningallee, a śniadanie spożywałem w restauracji na Hansaplatz, doznałem następującej przygody. Na przeciwko, o kilka stolików, siadywał Niemiec, już starszy, z drżącymi rękoma, zapewne emeryt, z kuflem piwa, troszkę może przyćmiony na umyśle, ale wzruszająco towarzyski — pozdrawiał kelnerów, mnie i innych gości z wielką serdecznością, wykorzystywał z entuzjazmem najdrobniejszą okazję do odezwania się, lub choćby machnięciem ręką, samotność jego musiała być wielka... (czy była rodem *stamtąd*, zapytywałem ja, ahistoryczny). Do mnie zwracał się ze szczególnym upodobaniem: — dziś ładnie, co?... (dłuższe milczenie)... jaki śnieg!... (kwadrans przerwy)... może cygarko?... Kiedyś wyszliśmy razem, była to niedziela, powiedział, że, wie pan, w niedzielę odchodzą stąd autobusy wycieczkowe, możebyśmy się wybrali?... Podziękowałem. Spojrzał, zamilczał, w końcu odezwał się, a ręce mu drżały, powiedział coś po niemiecku, z czego ja zrozumiałem tylko strzępy, ochłapy nawet: — nie jechać... jechać... nie dojechać... wiele rozmaitości, co by być mogło... nie można, nic nie ma, nic nie ma, nic, co pan, (was wollen Sie?)... ganz unmöglich, niemożliwe, przecież nie (das kann nicht sein)... szkoda, szkoda (schade) nic (nichts)... nein... aber sehen Sie, mein Herr, das ist vielleicht trotzdem, und gegenüber... Zakończył stanowczo: — Nichts! I tak stał, jakiś zaprzeczający, oporny, uparty, niezłomny i nieuchwytny, kategoriyczny, zrezygowany, zropaczony, chwiejny, miękki, twardy, dramatyczny, pocziwy, z czymś na ustach... ze skargą... protestem... negacją, może pustką, może niczym... ja zaś stałem, nie mogący pojąć, uchwycić, odgadnąć, stałem nad tymi słowami, jak nad kupą rozrzuconych klocków... lub nad dziurą, z której ziało zaprzeczenie... I przecież nie o to chodziło, nie o to chodziło! O co, więc?! Odkąd opuściłem Argentynę, straciłem wątek — a tu, w Berlinie, za dużo krzyżowało się wątków — domy były, ulice, drzewa, trawniki, asfalt, ja stałem w tym wszystkim, on coś gada, ja nie wiem, znów śmierć mnie musnęła, moja, czy ich, trzeba iść do domu, uśmiech, ukłon...

Witold GOMBROWICZ

✓

POLSKI OŚRODEK NAUKOWY
(The Polish Research Centre)
W LONDYNIE

zawiadamia że wkrótce ukaże się nakładem Ośrodka
szkic historyczno-obyczajowy pióra

EDWARDA RACZYŃSKIEGO
ROGALIN I JEGO MIESZKAŃCY

w oprawie graficznej i drukiem Oficyny Stanisława Gliwy
Tom obejmuje 260 stron formatu 9" × 5 3/4" w tym 232 + 8
stron tekstu i 33 ilustracje na 20 stronach pięknego papieru
„Vellum Art Matt”.

- ◆ Ofsetowe reprodukcje słynnych litografii Wyczółkowskiego „Dęby w Rogalinie” zdobią wyklejki książki.
- ◆ Teksty i dwubarwną stronę tytułową odbito na mechanicznie czerpanym papierze zeberkowym „Belvedere Antique Laid, D.E., Amber”.
- ◆ Ponadto wyłoczono na prasie tyglowej 150 numerowanych egz. edycji bibliofilskiej, w dwu kolorach, na czerpanym, zeberkowym papierze szmacianym, „T.H. Saunders, Cream Laid, Mould Made”.
- ◆ Oprawa twarda w estetycznym płótnie najlepszej jakości.
- ◆ Egzemplarze edycji bibliofilskiej oprawne w skórę.
- ◆ Obydwie oprawy ze złoceniami i w barwnej obwolutie.
- ◆ Stylowa i czytelna czcionka, dyskretne akcenty dekoracyjne w postaci inicjałów i typograficznych arabesków, oraz dobrze zbalansowane obfitymi marginesami kolumny druku, dopełniają estetycznej satysfakcji czytelników tej fascynującej książki, wydanej w wyjątkowo starannej i bogatej szacie graficznej.

Cena za egzemplarz £ 2.10, Fr. Fr. 37.50, U.S.A. \$ 7.50
Ograniczona ilość egzemplarzy edycji bibliofilskiej, oprawnych w skórę,
jest do nabycia w cenie £ 5.0.0, Fr. Fr. 75.00, U.S.A. \$ 15.00
Ceny obejmują kosztą przesyłki.

Zamówienia i należność należy przysłać czekiem lub M.O. na adres:
THE POLISH RESEARCH CENTRE
26 PONT STREET — LONDON, S.W.1.

O polskiej poezji

Poezja polska jest we Francji niemal zupełnie nieznana, albo, co przykre, przekłady jej datujące się przeważnie z ubiegłego stulecia, utrwaliły w opinii mało pojętne *cliché* o romantycznej grandilokwencji rzekomo polskim poetom właściwej. Być może winę ponosiły tu gusta tłumaczy, wychowanych w kulcie pewnej retoryki, przede wszystkim jednak ich niedostateczna znajomość odrębnych praw każdego języka. Poeta dostatecznie wyposażony aby oddać odcienie wiersza hiszpańskiego, angielskiego czy niemieckiego i dzisiaj jest rzadkim fenomenem. Tym bardziej domena Słowian dotychczas odgradzona jest murem; a dodajmy, że polski uchodzi, i słusznie, za najtrudniejszy z języków słowiańskich do opanowania przez cudzoziemca. W tych warunkach mój przyjaciel Konstanty Jeleński, redaktor antologii, wybrał rozwiązanie nieco ryzykowne, ale, jak się okazało, jedynie trafne. Chcąc dać obraz poezji polskiej od średniowiecza po młodych poetów dzisiejszych, zaprosił do współpracy ekipę poetów francuskich, nie żądając od nich niemożliwości, to jest ślęczenia nad nieprzystępną gramatyką. Dostarczał im przekładów dosłownych i analizował z nimi wzory metryczne. Przyznaję, że kiedy parę lat temu zabierał się do pracy, byłem nieco sceptyczny co do wyniku. W miarę jednak jak antologia rosła, mój sceptycyzm zmieniał się w podziw i dla redaktora spędzającego nieraz całe godziny na wyjaśnianiu tłumaczom zawłości jednej strofy, i dla dobrego *métier* całej ekipy. W ten sposób, przez kolejne zamówienia, z dużym udziałem konkursu (bo jeden wiersz był nieraz tłumaczony przez wielu poetów i wybierana wersja najlepsza), przy wykorzystaniu przekładów już istniejących, jeżeli odpowiadały wymaganiom, powstała książka, którą nie zawaham się nazwać pierwszą antologią poezji polskiej w języku francuskim. Jeżeli krzywdzę to mówiąc

niektóre dawniejsze publikacje o podobnych ambicjach, usprawiedliwia mnie ich charakter dość przypadkowych zbiorów, albo ograniczonych do jednego okresu, albo nie pozwalających odgadnąć ciągłości stylów.

Myszę, że obecna antologia ma też znaczenie bardziej ogólne, teraz kiedy dyskutuje się wiele o jedności planety, podczas gdy znajomość literatur obcych pozostaje w każdym kraju powierzchowna. Zapewne inaczej niż tworząc ekipy tłumaczy nie można zaradzić zaniedbaniom. Antologia stanowi jeszcze jeden dowód, że *métier* poetyckie może mieć wielorakie zastosowanie i że ekipy literackie potrafią wiele zdziałać w przyszłości.

Pisząc przedmowę najlepszą chyba metodą jest wprowadzić czytelnika we własne, domowe, kłopoty. Jeżeli język polski jest trudny dla cudziemca, stawia on nieprzyzwoicie duży opór i tym, którzy posługują się nim od dzieciństwa. Szeleszczący, zgrzytliwy, zdolny doprowadzić do rozpacz przez zbiegi syczących spółgłosek, ma stały akcent na przedostatniej sylabie co redukuje możliwości modulacji rytmicznej i przyczyniło się do ustalenia się w XVI wieku wiersza czysto sylabicznego jako kanonu. Zdumiewająco bogaty w słowa przekazujące wrażenia zmysłowe (na przykład *bruit* i *lueur* mają w nim mnóstwo nieprzetłumaczalnych odpowiedników), w nazwy zwierząt i roślin przechowujące pamięć o pierwotnym obcowaniu z przyrodą, jest on ociężały i nieporadny kiedy trzeba w nim wyrazić abstrakcje, tak że treści filozoficzne przekazuje niejako dotykaniem przedmiotów. Język słowiański, a przecie ukształtowany przez syntaksę łaciny, wchłaniał w ciągu swojej historii wielką ilość słów obcych, których kolejne napływy stanowią ślad zafascynowania obyczajami przyjaciół albo wrogów; tak więc „italianizacja” XVI w. przyniosła z Padwy i Bolonii potrawy i ich nazwy, poetykę z jej terminami, formuły towarzyskiej ogłady, przewlekłe wojny z Turcją w ciągu całego XVII w. pozostawiły trwałe osady w postaci szczegółów stroju i uprząży na oznaczenie których używano słów tureckiego pochodzenia. Przede wszystkim jednak łacina, znak społecznego przywileju przez wiele wieków, była wplatana w prozę i wiersz bez najmniejszej żenady, dając w konsekwencji tzw. literaturę makaroniczną, zaprzeczenie jakiegokolwiek puryzmu. Barok zdaje się być terenem predylekcji tego języka. Jego swoboda syntaktyczna i gramatyczna oszałamia. Zdanie może zaczynać się od orzeczenia, albo kończyć się orzeczeniem, z każdego niemal rzeczownika można utworzyć czasownik (a spróbujcie po francusku utworzyć czasownik od *arbre*, *grange*, *printemps*, *chêne*!), mnóstwo sufiksów pozwala określić jednym imieniem czynność zaledwie zaczęłą, albo właśnie dokonywaną, albo już ukończoną. Ta swoboda, ta bujność zapraszające do baroku w sposób naturalny

upłynniają granicę pomiędzy niezręcznością i mistrzostwem. Toteż, co wygląda na absurd, wielu pisarzy wybitnych zapuszczało się na szlaki nie wiodące do nikąd i przeciwnie, wielu pisarzy podrzędnych wyrównywało swoje braki szczególnym instynktem językowym. Mimo że Wirgili i Horacy długo byli uważani w Polsce za podstawę humanistycznego wychowania, mimo że później bardzo poważnie traktowano poetykę Boileau, polski pozostał w istocie językiem niechętnym normom, zmuszającym każdego poetę do ujarzmiania go na nowo. Nic bardziej znamiennego dla jego przyrodzonych tendencji niż piękny (i po dziś dzień najlepszy) przekład „Cyda” Corneille’a przez barokowego poetę Andrzeja Morsztyna wystawiony po raz pierwszy w Warszawie w 1661 roku: dosadne i nieraz rubaszne zwroty nasycają utwór barwą zmysłową, nadają mu chropowatość *romancero* i oto ten polski „Cyd” jest zapewne bliższy hiszpańskiego pierwowzoru Guillèn de Castro niż wersji Corneille’a. Przez całą swoją przeszłość polski jest obcy duchowi języka francuskiego: czy więc próba przeniesienia w dźwięczności francuskie poezji równie od nich oddalonej, nie jest zadaniem nad siły? Niewątpliwie czytelnik powinien zostawić spory margines dla tej przymusowej niedokładności. Wiele wierszy w antologii przy porównaniu ich z oryginałami ukazuje nieuniknioną skłonność tłumaczy do wprowadzania klasycznego ładu tam gdzie mamy do czynienia raczej z mruczeniem, ciamkaniem i chrząkaniem nadźwiedzi siorbiących narodowy niegdyś przysmak, zupę z grzanego piwa, w jaskini oberży, kiedy za szybkami pada śnieg. To znów madrygały, w których mniej jest erotyzmu niż serdeczności dziecinnej, muszą zmienić tonację po prostu dlatego, że zdrobnienia stanowiące o ich wdzięku nie dałyby się nijak, nawet w przybliżeniu, odtworzyć. Albo doświadczenie mistyczne, które poeta starał się zakomunikować jako doznanie barw i dźwięków, nabiera zwodniczej klarowności wskutek użycia przez tłumacza abstrakcyjnej formuły. Te zdrady nie obciążają jednak (chciałoby się powiedzieć: niestety) francuskich autorów antologii. Stanowią one jak się zdaje, odsetek straty jaki się płaci przy wszelkich spotkaniach dwóch języków zbyt mało równoległych w ich specyficznym rozwoju.

W inny kłopot popada się chcąc utrafić w przyczyny tej dziwaczności, która poezję polską wyłącza z norm przyjętych nad Sekwaną czy nad Renem, nie zbliżając jej bynajmniej do poezji rosyjskiej. Przyznam się, że im bardziej się nad tym zastanawiam tym więcej widzę punktów nigdy nie wyjaśnionych. I oto, borykając się z tą naszą odrębnością i oryginalnością, musimy określać ją doraźnie, a więc powierzchownie, żeby zakomunikować ją cudzoziemcom. W naszym, domowym, przekonaniu Europa zachodnia lubi tylko siebie, a poza tym chętna jest

jedynie na to co ma smak egzotyki. Ale stwierdzając, że historia polskiej poezji dzieli się na rozdziały, zatytułowane Średniowiecze, Renesans, Barok, klasycyzm, romantyzm, symbolizm etc. czyż do jakiegokolwiek egzotyki możemy pretendować? Raczej powstaje podejrzenie, wskutek mocno zakorzenionych przyzwyczajęń, że na „peryferiach” wszystko musiało być nie więcej niż odbłaskiem. Co nie jest jednak dowiedzione.

Gdybyż to polskie średniowiecze było dla nas łatwo uchwytne! Ale łacina, która wkroczyła wskutek przyjęcia obrządku rzymskiego, dławiała wtedy element słowiański i to tak skutecznie, że aż do czasów reformacji żaden niemal szanujący się *clerc* nie zniżał się do pisania w *vernaculaire*. Bogaty folklor był tępiony jako grzeszny i pogański, kazania i pieśni religijne w narzeczu ludowym rzadko zapisywano, toteż teksty polskie dawniejsze niż wiek XV są skąpe. Poezja i proza długo były w Polsce wyłącznie łacińskie, a więc korzystające z idei oraz motywów literackich wspólnych całemu zachodniemu chrześcijaństwu. Stosuje się to też do pierwszych poetów-humanistów, studiujących z reguły na uniwersytetach włoskich, a więc nasyconych Italią Quattrocenta. Jeden z nich szczególnie, Klemens Janicki (1516-1543) zaprzętał swoją wyobraźnię na ławce liceum, bo pomimo łaciny swoich elegii był głosem, intonacją wzruszającej ludzkiej skargi: syn chłopca, zauważony przez mecenasów kiedy wyróżnił się w szkole i wysłany przez nich do Padwy, zdobył tam wieniec „poety-laureata”, ale umierając młodo zęgnął złudne marzenia o sławie.

Polski stopniowo torował sobie drogę w pieśniach religijnych i religijnych widowiskach ludowych. Tak więc np. piękna „Skarga Matki Boskiej pod krzyżem” jest to zapewne *planctus* z zaginionego misterium. Polska była pobożna; ale z jej przysłowiową wiernością Watykanowi, rzecz niezawsze wyglądała tak prosto jak się przypuszcza. Plebejski antyklerykalizm, dość gwałtowny w ciągu całego XV wieku, szerzony przez zwolenników nauki Jana Husa, która docierała z sąsiednich Czech, wyrabiał jej w chrześcijaństwie opinię kraju mocno tkniętego herezją. I ten to przede wszystkim ferment wczesno-protestancki był sojusznikiem literatury w języku ludowym. Kościół niszczył heretyckie pisma starannie, nie na tyle jednak żeby nie dochowała się (figuruje w antologii) pieśń o angielskim poprzedniku husytów, Wiklefie, napisana przez Gałkę z Dobczyna, o którym poza tym wiemy, że był profesorem uniwersytetu krakowskiego. Z podobnej inspiracji pochodzi dzieło Biernata z Lublina (około 1465 — 1529), który dał portret imaginacyjnego Ezopa, brzydkiego karła-mędrca

urągającego duchownym i świeckim autorytetom; jest to postać nieco podobna do bohaterów Rabelego.

Po Janie Husie przyszła kolej Lutra i Kalwina. Polska była wtedy wśród krajów słowiańskich wyjątkiem przez chciwość z jaką chłoneła renesansowy humanizm i Reformację. Jak wszędzie, współistniały ze sobą zresztą różne, przez swoje kulturalne pochodzenie, mentalności. Kto wie, czy warstwa średniowieczna nie była tak silna, że jej to mutacje, w moralitecie, w satyrycznym dialogu, w zabawnych interludiach dostarczają klucza do szybko przybierającej barokowej powodzi. Z tego też powodu „ojciec literatury polskiej”, Mikołaj Rej (1505-1569), protestant, autor obszernych dzieł prozą i wierszem świadczących o jego żarliwości moralisty, nie jest łatwy do zaklasyfikowania. Żarłok, opój, niepokromiony gaduła, bluźnierca — jeżeli ten jego portret przekazali jego przeciwnicy, papiści, a więc sporo należy odliczyć na przesadę, to jednak ten szlachcic-samouk zapowiada raczej sobiepańskich, wrzaskliwych, towarzyskich ludzi Kontrreformacji niż pokolenie surowych protestanckich sekciarzy. Jego pochwały uciech wiejskiego życia, potraw, polowania, jego sensualizm są zaiste mało ewangeliczne. Niemniej Rej, właśnie przez nagromadzenie sprzeczności w jednej osobie, był człowiekiem Renesansu. Jego łapczywość na dobra tego świata (był zręcznym administratorem i umiejętnie powiększał swoją fortunę) nie przeszkadzała mu w literackiej pracowitości, jego moralistyka, średniowieczna nieraz w obrazowaniu, jest poszukiwaniem oparcia w zasadach rozumu. Nie notowano by go co prawda tak wysoko gdyby nie jego malowniczy język. Znakomity polski przekład „Gargantua i Pantagruel”, zrobiony w początku naszego stulecia przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego, wzorowany jest na Reju.

Jeżeli analogie są czasem użyteczne, Rej to niejako *merry old England*. Tak różni są od niego jego następcy, że ich nagła doskonałość formy jest aż enigmatyczna. Jan Kochanowski (1530-1584) jest największym poetą świata słowiańskiego aż do XIX wieku, to nie ulega wątpliwości. Zarazem jego przykład dowodzi, że teoria „peryferii kulturalnych” jest zbyt wygodna aby była prawdziwa. Gdyż jeżeli Kochanowski był odbłaskiem, to wskrzeszonego grecko-łacińskiego antyku, jak wtedy cała Europa, szczycił się, że swoim wierszem sylabicznym rywalizuje ze staną horacjańską, spolonizował Apolla i Muzy, Wenerze nadał twarz wiejskich dziewcząt, zaludnił swoje rodzinne okolice satyrami (którzy skarżą się na nadmierny wyrąb lasów). Renesansowy gentleman, ze swoich długich studiów w Italii, gdzie pisał wiersze miłosne po łacinie, przywiózł czynne zainteresowanie sporami o nową poetykę, opowiadając się za *verso sciolto*, wierszem białym, w teatrze. Jeżeli powiedziałem, że polski jest trudny do ujarzżenia,

należałoby wprowadzić korekturę: u Kochanowskiego osiąga on klasyczną równowagę jak nigdy przed tym i rzadko po tym. Ten wstrzemięźliwy, niejako kpiący z przyszłych swoich biografów poeta, jest więc dla nas tym samym co Ronsard dla Francuza. Nie będę ukrywać: dla nas melancholia, której nie leczy *carpe diem*, jest u niego szczerza, ton cieplejszy, obecność przyrody, nie sprowadzonej do jej obrazów wyselekcjonowanych, prawdziwsza. Kwestia być może słownictwa, bo Kochanowski nie dyscyplinował języka na tyle żeby odebrać mu zapach *terroir*. W ogóle z poetyką renesansową poczynął sobie swobodnie. I tak wybrał formę elegii na śmierć dostojnych osobistości skodyfikowaną przez Scaligera, po to żeby napisać swoje „Treny” na śmierć swojej córki, Urszuli. Zamiast *exercice de style* otrzymaliśmy utwór bardzo osobisty, dzięki pogwałceniu zasady, która zabraniała opłakiwać śmierć nikomu nieznannej małej dziewczynki. Wielu współczesnych miało Kochanowskiemu za złe takie (jedyne raz zresztą u niego) obnażenie prywatnego bólu. Ale przepisem na arcydzieło jest zapewne i zachowanie i przełamanie literackiej konwencji, co zaszło w tym wypadku.

Za życia Kochanowskiego Reformacja robiła w Polsce szybkie postępy i w pewnym momencie protestanci (przeważnie kalwiniści) uzyskali większość w sejmie. W przeciwieństwie do Miłkołaja Reja, Kochanowski nie opowiedział się za nowym wyznaniem. Przez swój sceptyczny umiar, swoją tolerancję i ideał „złotego środka”, zasługuje jednak na tytuł poety ekumenicznego, a jego wersja Psalmów Dawida była wysoko ceniona zarówno przez katolików jak protestantów. Być może zawsze był najbliższy tym kołom, które Erazma z Rotterdamu uważały za najwyższy autorytet intelektualny i ani zadowolone z sytuacji w Kościele rzymskim, ani entuzjazmujące się Genewą Kalwina, starały się lawirować.

Renesans jako rewindykacja praw jednostki? Zapewne, ale poezja polska w tym okresie wykazuje też zachcianki wręcz odwrotne, odtąd już coraz to silniejsze, aby roztopiać jednostkę we wspólnocie i wzorem podziwianych autorów łacińskich zajmować się przede wszystkim obowiązkami obywatelskimi. Nie wspominając o mnóstwie poetów mniejszych, uprawiających polityczną satyrę, wystarczy zacytować „Odprawę posłów greckich” Kochanowskiego, tragedię wierszem, która mogłaby nosić podtytuł: „La guerre de Troie aura lieu”. Nie ma w tej sztuce indywidualnego bohatera: nie jest nim ani Helena, ani Parys, ani Hector, ani Priam. Bohaterem jest państwo trojańskie, pokazane w chwili śmiertelnego zagrożenia. Demagogia polityków (jakby przeniesionych żywcem z polskiego sejmu) prowadzi do odrzucenia żądań Greków, domagających się wydania im Heleny i w finale nad wszystkim dominuje płacz Kassandry. Można więc widzieć w

„Odprawie” podwójne przeczucie: i niebezpieczeństw zagrażających najpotężniejszemu w tej części Europy krajowi, jakim była wtedy *Res Publica* Polski i Litwy złączonych unią personalną, i orientacji przyszłych poetów aż zanadto przejętych sprawami publicznymi.

Niestety, skoro tylko dotknie się poezji polskiej, nie można uniknąć wzmianek o historii kraju, co jest przykre, bo historia ta jest wyjątkowo zawiła i wymyka się tak ułatwiającym powierzchowną wiedzę „prawidłowościom”. Historia całej Europy, ale nieraz dokładnie na opak: tolerancja wyznaniowa przygotowująca ostateczne zwycięstwo Kontrreformacji (między innymi wskutek rozłamu protestantów na dwa kościoły, kalwinistów i antytrynitariuszy, zwalczające się zaciekle); władza obieralnych królów coraz mniejsza, sprowadzona wreszcie do tytułu i to wtedy, kiedy wszędzie gdzie indziej tron sięgał po władzę absolutną; parlament użyty jako narzędzie przez jedną klasę, szlachtę, do odebrania praw miastom i chłopom; masy ubogich wyborców dumne jednak ze swojej nominalnej przynależności do szlachty, których głosy kupowali możni; regresja, od wysokiego poziomu szkolnictwa w XVI wieku do jego stopniowego upadku w wieku następnym.

Podręczniki przeciwstawiają zwykle „wiek złoty”, którego reprezentantami są przede wszystkim Kochanowski, metafizyczny Mikołaj Sęp-Szarzyński (ok. 1550-1581) i bukoliczno-realistyczny Szymon Szymonowic (1558-1629) barokowym rozpasaniem, jakie nastąpiły później. Jednakże to potępienie XVII stulecia jest niesprawiedliwe. Czy kto chce czy nie chce wtedy właśnie dochodzi na dobre do głosu dzięki prawdziwej manii rymowania, ów specyficzny rodzaj wrażliwości, który będzie nieraz nawiedzał polską literaturę. Nie będę kusił się o jego zdefiniowanie, niech wystarczy tło: teatralny i fanatyczny katolicyzm Kontrreformacji; biel i złoto kościołów, których włoski barok, przyniesiony przez Jeżuitów, po dziś dzień przypomina gdzieś za Dnieprem, aż po Połock i Witebsk, o olbrzymim obszarze nieistniejącego już, wielojęzycznego i wielowyznaniowego, państwa; zamiłowanie do przepychu, do klejnotów, mieniących się materii, jaskrawych kolorów w strojach bardziej orientalnych niż europejskich; w teatrze użytek efektów świetlnych i latarni magicznej; stadność odruchów, niechęć do jednostek wyróżniających się poziomem intelektualnym; przywiązanie do rozkoszy pokoju, jak świadczy mało entuzjastyczne słowo używane na oznaczenie wojny: „potrzeba” — i przewlekłe, wyniszczające kraj wojny; wiara, że jest się narodem wybranym, narodem wolności przeciwko któremu spiskują sąsiedzi, nieszczęśni niewolnicy swoich monarchów; przekonanie, że pełni się funkcję *antemurale christianitatis*, odpierając

ataki niewiernych: otomańskiej Porty, barbarzyńskiej i prawosławnej Moskwy, heretyckiej Szwecji.

A ileż kontrastów! Druki antytrynitariuszy („Socynian”), zanim nie oskarżono ich o kolaborację ze Szwedami i nie wygnano, uchodziły za najśmielsze filozoficzne książki w Europie (marginesy ich zapełniał notatkami John Locke). Ale tłumy drobnej szlachty zadawały się lekturą kalendarzy. Na dworze słuchano opery włoskiej i oglądano *comédie del arte*. Ale widowiska popularnego teatru jezuickiego powracały do misterii i moraliterów wstrząsając widzów naturalistycznie pokazanymi płomieniami piekła. Czarująca liryka, najbardziej przypominająca angielską, powstawała w miastach już rujnowanych przez wrogie im prawa i przez działania wojenne. Ale za poważną literaturę uważano rozwlekłe poematy rycerskie z ich drobiazgowymi, technicznymi opisami bitew.

W smak kół dworskich wprowadza nas Jan Andrzej Morsztyn (1613-1693), wyrafinowany wielbiciel *concetti* włoskiego poety Mariniego. Uwikłany w wielkie zakulisowe intrygi, Morsztyn był jednym z przywódców „partii francuskiej”, która od czasu gdy Henryk Walezy, późniejszy Henri III, zasiadał krótko na polskim tronie, rozporządzała wpływami i pieniędzmi. Jego przekład „Cyda” (bratanek jego przełożył „Andromachę” Racine’a) był ponieważ aktem politycznym. Jeżeli jednak w Polsce lubiano „Astreę” d’Urfé’go, brak było warunków aby przyjęła się surowa oszczędność francuskiej tragedii. Próba jej zaszczepienia nie powiodła się, zresztą Morsztyn przegrał też w grze o władzę i wycofawszy się do Paryża umarł tam pod przybranym nazwiskiem hrabiego de Chateauvillain.

Liryka mieszczańska, której zbiory pozwalają dziś na coraz to nowe odkrycia, była przeważnie anonimowa. Ciekawym rysem jest jej związek z folklorem, w miastach o ludności mieszanej, jak Lwów, ukraińskim, a nawet swobodne wplatanie ukraińskich wyrażań i całych strof. Z pogranicza językowego, ze Lwowa, pochodził też jeden z nielicznych poetów mieszczańskich znanych z nazwiska, Szymon Zimorowic (1608-1629).

Inny jednak barok zostawił najtrwalszy ślad przenikając do zbiorowej podświadomości: wiejski, parafialny, obskurancki, monstualny w swoich inkrustacjach łaciną, odpychający swoją trywialną gadatliwością to znów porywający odwagą pomysłów, niekrepowaną przez żadne reguły. Psalmodie pisane prozą rytmiczną wzorowaną na Biblii, kilometry rymów opiewające bohaterstwo, skoczne stanze masochistycznie radujące się z nieuniknionego triumfu śmierci, wychodziły spod pióra żołnierzy i mnichów, krążyły w rękopisach, nieraz drukowane dopiero w 200 lat później.

Można zrozumieć dlaczego potomni długo odnosili się do tego

spadku z pogardą. Ubolewająca nad swoją anarchią, ale w istocie dumna z niej, zadomowiona w swoim imobilizmie Sarmacja, straciła w XVII wieku swoją szansę historyczną: jej siły nie rosły, natomiast siły jej słabszego dotychczas rywala, Moskwy, rosły szybko. I pisarze musieli więc podzielić odium spadające na erę rozkładu. Poza tym potomni byli oddzieleni od tamtej bezładnej swobody przez hiatus lat 1700-1750, kiedy to anarchia i obskurantyzm sięgnęły dna i kraj niewiele różnił się od tego „nigdzie”, w którym działa „Król Ubu” Jarry’ego, podczas gdy w reszcie Europy wielkie energie intelektualne sprężyły się do skoku. Kiedy wreszcie Polska weszła w orbitę francuskiego Oświecenia, przeszłość cenzurowano, darząc w niej względami jedynie jasność Kochanowskiego i poetów jemu podobnych, co nie znaczy jednak, że inny nurt, chaotycznej obfitości, nie napierał na język czekając swojej godziny.

„Francuska faza” przyniosła naśladownictwa Moliera i La Fontaine’a, proliferację łóż masonskich i działalność literacką eleganckich *abbés*, znających na pamięć swego Voltaire’a. Duchowni ci stali się potężną siłą w obozie postępu, który toczył boje z obozem konserwatywnym w imię naprawy politycznego systemu i uratowania państwa. Najwybitniejszy poeta XVIII stulecia Ignacy Krasicki (1735-1801), który miał zaważyć na wierszu polskim nie mniej niż Aleksander Pope zaważył na wierszu angielskim, był biskupem. Obóz postępu żeglował ku programom rewolucyjnym. Rosja, Prusy i Austria zmiażdżyły i podzieliły pomiędzy siebie w 1795 roku niedołączne królestwo (w którym Rousseau dopatrywał się, nie całkiem słusznie, ideału demokracji) pod pretekstem, że Warszawa jest najniebezpieczniejszym po Paryżu gniazdem jakobinizmu w Europie.

Tak oto dotarliśmy do banału o *Pologne martyre*. *Cliché* to jest dziś dla każdego pisarza polskiego wstrętne, bo odwołując się do sympatii dla zranionych nacjonalizmów, pomija ciągłość kulturalną nadającą sens kolejnym spiskom i rewoltom. W istocie, jeżeli mamy ten paradoks: poezja polska przeżywa ponownie rozkwit kiedy kraj został wymazany z mapy Europy, przypisać to trzeba nie podniętom, jakich dostarcza romantyczna walka z opresją, ale nagromadzeniu sił żywotnych w wieku XVIII, kiedy opresji nie było. Ludzie Oświecenia nie mogli zapobiec katastrofie, która sprowadziła kraj o starych tradycjach do rzędu prowincji ościennych mocarstw, ale bynajmniej nie przegrali w swoich poczynaniach głębszej politycznie natury. Tworząc w 1773 roku pierwsze ministerstwo oświaty w Europie i sieć dobrych szkół, zmienili system rekrutacji pisarzy: odtąd, podobnie jak dwa wieki wstecz, zawód literata będzie synonimem gruntownego wykształcenia. Przez swoją propagandę haseł demokratycznych rzucili Polskę na stronę rewolucji francuskiej; loże oficerów polskich w

armii napoleońskiej miały stać się pomostem do nowych literacko-politycznych ruchów. Starając się zdyscyplinować język na modłę francuską wzniesli tamy przeciwko nadużyciom i dzięki temu inny, ciągle obecny, nurt barokowy został oczyszczony przez miłych dotychczas naszemu sercu poetów sentymentalnych, jak Franciszek Karpiński (1741-1825) czy Franciszek Dionizy Kniaźnin (1750-1807).

Uderzające jest niemal równoczesne przybieranie fali romantyzmu w różnych krajach europejskiego kontynentu. W Polsce, dokładnie tak jak we Francji, przypada to na okolice roku 1820. Polski romantyzm był jednak zjawiskiem tak odrębnym i swoistym że termin łatwo może mylić, narzucając porównania z Victorem Hugo, Lamartine'm czy Alfredem de Vigny, które byłyby mało owocne. Wyłaniając się jako mutacja Oświecenia, ów romantyzm wiele zawdzięczał Francji intelektualnie, czerpał i z Voltaire'a i z Rousseau i z „łóż mistycznych” zwłaszcza z hrabiego Saint Martin, „nieznanego filozofa”, a jego centralnym mitem był mit napoleoński; literacko natomiast wywodził się z całkiem innych źródeł, niekoniecznie jak należałoby przypuszczać tylko niemiecko-angielskich, choć niewątpliwie przedmiotem szczególnego kultu i ideałem „zaangażowania” stał się dla poetów Byron-bojownik o wolność Grecji. Po prostu język osiągał nową dojrzałość i miejsce pierwszego rangą poety dotychczas zajmowane przez Kochanowskiego zdobywał sobie Adam Mickiewicz (1798-1855), co oznacza, że z wyjątkowym wigorem modelowano stare złoża językowe. Jako student Mickiewicz zabawiał się tłumaczeniem „La Pucelle d'Orléans” Voltaire'a; przede wszystkim był jednak wiernym uczniem swoich polskich poprzedników. Epitet „romantyczny” z trudnością daje się zastosować do najlepszych jego utworów, takich jak powieść wierszem (czy pełen humoru epos) „Pan Tadeusz”. Być może fakt, że Polskę ominął całkowicie klasycyzm XVII wieku zmniejszał gwałtowność reakcji i w krótko trwającej wojnie klasyków z romantykami, która toczyła się i w polskiej literaturze, łatwiej było o porozumienie stron. W każdym razie wiersz Mickiewicza, „magicznego realisty”, cechuje oszczędność słowa i rygor metafor, co razem daje wrażenie bardzo męskiej prostoty.

Żeby ocenić pietyzm z jakim Polak odnosi się do swoich romantyków, należy pamiętać, że dokonali oni stopu różnorodnych substancji przesadzających o niepowtarzalnym „coś” jednej literatury. Dokonali tego albo, jak Mickiewicz czy Antoni Młczyński (1793-1826), stosując w swojej technice filtr skonstruowany w wieku Rozumu, albo, jak współzawodnik Mickiewicza Juliusz Słowacki (1809-1849) powodując świadomie eksplozję baroku, przez co wkrótce poezja ich przerodziła się w czysto symboliczną

avant la lettre. Nie chodzi jednak tylko o kwestie formy. Zaczynając od byronicznego buntu romantycy owi powrócili do orientacji swoich przodków i wytoczyli proces jednostce, która ma prawo do istnienia tylko jeżeli jest w pełni oddana problemom wspólnoty. Nie jednostka, ale podobnie jak dawniej w „Odprawie Posłów Greckich” i w bohaterских eposach XVII w. zbiorowość stała się wielogłowym bohaterem ich poematów. Zarazem wiara w powołanie narodu podwójnie wybranego: jako strażnik „złotej wolności” zagrożonej przez monarchie absolutne i jako rycerz chrześcijaństwa ucinający głowy niewiernym, została przez nich zinterpretowana na nowo dzięki kolejnym nawarstwieniom jakobinizmu, mitu napoleońskiego i socjalizmu utopijnego. „Duch wieczny Rewolucjonista” wcielił się w Polskę, której, obok Francji, miało przypaść zadanie obalenia nieznosnego porządku w Europie, chronionego przez armie Świętego Przymierza. Toteż nie dziwny się, że Mickiewicz na audiencji u papieża w 1848 roku szarpał go za rękaw krzycząc: „Duch Boży jest pod bluzami paryskiego ludu”.

Kiedy wiersze krążą przepisywane ręcznie, mimo zakazów policji; kiedy zaciera się granica pomiędzy słowem i akcją, bo każde słowo ma wartość środków wybuchowych; kiedy autorami i czytelnikami poezji nie są młodzieńcy chorzy na nudę istnienia i żony prowincjonalnych lekarzy marzące o prawdziwej miłości, ale spiszkowcy, wygnańcy polityczni i więźniowie syberyjskich kopalń, rzeczą mało wskazaną jest mówić o „szkole literackiej”. Jeżeli jednak taki był polski romantyzm, nikt nie potrafi dziś przekonać cudzoziemców, że zasługuje on na więcej niż na współczucie i lekceważenie. Narody krwawiące w walkach o niepodległość to bardzo piękne i godne szacunku, ale poezja ich, zbyt użytkowa, zbyt gorliwie służąca partykularnej sprawie, skłaniać musi do ziewania: wiemy z góry czego od niej oczekiwać. Otóż zasadniczy konflikt pomiędzy Francuzem i Polakiem sprowadza się tutaj, twierdzę, do gry pozorów przemawiającej przeciwko temu ostatniemu, który przełamać jej nie może, jako że przysięgając na duży format swojej poezji romantycznej dostarczałby jeszcze jednego przeciwko niej argumentu. Gdyż tylko znajomość tekstu w oryginale pozwala odróżnić akcydentalne od istotnego. Ani żarliwy patriotyzm, ani wola poświęceń, ani obłędne pomysły mesjaniczne nie są dla dzisiejszego Polaka najistotniejsze w tej poezji. Co jest ważne, to zmysł historyzmu, tak zaostrozony, jak w żadnej może innej poezji europejskiej. Mniejsza z tym czym była ta filozofia historii czająca się w każdej linii, to spokrewniona z Heglem, to przeciwko niemu obrócona, albo jak np. w „Genesis z Ducha” Słowackiego niemal dokładnie zapowiadająca propozycje Teilharda de Chardin. Najtrwalsze w tym okazało się samo pragnienie, żeby stawanie się hi-

storyczne uczynić czymś dotykalnym, wszechobecnym, nieuchronnym. Pobudki tych poetów były partykularne. Negując złą teraźniejszość usiłowali budować pomost od świetnej przeszłości do świetnej przyszłości i dlatego uwielbili Ruch. Niepartykularne jednak było ich przekonanie, że jednostka w historii nie jest bezsilna, bo akt jej, działając na zasadzie dźwigni, przybiera na sile proporcjonalnie do dystansu, tj. czasu. Ich poczucie tragizmu ludzkich przeznaczeń powinno by było zapewnić im poczytność nie tylko wśród Słowian. Ponieważ jednak nie pisali w żadnym z kilku języków poważanych na Zachodzie, na szerszą widownię przedostali się jedynie przez zastępcę, nie poetę, prozaika, i to prozaika angielskiego. Zależność Józefa Konrada Korzeniowskiego, który zdobył sobie imię jako Joseph Conrad, od polskiej poezji romantycznej jest oczywista dla każdego kto zestawia jego powieści z lekturami jego młodości.

Mieszkając z powodów politycznych przez większą część życia na emigracji, głównie w Paryżu, naczelnicy romantycy z poetami zachodnimi nie utrzymywali bliższych stosunków i jeżeli przyglądali się im, to bez podziwu. Wyznaczywszy poezji rolę niemal niemożliwą: czynu, odpowiedzi człowieka na wyzwanie postawione przez historię, gardzili w istocie literaturą. Mickiewicz nazwał swoje najdojrzałe dzieło, „Pana Tadeusza”, zabawką (bo grzeszyło brakiem „zaangażowania”) i zabiwszy w sobie poetę wybrał akcję bezpośrednią, mówcy zmieniającego swoją katedrę Literatur Słowiańskich na College de France w polityczną trybunę, publicysty i organizatora zbrojnych powstań. Juliusz Słowacki, którego wypadałoby zaliczyć do rodziny mistyków-wizjonerów, jak Blake’a, znalazł pozaartystyczne usprawiedliwienie swojej twórczości: widział siebie jako demiurga dźwigającego historię swego kraju w wyższy wymiar przez obcowanie z wcielonymi w jej biegu potęgami duchowymi. (Słowacki nie znał Blake’a, u którego sceną takich zapasów pomiędzy mitologicznymi energiami jest Albion). Bardzo różny od nich obu, arystokratyczny konserwatysta Zygmunt Krasiński (1812-1859) nie odbiegał jednak od nich w swoim moralnym potępieniu wszelkiej sztuki, która jest pułapką zastawianą na nas przez naszą miłość własną — chyba że okupi skazę egotyzmu obierając za swój materiał los całych społeczeństw. „Nieboska Komedia” Krasińskiego (dramat rzadko wystawiany, bo wymaga operowania tłumami) ma za przedmiot jakąś przyszłą Rewolucję analizowaną w kategoriach ściśle klasowych, rzeklibyśmy marksistowskich, gdyby nie to, że Marks, kiedy sztuka została napisana (1833) był dzieckiem. Bez sympatii do fałszywie chrześcijańskich Okopów Św. Trójcy, fortocy reakcjonistów, i do oblegających ją wojsk ateistycznego materializmu, Krasiński znajduje wyjście przez negację negacji: obaliwszy stary porządek Rewolucja

z kolei pokonana jest przez prawdziwe chrześcijaństwo na wyższym zakręcie dialektycznej spirali.

Tytuły rozdziałów w historii literatury są rzeczą umowną. „Romantyzm” obejmuje w Polsce większą część wieku XIX, dlatego, że towarzyszyła mu pewna aura polityczna, ale jest z tym trochę jak gdybyśmy wrzucili do jednego worka André Chenier, Lamartine’a, Mallarmé i Claudel’a. Na jednym biegunie stoi rymowany parami trzynastozgłoskowiec „Pana Tadeusza”, cudowny kompromis pomiędzy rozlewną zmysłowością polszczyzny i „suchym rysunkiem” polskich wielbicieli Aleksandra Pope i Delille’a. Na drugim, barokowy liryzm pism mistycznych Słowackiego, który muzykę chciał wyrażać kolorem, kolor muzyką. Pisma te zaczęły być naprawdę czytane dopiero w początku XX wieku, kiedy to przekonano się ze zdziwieniem, że dekadenci i symboliści mogą się poszczycić nie byle jakimi prekursorami.

Jak każda nowoczesna poezja, nowoczesna poezja polska ma też swego męczennika i patrona. Był to Cyprian Kamil Norwid (1821-1883), rzekomo romantyk, choć w jego wypadku dowolność takiego zaszeregowania jest rażąca. Rysownik i rzeźbiarz, Norwid długie lata żył w brzuchu Lewiatana wielkich miast, Paryża, New Yorku, Londynu i zaznał wszelkiej goryczy jakiej przysparza samotność, ubóstwo, utrzymywanie się z pracy własnych rąk, lekceważenie ze strony wydawców i czytelników. Poezja jego była niemal zupełnie niezrozumiała dla jego współczesnych i nie mogło być inaczej. Sylabiczny wiersz polski pozwala na „stopy” złożone z sylab akcentowanych i nieakcentowanych i w ten sposób powstaje wiersz sylabotoniczny, jednakże zbytne przechylenie się ku melodii niszczy jego dyskretny rysunek rytmiczny zastępując go nieznośną dla ucha powtarzalnością, a to właśnie zaszło u schyłku romantyzmu: publiczność zaczęła cenić „śpiewność”, „melodyjność”. Norwid przeciwstawiał się temu świadomie nadając swojemu wierszowi matowość i powściągliwość zmieniających rytmów prozy, podobnie jak w obrazowaniu wyrzekał się wszelkiej malowniczości, operując półtonami, czernią, refleksami przyćmionego światła. Poza tym ironia, tak nieraz ukryta, że warstwy zewnętrzne poematu zaledwie każą się jej domyślać, odpychała ludzi nawet najbardziej temu intelektualnemu poecie przyjaznych, wyrabiając mu opinię dziwaka, z zamiaru przekreślającego możliwość porozumienia.

Być może wszystko co rzekło się o romantyzmie zyskuje sens dopiero kiedy zastanowimy się co znaczy dla jakiejś poezji mieć takiego nauczyciela jak Norwid. Nowoczesną poezję na Zachodzie powołała do życia metafizyczna rozpacz jednostki, która, izolowana i buntująca się przeciwko izolacji, ustalała swoją tożsamość i postulowała wartości poprzez akt artystyczny. Niedorozwój czy

niedostateczną drapieżność jednostki w Polsce można wyjaśniać rozmaicie. Jeżeli jednak nawet romantyzm nie zdołał jej wynieść na pierwszy plan, bo został odpowiednio zmodyfikowany, stało się tak dlatego, że Sprawa — narodu, ludzkości — uwalniała od zbyt ciężkiego brzemienia jakim jest obcowanie tylko z samym sobą. Można nad tak znaczną wygodą ubolewać, trzeba jednak również przyznać jej zalety. Gdyż Norwid przez swoje drażnienie słów ma w poezji polskiej taką pozycję jak Mallarmé we francuskiej, ale równocześnie, destylując historiozofię romantyków i zachowując z niej to co jest aktualne do dzisiaj, chroni swoich uczniów od zamknięcia się w kredowym kole sztuki czystej. Jego dzieło zrodziło się z medytacji nad przeszłością żydowską, grecką, rzymską, wybrzeży Morza Śródziemnego. Katolik, był zafascynowany ruchem historii, pojętym jako strzała, zmierzająca od pierwszych zapowiedzi chrześcijaństwa do tego odległego stadium kiedy „męczeństwo uniepotrzebni się na ziemi”, oraz funkcją w tym łańcuchu ewolucyjnym zachodniej cywilizacji przemysłowej. Buntując się przeciwko hańbom tej cywilizacji — w wielu jego wierszach przechodnie na ulicach wielkich miast są zaiste więźniami *cit   infernale* — Norwid niemniej zdobył się na optymistyczną filozofię pracy ludzkiej, jako jedynej dla człowieka nadziei „zmarłychwstania”. Trud malarza, rzeźbiarza, poety był dla niego uszlachetnianiem trudu fizycznego, niejako dalszym jego ciągiem i sztuka nie mogła być celem samym w sobie, była „chorągwią na prac ludzkich wieży”. Wspominam o tych poglądach Norwida, bo nie da się od nich oddzielić jego eksperymentalnej poezji. Konflikt pomiędzy jednostką i światem pozbawionym metafizycznego uzasadnienia, a co za tym idzie wszelkich wartości, jest w niej nieobecny; przeciwnie, założeniem jej jest współzależność pomiędzy jednostką, która odkupuje siebie przez pracę i historię, pojętą jako proces chrystologiczny: gdyż czas, nie doznawany tylko, ale twórczo kształtowany, jest żywiołem zarówno jednostki, jak pokoleń. Norwid jest poetą Czasu. Stąd też jego zamięłowanie do wszystkiego, w czym utrwalił się czas zamrożony (ruiny budowli, kamień posągów, papirusy, zbroje i narzędzia w muzeach) i jego ewokacje zamierzchłych kultur. Zaryzykuję tutaj przypuszczenie, że, niezależnie od wszelkich różnic, jedynym poetą znanym we Francji, który może dać niejaki pojęcie o tej zgęszczonej historyczności Norwida jest Konstanty Kawafis, Grek z Aleksandrii eksplorujący przeszłość helleńską.

Kiedy Norwid umierał w Paryżu zapoznany i tak ubogi, że pochowano go w *fosse commune*, stan poezji w Polsce był smutny. Nie sprzyjała jej trzeźwość pozytywistów, zresztą uzasadniona w kraju, gdzie kolejne powstania wyniszczały najlepszą młodzież, ginącą na polach bitew, na szubienicy, w syberyjskich kopalniach,

albo emigrującą na Zachód. Pozytywiści (wyznawcy raczej Herberta Spencera niż Auguste Comte'a) pojmowali literaturę użyteczną, jako „służbę społeczną”, w czym raz jeszcze potwierdzali mocną tradycję, ale, wrodzy poezji (jakże sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem) wybierali powieść za instrument badań społeczeństwa już przekształcanego przez opóźniony kapitalizm. Odnowa poezji zaczyna się dopiero w ostatniej dekadzie XIX stulecia.

Symbolizm francuski wędrował zarówno przez kanał La Manche i Atlantyk zapładniając poezję angielską i amerykańską, jak przez równiny kontynentalnej Europy do Rosji i Polski, krzyżując się tam zresztą z wkładem niemieckim, Schopenhauerem, Wagnerem i Fryderykiem Nietzsche. Przyszłoby, że poprawne przyswojenie wysoce indywidualistycznej poezji francuskiej musiało natykać się na znaczne przeszkody, tam gdzie Ego wyłamując się z obowiązków wobec kolektywu piętnowane było za brak pokory, toteż odbiór symbolizmu zarówno w Polsce jak w Rosji był bardzo szczególnej natury. Niemniej, umożliwiała go nowa atmosfera kosmopolityczna. Po raz pierwszy też drogi poezji polskiej i rosyjskiej zdają się iść równolegle. Po raz pierwszy: oto jeszcze jeden ze słowiańskich paradoksów. Gdyż wszystko co wykarmiło poezję polską: katolicyzm, antyklerykalizm późnego średniowiecza, Renesans, Reformacja, barok Kontrreformacji, nie tknęło Rosji. Następnie, mimo że literaci zarówno polscy jak rosyjscy rzucili się łączywie na pisma francuskiego Oświecenia, inne z nich wyciągali esencje. Zahamowana w Rosji przez cenzurę myśl racjonalistyczna mogła tam wyładowywać się raczej w pewnym libertynizmie obyczajowym niż w radykalnych programach, otwarcie w Polsce głoszonych wierszem i prozą. Wolno dopatrywać się zbieżności pomiędzy wczesnymi polskimi i rosyjskimi romantykami, co zresztą prowadziło do przyjaźni i sojuszków, ale natychmiast rozdzieliła ich droga im na równi Muza, Historia, ukazując nie to samo jednym i drugim oblicze. To pewne, że poezja polska, dla Zachodu niedostępna, może być należycie oceniona tylko przez Słowian, i to samo stosuje się do poezji rosyjskiej. Największe (według mnie) arcydzieło tej ostatniej, „Jeździec Miedziany” Puszkina jest polemiką z Mickiewiczem: Piotr Wielki bezapelacyjnie przez Mickiewicza potępiony, urasta w nim do symbolu racji stanu, przerażającej, miażdżącej, ale prowokującej *na równi* do protestu i uwielbienia. Nikt kto nie zna i poezji polskiej i rosyjskiej nie może odgadnąć jak wielkie napięcia polityczne mogą znaleźć ujście w tej skromnej czynności, jaką jest stawianie na papierze rządków liter. Starałem się dotychczas utrzymać się w ramach relacji ale pozwolę tu sobie na wynurzenie nieco liryczne. Oto, czytając tę poezję i porównując ją z poezją francuską, angielską, amerykańską czuję się Słowianinem: tak inna jest ona

od tego, co kiedykolwiek powstało na Zachodzie. A przecie, mimo wspólnego Polakom i Rosjanom poczucia odpowiedzialności za kolektyw, wzajemne wpływy, jeżeli chodzi o tak ważne koncepcje historiozoficzne i samo poetyckie rzemiosło, są w ciągu całego XIX wieku niezwykle ograniczone. Wiele wyjaśnia wzajemna wrogość, ale oddajmy też co należy zagadkom niepodobieństwa dwóch słowiańskich języków i wyznajmy, że znakomita muskulatura rosyjskiego wiersza, jego silna tonicznosc, jego tok jambiczny rażą polskie ucho jako rodzaj nieprzyzwoitości: za głośne to, zbyt dobitne. I na odwrót: cierpiący na brak akcentów ruchomych, przykuty do swojego stałego akcentu na przedostatniej sylabie wyrazów wiersz polski drażni Rosjanina, jest to dla niego szept fali albo szelest zeschniętych liści.

Niemniej symboliści, albo raczej post-symboliści, polscy i rosyjscy, spotykali się w swoich hołdach składanych poezji francuskiej, w oburzającym opinię hasle: „sztuka dla sztuki” i w swoim eksperymentatorstwie. Następnie drogi poezji polskiej i rosyjskiej miały znów się rozejść, aż do dzisiaj zmierzając w różnych kierunkach.

Francuski poeta operuje słownikiem zastanym i „nowy dreszcz” wydobywa ze związków słów. Nie może on, jak poeta słowiański, być Adamem *wynajdującym* słowa przez akademie nigdy nie notowane. To właśnie, ten dar bełkotu, uważam za najciekawszy plód symbolistycznej uprawy. Dar tyleż wspaniały co niebezpieczny. Tak zwana Młoda Polska, ruch literacki na przełomie stuleci (jak młoda Skandynawia, Młode Niemcy) potwierdza wypowiedziane już przeze mnie zdanie o niezwykle trudnościach jakie trzeba pokonać pisząc po polsku. Gdyż wtedy to bunt przeciwko utylitarnej szarzyźnie pozytywistów i świeżo uzyskana swoboda doprowadziły do manieri, dziś śmiesznej. Nie darmo tzw. moderniści nawiązywali do barokowego Słowackiego, którego spontaniczność rzekomo upoważniała ich do karykaturalnych deformacji składni. W zamian za to ci z nich, którzy z uporem, powoli, przedzierali się ku białym plamom na mapie języka, pobili wynalazczością swoich zachodnich kolegów. Przede wszystkim Bolesław Leśmian (1878-1937) przebywający w towarzystwie fantastycznych tworców swojej wyobraźni, słowo-przedmiotów, słowo-istnień wywiedzionych z prasłowiańskich rdzeni (władał on równie dobrze polskim jak rosyjskim, co nie było bez znaczenia dla jego lingwistycznych poszukiwań). Leśmian jednak nie może być zbliżany do Dada. Jego niby folklorystyczne ballady są traktatami jego ontologii. Swoją strach przemijania pod niebem bez Boga starał się przewyciężyć zaludniając niebo i ziemię na nowo: bóstwem rezydującym w złożach języka niby w primordialnym chaosie, aniołami rodzącymi się na zaklęcie, poczwarami z

baśni, jako jedynej dostępnej nam rzeczywistości. Ten byt czysto semantyczny nawet całej przyrody jest u Leśmiana próbą odpowiedzi na pytania stawiane przez filozoficznie wyszkolony umysł. Niesprawiedliwy jestem pomijając w tym wstępie potężną osobowość Stanisława Wyspiańskiego (1869-1907), ten jednak należy w pierwszym rzędzie do historii teatru, który w Polsce jest prawie wyłącznie teatrem poetyckim.

Jeden z głównych instygatorów Młodej Polski, której datą końcową jest rok 1914, Zenon Przesmycki, był pierwszym polskim tłumaczem Artura Rimbaud a zarazem odkrywcą Norwida. Redagowane przez niego pismo „Chimera”, ogłosiło w kolejnych tomach pisma Norwida dotychczas w części tylko, albo nigdy nie drukowane. Nie od razu jednak powstał „mit Norwida”, dzisiaj dla polskiej poezji centralny, tak bardzo ten poeta-filozof wydawał się nieprzystępny.

Młoda Polska była zaledwie wstępem, okresem inicjacji, i dopiero po pierwszej wojnie światowej ukryte w niej linie podziału nabrały dobitności. Opowieść moja przenosi się do nowego kraju, jakim było państwo znów po długiej przerwie niepodległe od 1918 roku, gdzie wychowałem się i gdzie brałem czynny udział w sporach grup literackich, tak że wkraczam tutaj w sprawy bynajmniej dla mnie nie abstrakcyjne. Moje pokolenie wystąpiło w literaturze na początku lat 30-tych, tocząc boje ze „Skamandrem”. Nazwę tę nosiło pismo poetyckie, organ kilku utalentowanych poetów, którzy jeszcze w chwili kiedy trwały działania wojenne założyli w Warszawie kawiarnię „Pod Picadorem”, a wkrótce ogłosili manifest, stąd „Skamander” wkrótce zaczął oznaczać określoną szkołę. Młodość tych poetów, ich wybuchowy temperament, a przy tym znakomity zmysł formy natychmiast podbiły publiczność i tomy ich wierszy rozchodziły się w wysokich nakładach. Euforyczna afirmacja życia — a cały ich manifest do niej się sprowadzał — odpowiadała powszechnemu wtedy upojeniu nagłym odzyskaniem niepodległości, pochwała miasta i tłumu, w czym nie bez śladu pozostał ich podziw dla Walta Whitmana, harmonizowały z niemniej powszechną wiarą demokratyczną. Być może jednak przede wszystkim do ich powodzeń przyczyniała się ich rzadka umiejętność godzenia rodzimych tradycji z kosmopolityzmem, toteż zaćmili oni łatwo grupy konkurencyjne, ekspresjonistów i futurystów, zbyt oczywiście czerpiące swoje natychniienia z zagranicy. Julian Tuwim (1894-1953), Kazimierz Wierzyński (ur. 1894), Jarosław Iwaszkiewicz (ur. 1894), Antoni Słonimski (ur. 1895), Maria Pawlikowska (1895-1941), Jan Lechoń (1899-1956) nie zarzucali metryki romantyków a zarazem uprawiali eksperyment metryczny, dbali o dobry rym, ale umiejętnie posługiwali się i asonansem; od

symbolistów wzięli programową odrazę do spętania jednostki przez kolektyw i wiersze ich były jakże potrzebnym rewanzem Ego, ale i środkiem obrony poglądów postępowo-liberalnych; wierni Kochanowskiemu i Mickiewiczowi, otwarci byli na wpływy zarówno francuskie jak rosyjskie.

Cóż więc zarzucało młodsze pokolenie „Skamandrowi”, którzy bezsprzecznie dominował na scenie literackiej w latach 1918-1939? Sprzeciwiało się ono „potokowi lirycznemu”, nabożnej postawie wobec dajmoniona dyktującego poecie nuty, zaśpiewowi rytmicznemu mającemu stanowić, zdaniem krytyków sprzymierzonych ze „Skamandrem”, o istocie poezji. Te zarzuty streszczały się w jednym: za wiele słów. Tak zwana Awangarda krakowska, której przywódcami byli Tadeusz Peiper (ur. 1891) i Julian Przyboś (ur. 1900) żądała „wstydu uczuć” i matematycznego rygoru w wielopiętrowych metaforach, które powinny były przekazywać wzruszenie poetów w sposób okólny przy pomocy systemu odpowiedników. Fanatyczna i dogmatyczna, Awangarda nie chciała doceniać wirtuozerii swoich adwersarzy, w jej rozprawach teoretycznych i w praktyce ujawiała się jednak zasadnicza zmiana stosunku do języka, nowa świadomość jego oporów. Nie chodziło przy tym o *vers libre* — ten od dawna miał prawo obywatelstwa — raczej o odkrycie nowych zasad porządkujących poza wszelką, już odrzucaną, metryką sylabotoniczną. Był to czas mnożenia się ośrodków, pism i samotnych talentów, wszędzie jednak u młodych zaznaczał się odwrót od wyszydzonej „ładności”. Szorstkość i przyciszona dykcja Norwida były przez nich rewindykowane, poza tym folklor i liryka mieszczańska XVII wieku były poddawane awangardowej obróbce — tu trzeba wymienić przede wszystkim Józefa Czechowicza (1903-1939), albo Wilhelm Apollinaire-Kostrowicki wracał do ojczyzny swoich przodków w przekładach Adama Ważyka (ur. 1905), który, poeta wybitny, umiał wyciągnąć z tego spotkania zachętę do własnych pomysłów w zakresie wersyfikacji.

Ale i spazmatyczna historia kraju, zdawałoby się już nieco bardziej „normalna”, zaczęła ponownie nawiedzać poetów około roku 1930, tym razem w postaci kryzysu ekonomicznego i hitleryzmu dochodzącego do władzy w sąsiednich Niemczech. Pochwała życia, które rzekomo samo daje radę najtrudniejszym problemom, tak charakterystyczna dla „Skamandra”, już nie wystarczała. Atakowano więc go za programowy „witalizm”, ale również za poetykę, nie dostosowaną do udźwignięcia intelektualnych zawiłości, bezbronną wobec coraz większego zagrożenia myśli. Moje pokolenie było ponure, katastroficzne, przemawiało głosem Kassandry. Zauważmy tutaj, że mieszanina powagi i kpiny zdaje się być stałą cechą polskiej poezji, prawdopodobnie dlatego, że pociąg do bi-

zarre, do zabawnej makabry jest równy trwałości oddziaływania Baroku, toteż teraz pesymizm pisarzy szedł w parze z nasileniem drwiny. Stosuje się to również do „Skamandra”, którego ironia, poprzednio pogodna, staje po 1930 roku gorzka. Trudno nie przypomnieć tutaj, że Julian Tuwim, zakochany w specyficznej słowiańskiej magmie słownej (w czym był następcą Bolesława Leśmiana) najświetniejsze, jak sądzę, zastosowanie dla swojej pasji znalazł w długim poemacie politycznym, „Bal w Operze”: ten bal u jakiegoś dyktatora wydany dla tłumu plutokracji i arystokracji, tajniaków i kurew jest dręczącą fantasmagorią krzywych luster skontrastowaną z podmiejskim krajobrazem o świcie, w którym chłopci wiozą warzywa na targ; niemal niewiarygodną ekwilibrystkę rytmiczną utrzymuje w równowadze gniew. Mniej więcej równocześnie powstaje „Bal u Salomona” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (1905-1953) odbywający się nigdzie, koszmar, w którym obrazy i dialogi połączone według logiki marzeń sennych mówią o Europie rozpaczliwej i skazanej. Gałczyński, drwiący cygan, zongler albo menestrel, uczeń na równi ulicy warszawskiej, jej humoru, jej lumpenproletariackich zabaw i widowisk, jak poetów „Skamandra”, przenosił ich poetykę w sferę surrealistycznego absurdu i był zapewne jej ostatnim, samozaprzeczającym, wcieleniem.

Poezja w Polsce była własnością *inteligencji*, która zachowywała swoje przywiązanie do haseł postępowych, szczycąc się, że genealogia jej sięga wstecz do humanistów i radykalnych protestantów XVI wieku. Przerazenie i bezradność tej inteligencji, kiedy spostrzegła, że zarówno ze wschodu jak z zachodu nadciąga pochód gór lodowych, stalinowskiej Rosji i hitlerowskich Niemiec, a demokracja w kraju rozpada się pod naporem lokalnej, faszystowskiej, antysemitkiej prawicy, dostarczają niezbędnego komentarza do literatury lat trzydziestych. Podczas gdy prawica nie miała do poetów szczęścia, mimo że starała się ich kupować, podatność środowisk intelektualnych na marksizm znajdowała wyraz w poezji. Fałszywe założenia czy niedostatek talentów sprawiły, że Polska wydała w XX wieku paru zaledwie poetów dużego kalibru, do których da się zastosować epitet „komunistyczny”. Naczelna rola przypada tutaj Władysławowi Broniewskiemu (1897-1962). Przez gwałtowność swego moralnego oburzenia, spontaniczność rewolucyjnego porywu i ton liryczny, był on właściwie człowiekiem 1848 roku i jego romantyzm znajdował natychmiastowy odzew w masach. Męska, oszczędna w słowach, pieśń bojowa Broniewskiego metrycznie jest odmianą wiersza „Skamandra”, toteż był on nieraz atakowany przez Awangardę jako nie więcej niż „pieśniarz”. Biografia jego wskazuje na dramat polskich komunistów: oficer w wojnie 1920 z Rosją, wojnie w

której stawką była niepodległość kraju, komunista, następnie po 1939 r. więzień policji Stalina. Niemniej znamienne były losy Brunona Jasieńskiego (1901-1942); wyemigrował on przed II wojną światową do Związku Sowieckiego, gdzie umarł w jednym z obozów koncentracyjnych na Syberii.

Niech mi wolno będzie wspomnieć o grupie „Żagary”; której byłem jednym z założycieli. Związki tej tzw. „Drugiej Awangardy” z marksizmem były dość chaotyczne. Naszą zasługą była świadomość planetarnych rozmiarów zbliżającej się katastrofy i niejasne wycucie, że jedynie zmysł historyzmu, tak silnie w przeszłości poezji polskiej zaznaczony, może pomóc odnaleźć właściwą hierarchię form i tematów. Stąd też, mimo sojuszów z „Pierwszą Awangardą”, pewna niechęć do jej zainteresowań zbyt wąskich, i w naszej poezji wizje, transponowane symbolicznie, które wydawały się nagromadzeniem nonsensów, a które, niestety, okazały się prorocze.

Podczas II wojny światowej literatury „kolaboracyjnej” w Polsce nie było. Wiersze krążyły przepisywane ręcznie, odbijane na powielaczach albo drukowane w tajnych drukarniach. Cała poezja znów, jak niegdyś, znalazła się w służbie sprawy i była skuteczną bronią Ruchu Oporu. Na emigracji pisma przeznaczone dla polskich oddziałów wojskowych udzielały jej wiele miejsca. Jakkolwiek jednak ta poezja stanowi świadectwo zbiorowego ethos, nie należy jej przeceniać; słowo nie może unieść tragedii zbyt wielkiej, a Polska była krajem gdzie Nazi założyli Oświęcim, Majdanek, Treblinkę. Słowo w takich okolicznościach ulega automatyzmowi, cofa się ku środkom zastanym; krzyk nie jest w poezji skuteczny. Rozumieli to młodzi poeci warszawscy, którzy debiutowali w periodykach podziemnych. Dbając o wysoki poziom techniczny, przekształcali na swój sposób przedwojenne poetyki. Zginęli jednak śmiercią żołnierzy na barykadach i linia przez nich reprezentowana została bez dalszego ciągu.

Od 1945 roku, mimo że zależność kraju od Związku Sowieckiego nie pozwalała tego oczekiwać, pomiędzy poezją polską i rosyjską brak jest punktów stycznych. Ten dziwny z pozoru fakt wyda się mniej dziwny skoro pamiętamy, że poezja rosyjska, sztucznie zahamowana w rozwoju, pozbawiona jest dla polskiego czytelnika siły atrakcyjnej i w najlepszym razie przypomina mu utwory datowane 1918, od których już dzieli go zbyt wiele: tak trwałe w skutkach bywają zawsze modyfikacje wprowadzone we wrażliwości przez szybko po sobie następujące szkoły awangardowe. Straszliwe doświadczenie wojny i przewrót społeczny w kraju zdewastowanym, którego straty ludzkie były większe niż liczy cała ludność Szwajcarii, z kolei równały się nagłemu skokowi czasu

i czyniły całą epokę przedwojenną czymś odległym. Pokolenie, którego wczesna młodość przypadła na lata rzezi, zaczynało od nowa nazywać przedmioty, jak człowiek który długo był niemową. Nie znam w poezji europejskiej naszego stulecia nic bardziej pod tym względem przejmującego niż wiersze Tadeusza Różewicza (ur. 1921): odrzucenie metrum i rymu, także metafor, oznacza w nich wstręt do wszelkiej „sztuki” jako niemoralnej, wolę zupełnej nagości wobec ludzkiego cierpienia. Urywane słowa, najprostsze, wymawiane z zaciśniętym gardłem i filozofia nihilistycznego humanizmu, (jeżeli taki istnieje i nie jest alibi). Ta nagość człowieka na bezlitosnej ziemi, nie wspomaganego przez żadne konstrukcje, którą Zachód odsłaniał poprzez teatr Becketta, jest dominantą w poezji polskiej od 1945 roku. Zresztą ciekawy i być może logiczny jest późniejszy zwrot Różewicza ku jego własnej odmianie „teatru absurdu”. Rzecz jasna, „anty-sztuka” Różewicza i jego uczniów nie pojawiała się z nikąd; przygotowały ją protesty przedwojennych szkół awangardowych przeciwko „potokowi lirycznemu”, nic też niemal z zachodniej poezji, przynajmniej bezpośrednio, nie zapożycza. Ta autonomia uodporniała poetów na rymowane dziennikarstwo, narzucane przez władze w imię doktryny socjalistycznego realizmu. Przymusowe w latach 1949-1955, jest ono godne wzmianki tylko jako dowód totalitarnej aberracji. Uległość niektórych starszych poetów wobec tej doktryny, w istocie tak dwuznaczna, że obracała ją w pośmiewisko, jest jedną z polskich osobliwości: bo nihilistyczna drwina, nawet przebrana w urzędowe szaty, nie traci nic ze swego jadu. Popularność Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, zwłaszcza wśród młodzieży, była zapewne objawem erozji wszelkich wierzeń, co notuję bez zadowolenia. Ten majster od kombinowania ornamentów, wziętych z różnych stylów i różnych epok (znów Barok XVII wieku!) a przede wszystkim od posługiwania się w sarkastycznych celach tandetą, zmieniał idee w akcesoria widowiskowe, równie względne jak mody w strojach i uczesaniach. Jego *grand guignol* obezwładniał na równi idee fałszywe jak prawdziwe.

Inną osobliwością Polski po II wojnie światowej jest obecność w jej literaturze pisarzy, którzy osiedlili się na Zachodzie. Pospolita u ludzi zachodnich pogarda dla emigracji politycznej, zwykle bezsilnej, zamkniętej w swoich urojeniach i przez to jałowej, przenoszona bywa na dzieła literackie, muzyczne czy malarskie, tworzone przez *expatriés*, podczas gdy w istocie mogą one z klimatem emigracji politycznej mieć mało wspólnego. Teoretycznie poezja oderwana od językowego podglebia jest mało możliwa. Przykład najlepszych polskich poetów XIX wieku, którzy większą część życia spędzili poza granicami kraju, dowodzi czegoś przeciwnego. W każdym razie poezja polska ostatnich dwóch dekad,

niezależnie od taktyki rządu, nie była hermetycznie odgrodzona ani od poezji krajów zachodnich ani od tego co po polsku pisano za granicą.

Muszę przyznać się do naiwnego entuzjazmu, jakim napełniło mnie pojawienie się w Polsce po 1956 roku całej plejady młodych poetów czy raczej ich tłumu. Czyżbym był fanatykiem ciągłości? Lata 1949-1956 okazały się przerwą zaledwie, redukcja zbyt potocznej frazy, zapoczątkowana przed wojną, nie została powstrzymana przez chwilowy przybór urzędowej retoryki. To prawda, że ascetyzm tych poetów, debiutujących często z opóźnieniem, wskutek przeszkód cenzury, ich całkowite pozbycie się wiersza sylabo-tonicznego (w czym ważnym ogniwem był Różewicz debiutujący w 1946), nadawały ich wierszom cechy laboratoryjne i powodowały nieraz zarzut „niezrozumiałości”. Ale doskonalili oni instrument dobrze dostosowany do wymagań języka z natury podatnego na rytmy zmienne, przy czym bynajmniej nie w zamiarze uprawiania igraszek formalnych. Brzydota zaciekających murów, wydeptanych schodów, zardzewiałych rur, ciekących kurków w Mirona Białoszewskiego (ur. 1922) jest może rewindykacją rzeczy które jedynie są, kiedy wszystko nas opuszcza, jego modlitwy do drewnianej łyżki, do durszlaka, do pieca, mają uzasadnienie w tym krajobrazie ludzkim, w którym jedno kalekie drzewo na pustej równinie jest skarbem. Jak wiadomo wiele prób w nowoczesnej sztuce musi iść na przepaść zanim nie wyłoni się z nich nowa świadomość naszej kondycji, toteż nie ukrywam, że najwyższej spośród tych ascetycznych poetów cenię Zbigniewa Herberta (ur. 1924), który, wyrzekając się wszelkich ułatwień, odnalazł proporcje niemal klasyczne. Ostra, krystaliczna, intelektualna poezja jego operuje niejako samymi kwintesencjami, i w swoich skrótach sięga głęboko w zbiorowe doświadczenie, przewyższając paraliż woli, jaki pochodzi z doznania absurdu, inteligencją zdolną do rozróżnień. Herbert, poeta ironii historycznej, sprawdza więc dla mnie stałość, poprzez wiele przewrotów, z jaką igła magnetyczna poezji polskiej kieruje się ku czasowi zwaloryzowanemu Cypriana Norwida.

Zresztą różnorodność szkół poetyckich, ewolucja, po 1956 r. niektórych poetów starszych, nieraz, jak Aleksander Wat (ur. 1900), niegdyś futurysta, rozpoczynających drukować po latach milczenia, wpływy poezji anglosaskiej, związki poezji z teatrem awangardowym, a przede wszystkim zmienność politycznych sezonów, zmuszałyby do snucia przewidywań czyli do wkraczania w uprawnienia krytyki literackiej, stawiam więc kropkę.

Wyrzucam sobie, że tak wiele mówiłem o historii. W istocie jeżeli my, czytelnicy tej poezji w oryginale, odczuwamy ją jako do niczego na świecie niepodobną, to przede wszystkim z

powodu uporu, z jakim chroniła ona swój bukoliczny liryzm, swoją dziecinną i nieporadną zmysłowość, swoją wiarę, że pomimo wszystko ziemia jest dobrym miejscem pobytu. Taka, pogodna, opiewająca drzewa, rzeki, tańce zakochanych par, ukazuje się nam w książkach z XVI i XVII wieku a później w „Panu Tadeuszu” Mickiewicza i u pomniejszych romantyków. Serdeczna: a jej właśnie przypadło zmagać się z zadaniami, które inną, lepiej do nich zaprawioną, może by złamały. Wyzwanie zostało jednak przez nią podjęte. Język wiejskich gadułów, miękki, beztroško urodzajny, język serca nie mózgu, był naginany raz po raz, aż przekonano się, że jego ukrytą zaletą jest zdolność do raptownych skrótów, zjadliwych aluzji i że jego przyrodzona niechęć do abstrakcji jest kompensowana z nadwyżką przez niemal magiczny dar przemieniania pojęć w barwę, smak i zapach.

Seria klęsk politycznych, następujących jedna po drugiej od dwóch stuleci znalazła nie w publicystyce, ale w poezji odpowiedź. Publicystyka, niestety, była w Polsce zbyt często poezją, ale poezja, traktując o problemach zawiłych, umiała nie zniżać się do publicystyki. Przeznaczenia narodów, dialektyka postępu, walka przeciwko europejskim tyraniom, przyszłość cywilizacji śródziemnomorskiej — wszystko ją pobudzało do nowych skoków poprzez przestrzeń i czas. A zarazem nie ginęła w niej tęsknota do czystości liryzmu poza wszelkim dobrowolnie przyjętym obowiązkiem i wiele jej dzieł nie pozwala domyślać się okoliczności, mało pokojowych, w których się urodziły. W tej chwili przychodzi mi na myśl ta sztuka wierszem o ślepym Homerze, jaką młody żołnierz Ruchu Oporu, Tadeusz Gajcy (1922-1944) napisał podczas ostatniej wojny na krótko przed śmiercią.

Czyż poezja nie cierpi dzisiaj wszędzie na chorobę zwężenia, zubożenia swego człowieczeństwa, które wymaga minimum łączności z innymi, w gniewie czy nadziei, aby mogło nie ulec atrofii? Jeżeli tak, to poezja polska, podejmująca nieraz historyczne wyzwania, jest może lepiej od tej choroby zabezpieczona niż poezja zachodniej Europy. Ćwiczenie się w pracach zaledwie wykonalnych nie przemija bez śladu. Wtedy każdy tekst najbardziej osobisty ma podtekst troski o inne istoty ludzkie i możliwe jest to, co wyróżnia według mnie tych współczesnych poetów polskich których lubię: surowość, ironia, prostota.

Czesław MIŁOSZ

Powyższy szkic został napisany jako wstęp do „Anthologie de la Poésie Polonaise” w układzie K.A. Jeleńskiego. Antologia ukaze się w końcu bieżącego roku nakładem Edition du Seuil w Paryżu.

Na marginesie antologii

Kiedy ukazała się trzy lata temu antologia poezji węgierskiej w układzie mego przyjaciela Ładislás Gara, napisałem do niego entuzjastyczny list wyrażając nadzieję, że ktoś się kiedyś podejmie podobnej pracy dla poezji polskiej. Najbardziej mi się podobała w antologii Gara sama koncepcja: przetłumaczył on dosłownie (z pomocą kilku Węgrów równie dobrze znających język francuski) wszystkie wybrane przez siebie wiersze. Następnie pracował z kilkudziesięcioma francuskimi poetami nad transpozycją tych tłumaczeń na wiersze francuskie, z zachowaniem, w miarę możliwości, systemu metrycznego i rymów wierszy oryginalnych. Gara odpowiedział na mój list po prostu: „Dlaczego nie ty?”. Zanim zdążyłem się namyśleć, już urządził mi spotkanie ze swoim wydawcą, Editions du Seuil. Mimo zachęty Gara, mimo bardzo życzliwego nastawienia Editions du Seuil, nie wiem czy byłbym się podjął tej pracy, gdyby nie reakcja trzech przyjaciół poetów, do których zwróciłem się natychmiast z prośbą o radę i pomoc: odpowiedź Jana Brzękowskiego, Czesława Miłosza, Aleksandra Wata była jednomyślna. Nie trzeba tej okazji zmarnować, służą mi radą jeśli chodzi o wybór wierszy, zaczniemy od wymiany listów, przygotujemy razem projekt antologii. Niemal codzienne rozmowy z Watem, wymiana kilkunastu długich listów z Miłoszem i Brzękowskim były jedną z najprzyjemniejszych części mojej pracy.

Wat był najbardziej entuzjastyczny — może dlatego, że nasze podejście do poezji, upodobania, preferencje niemal zawsze się pokrywały. Oto jego reakcja na przesłany mu przeze mnie pierwszy projekt antologii:

„Gdy się widzi spis rzeczy, antologia staje się rewelacyjna! Po raz pierwszy okaże się, że Polska ma wielką, bogatą (wyrafinowanie bogatą) poezję — to chyba jedyna sfera polskiej kultury duchowej, która nie jest prowincjonalna, zaściankowa. To wynika bezspornie z Twojej antologii. Sądzę, że

powinna ona spowodować przewartościowanie w ogólnoeuropejskiej skali poetyckiej”.

Ten pierwszy projekt, który tak się podobał Watowi, był zresztą bardzo odmienny od antologii w jej ostatecznej formie. Byliśmy z Watem zdania, żeby bardzo bogato reprezentować twórczość dziesięciu poetów — od Odrodzenia po dzień dzisiejszy. Mieli wśród nich figurować oczywiście Kochanowski, Andrzej Morsztyn, Mickiewicz, Norwid — a z najmłodszych Białoszewski i Herbert. Jeśli chodzi o poetów poza tą „czołową dziesiątką”, nęciły nas wiersze mało znane, poeci tacy jak Antoni Czajkowski, Dunin-Borkowski, Rolicz-Lieder. Wertując po bibliotekach, z entuzjazmem pokazywaliśmy sobie „odkrycia”.

Jan Brzękowski był bardziej sceptyczny:

„Zamieszczanie poetów mało znanych jest pojętne, ale należy tu zachować dużą ostrożność, gdyż łatwo można narazić się na krytyki. Jestem się odchyleniem się od norm przyjętych przez oficjalną krytykę, tym bardziej, że wydaje mi się, że cała literatura przed romantyzmem wymagałaby nowego „ustawienia”, gdyż dotychczas kierujemy się tu kryteriami i wyborem historyków literatury z końca XIX wieku. Sugestie Twoje i Wata, podobnie jak i próba Miłosza literacko mnie pociągają, ale tego rodzaju rewizjonizm, poważnie przeprowadzony, wymagałby bardzo wiele czasu i pracy. Wszystko zależy od tego jak wiersze wyjdą w przekładzie. Jeśli tłumaczenia będą poetyckie i trafią do czytelnika — wszystko pójdzie dobrze... Natomiast jeśli przekłady tych wierszy poetów mało znanych będą tylko średnio dobre — byłbym raczej za ich odrzuceniem. Wat ma rację, że będzie to przede wszystkim antologia dla oświeconych cudzoziemców. Ale nie miejmy złudzeń: nie spowoduje ona nagłego pędu Francuzów do czytania polskiej poezji. Nie zdoła ona również narzucić żadnego określonego poety, nawet gdyby mu poświęciła znacznie więcej miejsca. Natomiast przypuszczam, że od czasu do czasu niektórzy Francuzi mogą do niej zajrzeć, by się dowiedzieć czegoś o poecie, o którym słyszeli w rozmowie, lub czytali w jakimś artykule”.

Miłoszowi zawdzięczam ustrzeżenie mnie przed niebezpieczeństwem, którym groziło antologii początkowe podejście Wata i moje: zatarciem polskiej „specyfiki” poprzez umiłowanie poezji „czystej”. Oto urywki z jego długiego listu na ten temat:

„Problem ogólny: Polacy to nie są „les Français de l'Est”. Rozumiem Twoją niechęć do „Pologne martyre”. Ale ona w ciągu XIX wieku jest faktem. Czy uciekając od niej nie wykrzywia się obrazu? A „Anielli” Słowackiego? A „Do Przyjaciół Moskali” Mickiewicza? Czy ten wiersz tak istotny dla stosunków z Puszkinem można pominąć? A przecie cały „Ustęp” Dziadów — wspaniały poemat opisowy! (z poezją epicką w antologii nietego). Z tego „Ustępu” cały Józef Conrad się bierze... Mickiewicz słabo reprezentowany. Pewnie, że liryki lozańskie są świetne, ale linia *swoistości* Mickiewicza — tego nikt z czytelników nie odgadnie... Sumując, antologia może spotkać się z zarzutem, że zaciera ten związek z historią, który jest cechą specyficzną polskiej poezji. Nie znaczy to, że chciałbym wyrzucać poezję „czystą”. Trzeba dążyć do jak największej różnorodności elementów... XX wiek: czego mi brakuje to: Przyboś wiejski i lewicowy. Czechowicz sielski i prowincjonalny. Sebyła pacyfistyczny. Szenwald komunistyczny. Liebert ironiczny albo katolicki. Jerzy Zagórski katastroficzny... Ogólna obserwacja.

Wybór zanadto zdaje mi się bierze pod uwagę poszczególne wiersze. Odnosi się to do całej antologii. W ten sposób zaciera się *swoistość* okresów, problemów i autorów. W XX wieku *dobrze* wychodzi to u Ważyka. Natomiast Różewicz jest pozbawiony w wyborze swojej obsesyjności i zrobiony na poetę wiecznościowej kontemplacji. Tak samo u Herberta równowaga szal jest zakłócona. Jest on od-historyczniony. Otóż nurt historyczny jest u Różewicza i Herberta bardzo silny, ale taki jaki we Francji w ogóle nie istnieje — wielka brutalność, traumatyczna. Ja bym wybrał inne wiersze. Prostsze i mniej francuskie. A *swoistość* Białoszewskiego? Ten wybór go przebiera w suknię intelektualną za ładnie skrojoną...”.

Myślę, że ostateczny układ antologii nie wywołuje już podobnych zastrzeżeń. Przeglądając kolejne spisy wybranych wierszy stwierdzam dziś, że jedynie pierwsze są złożone w większości z „wierszy które lubię”. W ciągu dwuletniej z górą pracy byłem coraz bardziej pod wrażeniem różnorodności polskiej poezji i główną moją ambicją stało się pod koniec aby antologia stała się tej różnorodności świadectwem.

Głównym problemem były, rzecz jasna, przekłady. Przeczytałem wszystkie chyba istniejące przekłady francuskie polskiej poezji. Jeśli się zważy, że wybitne polskie przekłady z poezji obcej są dziełem poetów, łatwo zrozumieć dlaczego olbrzymia większość francuskich przekładów polskich wierszy jest niezadawalająca: tłumaczyli je Francuzi rozumiejący po polsku, lub Polacy piszący po francusku. W obu wypadkach poeci byli wyjątkami. Z francuskich poetów — Oskar Miłosz, którego piękne tłumaczenia Ballad Mickiewicza włączyłem do antologii, oraz Charles Dobzinsky, który mistrzowsko przetłumaczył znaczną część „Pana Tadeusza”. Z poetów polskich — Marian Pankowski i Jan Brzękowski, którzy pisząc sami wiersze po francusku, nie tylko doskonale ten język znają, ale posiedli go jako poetyckie tworzywo.

System który, śladem Gara, przyjąłem — osiągnięcie francuskich „równoważników” polskich wierszy poprzez współpracę z poetami nie znającymi języka polskiego, nie jest nowy. „Śpiewy Historyczne” Niemcewicza zostały — słowami francuskiego wydawcy (chez Brockhaus et Avenarius, Paris 1939) „przetłumaczone dosłownie prozą z polskiego dzieła Monsieur Juliana Ursyn-Niemcewicza przez autora części historycznej i odtworzone wierszem francuskim przez poetów, którzy łaskawie ofiarowali swoją współpracę. Kilka śpiewów, to nie tłumaczenia, a oryginalne kompozycje”. Pomiędzy tymi francuskimi poetami, kilku znanych: Casimir Delavigne, Félicité de Lammenais, Frédéric Soulié, Théophile Gautier. Inne nazwiska przywodzą raczej na myśl prawdopodobną listę gości na wieczorze w Hôtel Lambert: la comtesse Bradi, la princesse Constance de Salm, le comte de Reséguier, Mme Laure Colombat de l'Isère, Jules de Saint Félix lub możliwe pseudonimy „bas-bleus” sprzed wieku, autorek sentymentalnych „feuilletons”: Elisa Mercoeur, Anaïs Segalas, Céleste Vien i Mélanie Walder. Tłumaczenia nie są wcale wierne, o co mniejsza, jeśli chodzi o ten pomnik retorycznej nudy jakim są „Śpiewy”. Jeden tylko wyjątek: przekład poematu o Władysławie

Warneńczyku przez Théophile Gautier. Wydawca, zadziwiony, nie powstrzymał się od odnośnika: „ten kawałek (*ce morceau*) jest odtworzony wierszem francuskim tak, iż każde słowo dokładnie odpowiada polskiemu tekstowi”.

Oto cytat z tego przekładu:

*Wladislas est tombé. Sous sa pesante armure
La terre pousse un triste et lourd gémissement:
Mort, la menace vit encore sur sa figure
Crispée horriblement.*

*Comme le Marcellus d'Auguste et de Livie,
Qui ne fit que briller sur le monde et mourut,
Notre Varnénien, dans l'avril de sa vie
Brilla, puis disparut.*

Trzeba przyznać że więcej tu istotnie Niemcewicza, niż autora „Emaux et Camées”.

Pomiędzy dawnymi tłumaczeniami, jedno tylko wydaje mi się ciekawe, gdyż zachowuje sztuczny wdzięk oryginału. Jest to „Zofiówka” Trembeckiego, „traduit en vers français par le comte de Lagarde, membre de l'Académie de Naples, Vienne, 1815”. Wydanie jest piękne i mając je w ręku można sobie wyobrazić, że na Kongresie Wiedeńskim Talleyrand i Metternich czytali z upodobaniem tę ewokację sztuki życia dawnej Europy, która im była droga:

*„...mon attention à chaque pas s'éveille,
Un prodige de l'art enfante une merveille,
Un habile hydrauliste a des eaux d'alentour
Crée dans un moment une âme à ce séjour;
Pour ses moindres détails empressés, attentive,
L'onde tantôt rapide et tantôt fugitive,
S'arrondit en cascade ou dans de longs canaux
Accourant nous offrir des prodiges nouveaux,
Des monts en un seul jet vont surpasser les cîmes
Ou tomber des rochers en créant des abîmes,
Puis, nappe transparente ou gerbe qui jaillit:
Le goût veut, l'art ordonne, et la nymphe obéit...”*

Na podstawie dosłownego przekładu Polaka Bogdana Jańskiego napisał Montalembert swoją piękną francuską wersję „Ksiąg Pielgrzymstwa”. W XIX wieku przekłady francuskie z polskiej poezji są bardzo liczne (zwłaszcza wierszy Mickiewicza). Niestety, wszystkie niemal są fatalne (prym wodzi tu niestrudzony tłumacz Mickiewicza Karol Przeździecki — „Charles de Noire-Isle”). Najlepsze istniejące tłumaczenia zawdzięczamy zresztą nie poetom a profesorom i filologom od Burgaud des Marets współczesnego Mickiewiczowi, aż po jakże zasłużonego Paul Cazin i świetnego tłumacza Słowackiego, Jean Bourrilly.

Traf chciał, że już na wiele lat przed początkiem mojej pracy nad antologią, współpracowałem z francuskimi poetami nad przekładami polskich wierszy. Przeszło dziesięć lat temu zwrócił się do mnie Armand Robin, u którego UNESCO zamówiło serię przekładów wierszy Mickiewicza. Z Robinem przyjaźniłem się od dawna. W mandaryńskim francuskim życiu literackim ten genialny dyletant, pijak, anarchista i mitoman był barwnym wyjątkiem — przypominał mi Gałczyńskiego. Robin zarabiał na życie prywatnym nasłuchem radiowym z dwudziestu kilku języków, z których rzeczywiście znał może osiem. Miał jednak tak nieprawdopodobną intuicję i biuletyn swój redagował tak żywo, że prenumerowały go za drogie pieniądze wszystkie ambasady i ministerstwa. Polski należał do tych języków, których Robin właściwie nie znał, ale przyznać się do tego nie chciał. Początkowo zachodził do mnie lub telefonował: „Dites-moi, mon vieux, mam lukę pamięci, jak jest po francusku „djévo”, „slontsé”, „lichtch” itd.”. Zaproponowałem mu wreszcie, że przetłumaczę dosłownie wiersze, o które mu chodzi, na co się zgodził skwapliwie. Byłem wówczas zachwycony jego adaptacjami, zwłaszcza liryków lozańskich Mickiewicza. Nie są to jednak przekłady „uczciwe”. Robin unowocześniał Mickiewicza identyfikując przedmiot z obrazem (poprzez systematyczne usuwanie „jak”, czy „niby”), poprzez personalizację („J’ai été pluie de pleurs” zamiast „Polały się łzy moje...”). Kilka jego przekładów włączyłem mimo to do antologii: są one zawsze interesujące. Ze wzruszeniem wspominam entuzjazm Robina dla „Poematu dla Dorosłych” Ważyka (który również adaptował na podstawie mego dosłownego przekładu). Zastwardziały, stary anarchista, Robin nienawidził wszelkiej władzy, a władzy absolutnej — absolutnie. Zmarł w tajemniczych okolicznościach we francuskim komisariacie, zaaresztowany w przeddzień wieczorem za pijacką burdę, po pijanemu zaś jego odraza do „flics” wyrażała się gwałtownie...

Następnej okazji do współpracy nad tłumaczeniami polskich wierszy dostarczył mi „polski” numer „Preuves” z początku r. 1957. Tłumaczyłem wówczas Jastruna, Ważyka, Pawła Hertz, Przybosia z pomocą Lucien Feuillade i André Prudhommeaux, do których zwróciłem się ponownie z okazji antologii. Niektóre z wierszy — Paweł Hertz, Przyboś — zostały wówczas ogłoszone w moim tłumaczeniu: Feuillade i Prudhommeaux nie chcieli ich zmieniać. Zdarzyło się to zresztą również kilkakrotnie w ciągu mojej pracy nad antologią, że poeci francuscy, którym proponowałem moje tłumaczenia odmawiali ich „poprawiania”, twierdząc że należy je w tej formie opublikować. Tym razem jednak dysponowałem współpracą pięćdziesięciu przeszło poetów i nie poprzestawałem na jednej odmowie. Dopiero gdy dwóch, trzech poetów radziło mi zachować moje tłumaczenie, dawałem za wygraną. Tak na przykład „Głos” Pawła Hertz, który w „Preuves” ukazał się w moim przekładzie, w Antologii figuruje w wersji (moim zdaniem o wiele lepszej) Anne-Marie de Backer. Tłumaczy to bardzo przypadkowy zestaw wierszy, których tłumaczenie uka-

zuje się w Antologii pod moim nazwiskiem: napisałem „pierwszą wersję” przekładów około czterystu wierszy — kilkanaście z nich okazało się zdaniem francuskich poetów, godnymi zachowania. Z tej samej przyczyny figurują w Antologii tłumaczenia Olgi Scherer-Wirskiej i Andrzeja Wata, którzy pomogli mi przygotowując „pierwszą wersję” francuską dwudziestu kilku wierszy.

Przystępując do pracy nad Antologią wiele skorzystałem z doświadczenia Gara z Antologią Poezji Węgierskiej. Przede wszystkim mogłem się zwrócić do szeregu poetów, którzy już nabrali pewnej wprawy w tej pracy. Gara zapoznał mnie z kilkoma poetami, którzy przetłumaczyli większość wybranych przez niego wierszy: są wśród nich poeci tak znani jak Jean Rousselot i Michel Manoll, oraz mniej znani, jak Paul Chaulot i Anne-Marie de Backer. Lucien Feuillade, który dla Gara i dla mnie przełożył większość wierszy średniowiecznych, znałem już poprzednio. Właściwość wszystkich tych poetów, to wspaniałe „métier” poetyckie, zdolność do „pastiche’u” pewnej epoki, albo nawet różnych epok, niebywałe opanowanie francuskiej prozodii.

Od kilkudziesięciu lat — od czasu gdy dominują w poezji konwencje „nowoczesne” — panuje na ogół przekonanie, że zachowanie metryki oryginału i rymów w przekładach wierszy jest zdradą poezji, gdyż zmusza siłą rzeczy do użycia synonimów, jeśli nie wręcz do zbyt wielkiej swobody w interpretacji sensu. Moim zdaniem jest to zasada słuszna w wypadku wierszy o zawartości intelektualnej (nawet o charakterze hermetycznym), a być może w ogóle w wypadku „wielkiej poezji”. Byłoby absurdem na przykład poświęcić najdrobniejszy odcień znaczeniowy w „Vademecum” Norwida dla zachowania metryki. Ale na odwrót — pewien gatunek poezji autentycznej jest całkowicie uzależniony od melodii wiersza. Mam wielką słabość do Lenartowicza — ale czyż można sobie wyobrazić „Złoty Kubek” przetłumaczony „prozą”? „Lirnikowi Mazowieckiemu” trzeba dać w każdym języku najbardziej do niego zbliżoną lirę. W moim posłowniu do Antologii starałem się wyjaśnić czytelnikowi francuskiemu systemy metryczne polskiej poezji, podobnie jak je wyjaśniałem francuskim poetom, którzy ze mną współpracowali. Tłumacze mieli do przewyciężenia wielkie trudności, które zostały rozwiązane na trzy różne sposoby: całkowita wierność metryczna, adaptacja wiersza metryką odmienną, ale bardziej odpowiadającą francuskiej poezji w danej epoce, wreszcie tłumaczenia poświęcające metrykę dla zachowania ścisłego znaczenia. Co mnie zadziwia, to ilość wierszy przetłumaczonych wiernie, z zachowaniem prozodii oryginału. Myślę, że polski czytelnik, znający na pamięć dany polski wiersz, będzie tak jak ja uderzony tą konfrontacją z jego francuskim „cieniem”: nawet akcenty toniczne, nie istniejące po francusku będą nadal grały w jego uszach. Porównam tutaj, aby ułatwić zrozumienie samej metody pracy, pierwsze linie kilku wierszy, od Średniowiecza po Romantyzm, w moim „pierwszym” tłumaczeniu (z zaznaczeniem ich formy metrycznej) z ostateczną wersją francuskich poetów.

BIERNAT Z LUBLINA: „Ten kto w lecie próżnuje...”

Wersja dosłowna:

La fourmi travailla tout l'été
Portait du blé dans son trou
S'apprêtant pour l'hiver
Se souvenant de l'avenir

(Wiersz ósmiosylabowy, rymy a-a, b-b)

Wersja Michel Manoll:

*Tout l'été peina la fourmi,
Porta du blé en son pertuis,
Voulant ainsi se prémunir
De l'hiver qui allait venir.*

MIKOŁAJ REJ: „A niechaj Narodowie...”

Wersja dosłowna:

Et que toutes les nations voisines sachent
Que les Polonais ne sont pas des oies, qu'ils ont leur langue.

(Wiersz trzynastosylabowy, rymy a-a)

Wersja Anne-Marie de Backer:

*Et que les peuples voisins sachent une bonne fois
Que la Pologne a sa langue, et qu'ici nul n'est une oie.*

JAN KOCHANOWSKI: *Tren I*

Wersja dosłowna:

Tous les pleurs, toutes les larmes héraclitiennes
Et les lamentations, et les plaintes simonidiennes,
Tous les chagrins du monde, tous les soupirs,
Et les regrets et les tourments et les torsions des mains,
Toutes et tous de suite entrez dans ma maison,
Aidez-moi à pleurer ma fillette gracieuse...

(Wiersz dwunastosylabowy, rymy a-a, b-b itd.)

Wersja Lucien Feuillade:

*O pleurs universels, larmes héraclitiennes,
O lamentations, plaintes simonidiennes,
Tous les chagrins du monde et les tristes soupirs,
Les mains tordues, les noirs tourments, les repentirs,
Tous, toutes, en ce jour, entrez dans ma demeure,
Pour pleurer avec moi ma fille, que tout pleure!*

KASPER MIASKOWSKI: „Euterpe”

Wersja dosłowna:

Portez avec le lys et la rose les violettes,
Ainsi que les abeilles
Portent vers leurs ruches les fleurs des champs fleuris
A la première rosée.

(Wiersz na przemian 11 i 5-sylabowy rymy a-a, b-b itd.)

Wersja Jean Rousselot:

Mettez en bouquet roses, lys, violettes,
Comme les avettes
Vont, pour leurs ruchers, butiner dans les prés
Aux primes rosées.

ADAM MICKIEWICZ: „Stepy Akermańskie”

Wersja dosłowna:

Je vogue sur l'étendue d'un sec océan,
Le chariot s'enfonce dans la verdure, flotte comme une barque,
Parmi les vagues d'une prairie murmurante, parmi l'inondation
[de fleurs
Je contourne les îles de corail du maquis.

(Sonet, wiersz trzynastosylabowy)

Wersja Michel Manoll:

Je vogue sur l'étendue d'un aride océan,
Comme une nef le chariot plonge en l'herbe fleurie,
Parmi son flot en crue et le chant sourd des prairies,
Je contourne les atolls du maquis d'Akerman.

JULIUSZ SŁOWACKI: „Na Powrót Prochów Napoleona”

Wersja dosłowna:

Et on l'arracha à la terre-cendre,
Et on l'arracha au saule pleureur
Où il était couché seul avec l'ange de gloire,
Où il était couché seul, non de pourpre rutilante,
Mais d'une cape de soldat enveloppé,
Et écartelé, comme sur la croix, sur l'épée.

(Wiersz dziesięciosylabowy, rymy a-b, a-b, c-c)

Wersja Jean Rousselot:

Et l'on tira du sol sa cendre noire!
On le ravit au saule, à l'ombre en pleurs,

*Où il dormait avec l'ange de gloire,
Enveloppé, non de pourpres splendeurs,
Mais — en soldat — d'une cape fripée
Et, comme en croix, couché sur son épée.*

Ale podobna całkowita wierność prozodii oryginału mogłaby również wprowadzić czytelnika francuskiego w błąd. Klasycznym polskim wierszem jest trzynastozgłoskowiec, który odpowiada wobec tego francuskiemu „alexandrin” (dwunastozgłoskowiec). Słusznie, wobec tego, te „Treny” Kochanowskiego, które są napisane trzynastozgłoskowcem zostały przetłumaczone na „alexandrins”.

Napotykam tu jednak na dodatkową trudność, która wynika ze zwięzłości języka polskiego. Wierne francuskie tłumaczenie z polskiego jest mniej więcej o jedną trzecią dłuższe od oryginału. Jak, wobec tego oddać, nie zubożając go, trzynastozgłoskowiec, jeśli trzeba go jeszcze skrócić o jedną sylabę? Nic więc dziwnego, jeśli Anne-Marie de Backer zaadaptowała trzynastozgłoskowiec „Hymnu” Konstancji Benisławskiej wierszem czternastozgłoskowcem. Charles Dobzinsky poszedł dalej i użył i użył szesnastozgłoskowca w swej pięknej wersji „Pana Tadeusza”. Inni poeci użyli wprost metryki odmiennej od oryginału, pozostając zresztą wiernymi tekstowi wiersza. André Prudhommeaux na przykład transponował wiersz Krasińskiego „Nim słońce wszędzie” (strofy złożone z czterech wierszy jedenastozgłoskowych) strofami o siedmiu wierszach ośmizgłoskowych. Mimo że jego wersja wydaje mi się całkiem wierna duchowi wiersza Krasińskiego, zaznaczyłem w antologii, w tym i w kilku podobnych wypadkach, że są to adaptacje, a nie tłumaczenia.

Wspomniałem już poetów, którym mogłem powierzyć wiersze wymagające przekładu z zachowaniem metryki i rymów. Chciałbym wymienić jeszcze kilku spośród nich. A więc mój stary przyjaciel Jean-Paul Samson, który zmarł nagle przed kilkoma miesiącami. Czynny anarchista, odmówił on służby w wojsku w czasie pierwszej wojny światowej. Skazany zaocznie na śmierć przez francuski sąd zamieszkał w Szwajcarii i dopiero przed kilku laty, ułaskawiony staraniem Camusa, mógł po raz pierwszy od r. 1914 odwiedzić Francję. Tłumacz francuski i wierny przyjaciel Silonego, Samson wydawał w Zürichu własnym kosztem odważny, bezkompromisowy miesięcznik „Témoins”. Był on entuzjastą polskiego Października i tak się interesował Polską, że wypytywał się mnie listownie o wszystkich poetów, których wiersze mu powierzałem. Zawdzięczam mu piękne wersje paru Trenów Kochanowskiego. Z poetów współczesnych zapalał specjalną sympatią do Wierzyńskiego — może dlatego że był sam tak czuły na nuty wygnania, nostalgii. Moim „odkryciem” jest Pierre Besse, zamożny młody człowiek, anachroniczny dyletant, który nigdy nie pracował i nie uważa się za poetę. Pokazałem mu kiedyś moje dosłowne przekłady i wziął ze dwa „dla zabawy”: okazał się bar-

dzo dobrym tłumaczem Morsztyna, Naruszewicza, Gomulickiego. To była moja „żelazna ekipa” tłumaczy. Wiedziałem już od Gara, że trudno będzie uzyskać współpracę innych poetów. Kilku z nich odmówiło współpracy z Gara nad antologią poezji węgierskiej, oświadczając, że nie mają zaufania do samej zasady tłumaczenia wierszy z języka którego nie znają. Tutaj pomogły mi osobiste przyjaźnie. Chodziło mi bardzo o pozyskanie dla mojej antologii Yves Bonnefoy i André du Bouchet, których najwyżej cenię z młodego pokolenia francuskich poetów. Ale obaj mają o tłumaczeniu poezji bardzo wysokie pojęcie: Bonnefoy jest najlepszym francuskim tłumaczem Szekspira, du Bouchet świetnie przetłumaczył Hölderlina. Ze względu na dawną przyjaźń ze mną zgodzili się początkowo na symboliczny udział: przetłumaczą po jednym wierszu. Na szczęście zaproponowałem im Norwida. W miarę jak tłumaczyłem im wprost z książki kilka wierszy, wzrastało ich podniecenie: „Przecież ten twój Norwid to Beaudelaire, to nawet (w „Piórze”) Mallarmé!”. Skończyło się na tym, że przetłumaczyli kilkanaście wierszy Norwida. Ale podczas gdy inni poeci zwracali mi nieraz odwrotną pocztą bardzo zresztą udane tłumaczenia, z Bonnefoy i du Bouchet spędziłem nad Norwidem kilkanaście wieczorów, ważąc każde słowo, napotykać na trudności, których sam nie posądzałem. Osobistej przyjaźni zawdzięczam również zgodę Audibertiego, który spośród kilkunastu wierszy poetów dawnych i współczesnych jakie mu proponowałem, wybrał wiersz Gałczyńskiego o ojcu: zagrały tu powinowactwa barokowe. Również na Gałczyńskiego rzucił się uroczy Paul Gilson, dyrektor literacki francuskiego radia, który zmarł przed rokiem. Wiedziałem zresztą co robię dając mu wiersze Gałczyńskiego, gdyż dostałem właśnie wówczas od niego tomik poezji, w którym figurował wiersz pod tytułem „Le Fiacre Enchanté”... Poza osobistą przyjaźnią, najważniejszym elementem w uzyskiwaniu współpracy francuskich poetów był wybór wierszy. Są wypadki oczywiste: nie miałem ani chwili wątpliwości, że Jean Grosjean, wielki poeta biblijny, nie oprze się psalmowi wiedeńskiemu Kochowskiego. Trudniej mi przyszło przekonać Francis Ponge’a. Wiedziałem, że pisze on esej o gongoryzmie i że jest wielkim smakoszem poezji barokowej. Ale dopiero pod dwóch rozmowach udało mi się namówić go na tłumaczenie Morsztyna. Przekłady Ponge’a stanowią zresztą w Antologii wyjątek, który mnie cieszy. Podczas gdy Morsztyn reprezentowany jest w niej również przekładami Anne-Marie de Backer, Mariana Pankowskiego i Pierre Besse, wiernymi prozodii i tekstowi, sam tytuł „Quatre Pièces d’Andrzej Morsztyn mises dans le goût français par Francis Ponge” wyraża nadbudowę wyrafinowanego baroku współczesnego na baroku XVII-wiecznym. Ponge dążył do wydystylowania z tych czterech wierszy samej esencji barokowej poezji, silnie podkreślając pewne obrazy. Na przykład, podczas gdy Morsztyn mówi po prostu o „korale” warg Agnieszki, Ponge wzbogaca to przez „la turgescence du corail pourpre”, i odkrywa to co polski poeta być może przeczuwał: że erotyzm tego po-

równania związany jest bardziej z ziarnistą powierzchnią koralu niż z jego kolorem...

Pierre Emmanuel zawdzięczać jeden z najpiękniejszych moim zdaniem przekładów jakie zawiera Antologia: „Zachwyceń” Słowackiego. Z poetów współczesnych najbardziej zainteresował Emmanuela Jastrun, którego wiersze w ogóle wyjątkowo mało tracą na tłumaczeniu. „Milczące Monologi” Jastruna tłumaczył inny znakomity poeta współczesny, Jean Follain, który powiedział mi, że wiersze te stały mu się wyjątkowo bliskie. „Śmierć Wirgiliusza” i „Kafkę” Jastruna powierzyłem memu staremu przyjacielowi Fernand Tourret, jednemu z największych żyjących erudytów, który z rzadka ze swych poszukiwań alchemicznych, ezoterycznych, matematycznych coś przekazuje w zwartym wierszu ogłaszającym w „La Tour de Feu”. Współpracował również ze mną Edmond Humeau, niegdyś bliski nadrealistów, oraz młody Michel Boujut, skazany na kilka lat więzienia za współpracę z F.L.N. i przebywający na wygnaniu w Szwajcarii.

Z najciekawszym wypadkiem identyfikacji spotkałem się powierzając kilka wierszy Pawlikowskiej Lise Deharme, delikatnej, wyrafinowanej poetce, przyjaciółce Bretona i Eluarda. W kilka dni później Lise telefonuje: „Venez tout de suite”. Zastaję ją jak zawsze ubraną przez Balenciagę czy Diora, w znanym mi salonie pełnym obrazów Ernsta, Tanguy, Domingueza, przedmiotów które należały do Baudelaire’a czy Victora Hugo, klatek z egzotycznymi ptakami, ale niepospolicie wzruszoną: Parlez-moi de cette femme!”. W miarę jak mówiłem, Lise Deharme przerywała mi: „Mais c’est moi, c’est moi! I pomyśleć, że nazywano ją Lilka... to niemal Lise”.

Z Armand Lanoux jestem w przyjaźni od przeszło dziesięciu lat, na długo przed jego nagrodą Goncourta, kiedy był bardziej znany jako poeta niż jako powieściopisarz. Charakterystyczne dla wielbiciela realizmu — wybrał on „Żeńców” Szymonowicza i Bajki Krasickiego.

O Manesie Sperberze nie myślałem wcale jako o poecie, wspominałem mu po prostu o mojej pracy nad antologią w czasie jednego z naszych częstych spotkań. Wzruszyła mnie jego reakcja: „Jakże bym chciał świadczyć moją współpracą o moim podziw dla polskiej literatury! Może mi powierzysz jeden wiersz Słonimskiego?”.

Cenną była dla mnie współpraca z Jean Cassou i Roger Caillois. Cassou zachwycił się „Fortepianem Szopena” Norwida, a dwa swoje tłumaczenia wierszy Zbigniewa Herberta Caillois ogłosił już (z moim upoważnieniem) w „Nouvelle N.R.F.”.

Marcel Béalu, samotny poeta dużej klasy, bliski niegdyś nadrealistów, tłumaczył z zamiłowaniem wiersze Miłosza. Miłosz również najbardziej się podobał Alain Bosquet i belgijskiemu poecie Pierre della Faille.

Wielu poetów zgodziło się na przetłumaczenie jednego tylko wiersza. Ale z jakim szacunkiem szlifował Claude Aveline swoją wersję „Jaskółek” Sułkowskiego. Pierre Oster, jeden z najwybitniejszych poetów młodego pokolenia, był pod wielkim wrażeniem młodych polskich poetów, ale zgodził się tylko na tłumaczenie „Nad Wodą Wielką i Czystą” Mickiewicza.

Z młodego pokolenia współpracowali ze mną również Léna Leclercq, Olivier de Magny, Théo Léger, René Tavernier.

Zdarzały mi się oczywiście również i odmowy. Na próżno starałem się przekonać Jacottet, młodego poetę, świetnego tłumacza Musila. Odmówił mi stanowczo współpracy hermetyczny Jean Tardieu. Z André Frénaud miałem długie dyskusje. Podobały mu się wiersze Wata, które mu proponowałem, ale chciał tłumaczyć Broniewskiego i Iwaszkiewicza. Wiersze Broniewskiego, które mu zaraz posłałem nie podobały mu się wcale, Iwaszkiewicz wydał mu się zbyt obcy: czy mogę mu odesłać Wata? Ale wiersze, o które chodziło powierzyłem już innym poetom...

Niespodziewany cios spotkał mnie przed samym zakończeniem pracy. Mój kontrakt z Editions du Seuil nie przewidywał objętości tomu, w zasadzie wzorowałem się na 500-stronicowej Antologii Poezji Węgierskiej, ale w zapale przekroczyłem nieco tę granicę, licząc na pobłażliwość wydawcy. Niestety, na kilka tygodni przed oddaniem rękopisu, Editions du Seuil oświadczyły mi, że nie mogą sobie pozwolić na tak obszerną książkę, i że ze względu na rynek wydawniczy, na kalkulację ceny egzemplarza itd. objętość Antologii nie powinna przekraczać 320 stron... Udało mi się przekonać ich wreszcie, że tak duże skróty byłyby fatalne, ale mimo to musiałem poświęcić kilkadziesiąt wierszy. Co usunąć z antologii, w której przywiązałem się do każdego wiersza? Zdecydowałem poprosić trzech poetów francuskich o przeczytanie rękopisu i zanotowanie jakie wiersze są — dla francuskiego czytelnika — najmniej przekonywujące, względnie jakie wiersze nie wytrzymują tłumaczenia. Z ulgą stwierdziłem, że opinie były niemal jednomyślne. Usunąłem ostatecznie dwa Sonety Pełtawskie Dunina-Borkowskiego (na pięć), wiersze Antoniego Góreckiego, satyry Placyda Jankowskiego, „Lalkę” Syrokomli, „Pocałunek Roberta Emmeta” Konopnickiej, dwa wiersze Rolicza-Liedera, jeden Wyspiańskiego, cztery Staffa, po parę wierszy Czyżewskiego, Sterna, Jasińskiego, Broniewskiego, Iłkowiczówny, Lechonia, Tuwima, Wierzyńskiego, Iwaszkiewicza, Wittlina, Peipera, Brzękowskiego, Wata, Lieberta, Pawła Hertza, Arnolda Śluckiego, Harasymowicza i Grochowiaka. Chciałem te przymusowe skróty tutaj zanotować, gdyż nie wszyscy poeci są w mojej Antologii tak obficie reprezentowani jak początkowo zamierzałem. Mam zresztą nadzieję część przynajmniej z tych przekładów — często bardzo dobrych — ogłosić we francuskich czasopiśmie.

Jestem, rzecz prosta, bardzo ciekaw, jak będzie we Francji

przyjęta ta Antologia, kiedy ukaże się za parę miesięcy. Mam jednak już dzisiaj duże zadowolenie z faktu, że po antologiach Pietrkiewicza i Singera, Pankowskiego, Verdianiego, Suzanne Arlet i Dedeciusa, nowy obszar polskiej poezji zostaje udostępniony obcemu czytelnikowi.

K. A. JELEŃSKI



TRAF W SEDNO!

**SZYBKIM PRZEKAZEM
PIENIĘŻNYM DO POLSKI**

TAZAB 22, ROLAND GARDENS • LONDON S.W.7

TEL. FRE - 3175

O cyganach i katastrofistach (2)

„Na progu sumienia”

Kiedy po dziesięcioletniej przerwie zaczęto w kraju pisać o Czechowiczu, skazanym na przemilczenie w okresie „błędów i wypaczeń”, starano się podkreślać akcenty społeczne w jego liryce. Było ich bardzo niewiele, ale były. Głównie w latach młodości. Więc w artykułach i antologiach wysuwano na pierwszy plan takie nieliczne utwory, jak „Ja karabin”:

*Tylko taki czas odmienny chciałbym poznać,
w którym ludu karabinu będę z wiosną.*

Za to pomija się inne, dojrzałe już wiersze, w których poeta wyraźnie dawał do zrozumienia, że lewicowe ciągoty wczesnego czasu uległy odwołaniu. Ten i ów usiłował powoływać się na wiersz „Pod Dworcem Głównym w Warszawie”, na owe — „mówię wam, przez nie runą mocne twierdze Jerycha...” — z ostatniego tomu „Nuta człowiecza”. Ale w tym samym zbiorze znajdziemy fragmenty, wielce żenujące dla marksistowskiego komentatora. Chociażby poetycką aluzję do zajęcia Zaolzia: „rąbek granicy nam wzeszedł” — albo gorzej jeszcze, o kopułach katedry w Mińsku!

To notuję na marginesie. Czechowicz nie tylko uciekał od tematyki społecznej — uważał ją za zabójczą dla poezji. Bardzo przykro odczuł odejście Czuchnowskiego, na którego tak mocno stawiał, ku problematyce społeczno-politycznej. Takich rozczarowań było więcej, ale żadne nie zachwiało postawą poety. Nie mogło być inaczej, gdyż rdzeń jego twórczości — nikt z krytyków tej zasadniczej cechy wciąż jeszcze należycie nie uwydatnił

— tkwi w tragicznym niepokoju istnienia, w mrocznych podszeptach metafizyki. Wystarczy wymienić trójkę poetów, których liryka przyciągała go najbardziej: William Blake, Rimbaud, Aleksander Błok. Koneksje te na pewno nie były przypadkowe.

A jak inni z najbliższego sąsiedztwa? W recenzji z „Cyganerii” Mrozowskiego, ogłoszonej w „Kulturze” (październik 1963) przez Tymona Terleckiego, czytamy następującą uwagę: „Z toku wspomnień wynika — i to stanowi jedno z charakterystycznych znamion wspomnianego zjawiska — że ani autor, ani jego współtowarzysze nie mieli ówczesnie „świadomości społecznej” i żadnych zainteresowań politycznych”.

Takby wynikało ze wspomnień Mrozowskiego. Wesołe lumpy istotnie nie miewają świadomości społecznej i politycznych zainteresowań. Ale opinia ta nie może dotyczyć całej grupy. Już w końcu lata dojrzał we mnie pielęgnowany od dawna zamiar założenia miesięcznika literackiego w Lublinie. Tak powstały „Dźwigary”, łączące radykalizm społeczny z awangardyzmem poetyckim, a mające ponadto ambicje — jakby to określić — unarodowienia czy usamodzielnienia polskiego marksizmu. Słowem, typowe „odchylenie nacjonalistyczne”. „Dźwigary” skończyły się na drugim numerze, ale narobiły sporo hałasu i stały się preludium do ostatecznego zerwania z komunizmem. Założona przy nich „Biblioteka poetycka” wydała trzy tomy: na pierwszy ogień poszedł „Alfabet oczu”, debiut Stanisława Piętaka.

Otóż sam fakt, że mieszkańcy „wspólnego pokoju” wciągnięci zostali w atmosferę tych zamiarów wydawniczych i prac przygotowawczych, ustawia nieco inaczej sprawę ich zainteresowań ideologicznych. Nie były obce Piętałowi, tyle że mgliste, nieskoordynowane, wylęte raczej z instynktu, niż z porządnego przemyślenia. Natomiast Domiński jeszcze w Lublinie starał się z całą świadomością dopracować własnej postawy, od początku zdecydowanie radykalnej. Łagodził ją wpływ Czechowicza, a może bardziej nawet wrodzony niedowierzający stosunek do każdego autorytetu.

W czerwcu, za pośrednictwem Bolesława Piacha poznałem Helenę Boguszewską i Jerzego Kornackiego. Piach, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Zandberg, był lubliniakiem, znał mnie od kilku lat i śledził z bliska moje peregrynacje literackie i polityczne, od studenckiej „Trybuny” poczynając, poprzez „Kurier lubelski” i „Barykady”, konfiskaty i procesy. Kontakt z autorami „Jadą wozy z cegłą” doprowadził do dalszego zbliżenia, aż wreszcie — częstemu już gościowi na Grochowie II — zaproponowano przystąpienie do grupy „Przedmieście”. Należeli do niej, prócz Boguszewskiej i Kornackiego, Halina Krahelska, Kazimiera Muszałówna, tenże Bolesław Piach, Degal, Sydor Rey, Władysław

Kowalski i kilku innych, których nazwiska wyleciały mi z pamięci. Byli to wszyscy prozaicy, często po prostu reporterzy o pewnym zacięciu beletrystycznym; Boguszeuwskiej zależało na włączeniu do grupy poety i stąd te umizgi pod moim adresem. Liczne areztowania, konfiskaty i procesy dały mi odpowiedni rozgłos, ktoś nawet raczył mnie nazwać „bohaterskim tenorem polskiej rewolucji”.

Fala lewicowej radykalizacji szła wtedy przez całą młodą literaturę. Wileńscy zagaryści już dawniej zerwali ze „Słowem” Mackiewicza, wkrótce ich część, z Henrykiem Dembińskim i Stefanem Jędrychowskim na czele, miała przejść na skrajne pozycje i doszłusować do komunizmu; założone w roku 1935 „Po Prostu” było niewątpliwie pismem partyjnym, choć odzegnrywano się od tego oficjalnie. Ostrożniej, ale w podobnym kierunku szła grupa lwowskich „Sygnałów”. Zaczynało się montowanie „Zjednoczonego Frontu Pisarzy przeciwko faszyzmowi i wojnie”, odpowiednik Frontu Ludowego na terenie literackim. W tym samym mniej więcej czasie wybuchła awantura z Legionem Młodych.

Po moim przyjeździe do Warszawy w końcu kwietnia 1934 roku z miejsca zaproponowano mi współpracę z wspomnianym już tygodnikiem „Państwo Pracy”. Jeden z zasadniczych artykułów ukazał się w tym piśmie właśnie wtedy, pod przydługim tytułem wziętym z mego wiersza „Piłsudski”: „Ale gdzie podziać się z sercem, gdy czarny wstanie Żyrardów i barykadą kamieni runie na progu sumienia?”. Propozycja wydała mi się interesująca, chociaż redakcja nie płaciła honorariów. Zgodziłem się i napisałem trzy czy cztery wstępniaki, idące po identycznej linii: rewolucyjne reformy społeczne pod auspicjami niepodległościowych tradycji Piłsudskiego. „Legion Młodych”, którego rozwojowi ideowemu nadawali ówczesnie ton Zbigniew Zapasiewicz, Wacław Zagórski, Stefan Jędrychowski, szedł całą parą na lewo. Opozycję uprawiali Janusz Laskowski i Stachurski, zanim sami zradykalizowali się z biegiem czasu. Dość rychło skończyło się niewypałem. Seniorzy „Legionu” odmówili dalszego poparcia i wydęty balonik pękł z hukiem. Najbardziej ideowe elementy odeszły — Zapasiewicz wstąpił do PPS — organizacja przetrwała aż do września 1939 roku, ale dawny dynamizm skończył się bezpowrotnie. Rola „Legionu Młodych” na uniwersytetach skurczyła się od tego czasu do minimum. W przełomowym okresie nagle dał znać o sobie Henryk Domiński. Wydelegowany przez Komendę Główną do Lublina, wycygał od Czechowicza listy polecające do kilku seniorów. Ci sądzili w dobrej wierze, że Domiński przyjeżdża, aby uspokoić bardziej podniecone elementy. Tymczasem ten stanął zdecydo-

wanie po stronie „skrajnych” i doprowadził do rozłamu, przy czym nie obeszło się bez pewnego skandalu.

Czechowicz był rozszalony i długo nie mógł tego „kłapaczowi” wybaczyć. Nie tyle chodziło o lekką kompromitację wobec lubelskich znajomych, co o pierwszy dowód, że mistrz nie panuje całkowicie nad uczniem, że ten w ważnych sprawach potrafi już wziąć na kiel i wyłamać. Na to nie było rady. „Domińszczak” patrzył w poetę nadal jak w tęczę, ale pod innymi względami uniezależniał się zdecydowanie.

Większość młodych poetów, mieszkających w Warszawie, zerkła na lewo, często bardzo zdecydowanie. Coraz to powstające z wielkim hałasem nowe grupy poetyckie — „Kwadryga”, „Meteor”, „Kadra” itd. — z reguły były mocno radykalne, tym przecież najbardziej w Polsce międzywojnia rozpowszechnionym radykalizmem, który nie miał żadnych podstaw doktrynalnych, ani nawet światopoglądowych. Sentymentalne tendencje utożsamiano z postawą — podobnie rozgorączkowany wyrostek myli ciągoty erotyczne z prawdziwą miłością.

Grupy te szybko rozpadały się: autentyczne talenty wchodziły na własne drogi, pomniejszych nieubлагana selekcja czasu przesuwiała ku marginesom. Dzieje „Kwadrygi” były najbardziej może pouczające. Pismo istniało niecałe trzy lata. Wychodziłoby zapewne dłużej, gdyby nie to, że w międzyczasie urwała się nitka więz, łącząca członków grupy. Na samym początku wystąpiono w sposób, wyrażnie obliczony na rozgłos; z jednej strony ostre ataki na skamandrytów i „Wiadomości Literackie”, z drugiej — proletariackie manifesty, pod wysiłonym patronatem bardzo niewłaściwie dobranej pary świętych: Karola Marksa i Cypriana Norwida.

Gdy przyjechałem do Warszawy i nawiązywałem pierwsze znajomości, „Kwadryga” była już w całkowitym rozkładzie. Tylko nieliczni pozostali wierni temu, co usiłowano określać jako „postawę proletariacką”. Lucjan Szenwald stał się czołowym publicystą komunistycznego „Lewaru”, Dobrowolski pisywał kiepskie poematy: „Powrót na Powiśle” i „Janosik z Tarchowej”, później wydawał przez jakiś czas „Nową Kwadrygę”, nieudaną próbę zgalwanizowania nieboszczyka. Flukowski, Sebyła, Gałczyński nie mieli już wtedy nic wspólnego z Marksem i proletariatem. Ninę Rydzewską, niegdyś konfiskowaną za „błuznierstwo”, poznałem w charakterze żony jednego z działaczy klubu „Prometeusz”, politycznego emigranta z Kaukazu, Osetyna Ahmeta beja Barasbi Baytugana.

Przy „Lewarze”, który zaczął ukazywać się, jeśli mnie pamięć nie myli, w 1934, skupili się najsłabsi, więc tenże Szenwald, Leon Pasternak, Juliusz Grot, Stanisław Jerzy Lec, Szem-

plińska, Wygodzki. Degal... Czy wszyscy należeli do partii? Większość z wymienionych — na pewno; Pasternak i Wygodzki mieli już za sobą odsiedzione wyroki, ale z tym bywało rozmaicie. Znany był wypadek Andrzeja Wolicy, postaci wręcz tragicznej; zagarnięty przez policję w czasie jakiejś masówki, w areszcie śledczym zaczął chwalić się rzekomymi wyczynami rewolucyjnymi, znalazł się, oczywiście, donosiciel i Wolica otrzymał dość ciężki wyrok, właściwie za... gadulstwo. Po wyjściu z więzienia własni towarzysze oskarżyli go o trockizm, a później nawet o prowokację. Słaby poeta, zdążył na krótko przed wojną wydać interesującą powieść, „Ulica Ogrodowa”. Zginął w tajemniczych okolicznościach na samym początku okupacji.

Posądzenie o trockizm mogło pociągnąć za sobą skutki wielce nieprzyjemne; między innymi padł jego ofiarą Stefan Gołąb, kiedyś nieźle zapowiadający się liryk. Naturalnie, lista śmiertelnych grzechów przeciw ortodoksji była znacznie obszerniejsza: lewactwo, odchylenie prawicowe, odchylenie nacjonalistyczne, etcetera. Specjalistą od węszenia herezji na terenie literackim stał się Szenwald i, jak się zdaje, wytrwał w tej chwalebnej roli pod okupacją sowiecką i później, w armii Berlinga, gdzie dochrapał się jako politruk rangi kapitana. Obok niego robił identyczną karierę Adam Ważyk.

W tym wypadku Czechowicz miał rację: marksizm zjadł świetne talenty Szenwalda i Elżbiety Szemplińskiej. Wystarczy zestawić poemat „Kuchnia mojej matki”, drukowany w „Wiadomościach Literackich”, w roku 1931-ym, z wierszami, które Szenwald ogłaszał w późniejszych latach w „Lewarze”, czy choćby z dłuższym utworem „Scena przy strumieniu”, bardzo ambitnie zakrojonym, lecz poronionym i w założeniu i w wykonaniu mimo rozsiane tu i ówdzie piękności.

Szemplińska zapowiadała się wręcz rewelacyjnie. Dwudziestoletnia ledwie dziewczyna pisała śmiałe, odkrywcze poezje, przesycone gwałtownym biologizmem, ale w szczęśliwym stopie z bardzo oryginalną wizją życia. Ten „biologizm odrealniony”, czy raczej przeniesiony w inny wymiar, świecił niebyłe jakie triumfy w takich młodzieńczych wierszach, jak „Ciało” czy „Nogi sprzątaczk”. Potem jednak Szemplińska zaczęła ogłaszać utwory, zapewniające, że ma we krwi „klasową świadomość”, i wszystko rozlało się. Świetna zapowiedź nigdy nie została spełniona.

Nie był na pewno komunistą Edward Szymański, bardzo ciekawy człowiek, zupełnie nie dbający o swoją twórczość poetycką. Jego także należałoby uznać za zmarnowany talent, nie tylko dlatego, że zginął przedwcześnie w Oświęcimiu. Krępy, bardzo szeroki w ramionach, o mocnym uścisku dłoni i kanciastych ruchach robociarza, Szymański miał ogromną łatwość pisanja i mało

czasu, wiecznie pochłoniętego przez pracę zarobkową i społeczną. Przykro powiedzieć — nie zostawił po sobie książek na miarę swego talentu. Był wybitnym poetą *in potentia*. Antologia Matuszewskiego i Pollaka skrzywdziła go, ukazując od strony łatwych wierszy plakatowych, pisanych od ręki, nieraz od razu w drukarni, na czekającej maszynie. Raczej należałoby zamieścić nieliczne wiersze, powstające bez doraźnej tendencji publicystycznej. Szymański był bodajże jedynym poetą, z którym Konstanty Gałczyński zaprzyjaźnił się naprawdę i, co więcej, czuł się wobec niego zażenowany.

To chyba w „Drodze” ukazał się krótki wiersz Gałczyńskiego — „Do Edwarda Szymańskiego”.

*W twoje gospodarstwo, gdzie trzeba chleb za wiersze kupować
(że to najbardziej złoty chleb, wyznasz otwarcie),
prosto z gospody z latarniami i kwiatami prowadź,
Edwardzie.*

*Oto twój dom. W ciszy serca Lukrecjusza tłumaczysz.
Jeszcze będziesz bardzo, bardzo sławny — zobaczysz.
Tobie trud, ale tobie miłowanie jedynej i palma.*

*Niech się święci twój przekład „De natura rerum”
i twoja córka, czarna moriwa z zapachem ajeru
i Pani twoja — Venus Alma.*

Na tę czułą epistołę Szymański odpowiedział gwałtowną repliką, której tekstu, niestety, nie pamiętam. W każdym razie gromił Konstantego Ildefonsa za jego nieodpowiedzialne liryczenie i zapowiadał groźnie przyszłą katastrofę twórczą w zetknięciu się z siłami historii. „Oślepniesz! Ogłuchniesz!” — powtarzało się przy końcu każdej strofy. Powojenne peregrynacje Gałczyńskiego, które jaskrawo wykazały słabość poety i jego bezbronność ideową, potwierdziły w pewnym sensie bezlitosną ocenę Szymańskiego.

Z jeszcze bardziej gwałtownym wierszem wystąpił on przeciw Światopełkowi Karpińskiemu. Jeśli pamięć mi dopisuje, było to w roku 1938. Karpiński pisał wówczas, później luksusowo wydany „Poemat o Warszawie”, na zamówienie prezydenta miasta, Starzyńskiego, i fragment, poświęcony Woli wydrukował w „Robotniku”. Ujął temat bardzo sielankowo, mało realistycznie i bez śladu jakichś zainteresowań społecznych. Szymański wpadł w pasję i wybuchnął gwałtowną diatrybą, wydrukowaną również w „Robotniku”:

*Przyjechało toto tramwajem
i taniutko, za groszy dwadzieścia,
popatrzyło, gdzie tramwaj staje,
by opisać piękno przedmieścia...*

Karpiński chodził mocno zakłopotany. „Czegóż chcecie? — odpowiadał nagabującym go przyjacielowi. — Wiersz jest doskonały i można by na niego odpowiedzieć tylko wierszem. Ale jeszcze lepszym, lub przynajmniej równie dobrym”.

Jednak Duch Święty tchnie gdzie chce. Ten sam Karpiński, pozornie pięknoduch i bawidamek, salonowy, estetyzujący poeta, doskonale czujący się w otoczeniu takich cynicznych mięczaków, jak Janusz Minkiewicz, kalamburzysta i mieszczański dowcipniś, stały bywalec eleganckich lokali oświadczający prowokacyjnie: „Nie rozumiem jak można żyć bez stu złotych dziennie...” — jest jednak autorem wiersza może najlepiej wyrażającego dławiącą atmosferę tamtych lat:

*A nam jest duszno w jaśminach. Czarno idziemy zgarbieni.
Nie czas już zrywać z wieczorów gałęzie kwitnących gwiazd.
Nie można chodzić po niebie. Nie umie się chodzić po ziemi.
Patrz, jak ciężko ojczyzna oddycha piersiami miast.*

*Przetnij tę ciszę piaszczystą, poezjo ostra i wieszczą,
śpiewałaś wielkość tej ziemi, teraz jej małość zlicz.
Otwórzcie okna i oczy: „Powietrza! Powietrza! Powietrza!”
K r z y c z !*

Ale to były chwile wyjątkowe. Popularny Świątek powracał do lekkich, satyrycznych wierszyków, do „Szopki Warszawskiej”, do Simona i Steckiego, zapraszał wesołych koleżków do swego mieszkania, przy czym stara niańka Jadwiga, wciąż widząca w swym wychowanku psotnego chłopczyka, burczała nieodmiennie na widok każdej nowej twarzy: „Znowu jakiegoś pijaka i darmożjada przyprowadził...”. O wspólny język z Karpińskim było trudno. Myśmy tworzyli cyganerię — z przeproszeniem! — proletariacką, z trudem i wysiłkiem przebijającą się przez życie; autor „Giocondy” należał do cyganerii burżuazyjnej, zawsze rozporządzającej pieniędzmi.

Kontakty z innymi ośrodkami lewicowymi były raczej luźne i dorywcze. Mało kto spoza Warszawy zakotwiczył na stołecznym bruku na stałe. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek po „Najeździe Awangardy” w roku 1934, zawitał Marian Czuchnowski, którego za to spotykałem kilkakrotnie w Lublinie. Czuchnowski zaczął radykalizować na ostro właśnie wtedy, gdy ja przestawałem. Poe-

mat „Powódź i śmierć”, skonfiskowany częściowo przez cenzurę, zbiegł się w czasie z moim artykułem „Uzurpatorzy wolności”, który przepieczętował ostateczne rozstanie się ze skrajną lewicą. Nie popsuło to jednak naszych stosunków osobistych, a tylko je rozluźniło. Czuchnowski zawadzał o Lublin w związku z wypadami na wieś krasnystawską i zamojską, na wiece organizowane przez ludowców. Zarabiał na tych wiecach na nowe procesy, więc musiał przyjeżdżać znowu, zawsze, jeśli to zdarzało się w zimie, w chłopskich butach, szlagońskiej (niemal sławuckiej) burce i okrągłej futrzanej czapeczce, dość przypominającej papachy Kozaków kubańskich. W takim oryginalnym przyobleczeniu ściągał na siebie uwagę i ułatwiał robotę tajniaków i łapsów.

Bronił go niezastąpiony Kundzio Bielski, niegdyś poeta z „Reflektora”, a ówczesnie adwokat, osiadły od kilku już lat w Krasnymstawie. Przedtem tenże Bielski występował wielokrotnie na moich sprawach wynikłych z licznych konfiskat. Na ogół miał szczęśliwą rękę i w ostatecznym wyniku nawet najcięższe sprawy kończyły się nieźle.

Przez jakiś czas kontaktowałem się dość blisko z Adamem Galisem. Lubliniak, daleki krewny, czy powinowaty Radka-Sobelsona, umiał doskonale godzić swój zakamuflowany komunizm z pracą w „Tygodniku Ilustrowanym”, posadą w radio i poparciem Kadena-Bandrowskiego. Tom wierszy „Bryły” (1933), w którym Galis wróżył zgubę „światu plugawszemu od piekła”, zapowiadał mocną indywidualność poetycką. Skończyło się na zapowiedzi.

Zwarszawizował się całkowicie przybyły ze Lwowa Tadeusz Hollender. Pisywał wówczas nieźle satyry i mocno retoryczne poezje, dużo i przeważnie dobrze przekładał z literatury ukraińskiej. Zamierzona antologia współczesnej liryki ukraińskiej, pt. „Sześćdziesięciu z tej i tamtej strony Zbrucza”, już nie zdążyła ukazać się przed wojną. Hollender był chyba jedynym z młodych pisarzy nie żydowskiego pochodzenia, który stale współpracował z „Naszym Przeglądem”. Noszony na rękach przez liberalne środowisko inteligenckie, zbliżone do tego dziennika, pływał jak pączek w smalcu, a zwłaszcza bardzo sobie chwalił awanse pięknych warszawskich Sulamitek. Mało kto spodziewał się, że ten niepozorny chudeusz o czerwonych ciągotech wykaże tyle siły charakteru i zachowa się z taką godnością w okupowanym przez Sowiety Lwowie. W czasie wojny poezja jego, po plakatowemu powierzchowna i, jako się rzekło, retoryczna, dojrzała, pogłębiła się i zyskała na dramatycznym oddechu. Kula hitlerowska zabiła go właśnie wtedy, gdy zapowiadał najwięcej.

Komunistą w stosunkowo najłagodniejszym wydaniu był Jan Śpiewak, którego poznałem w Równem, gdy odbywałem służbę

wojskową w tamtejszej podchorążówce. Przeniósł się do Warszawy na krótko przed wojną i cierpliwie dorabiał się własnego poetyckiego wyrazu. Nie spieszył się, toteż jego pierwsza książka — miał wtedy lat trzydzieści — przyniosła wiersze dojrzałe, pozbawione potknięć typowych dla najzdolniejszych nawet debiutantów. „Wiersze stepowe” prawie nie miały akcentów społecznych, Śpiewak nie wypowiadał się też na tematy polityczne i jako krytyk literacki chętnie współpracował z prasą pravicową, np. z zachowawczym „Czasem”. Wiarę w marksizm, dość żarliwą, zachował na czysto prywatny użytek.

I on wciągnął się, jak tyłu innych w „krąg czechowiczowski”, zresztą o wiele luźniej niż przedtem mieszkańcy „wspólnego pokoju”. Gdy zacząłem prowadzić z Czechowiczem i jego grupą wspomnianą powyżej wojnę podjazdową (głównie w „Myśli Polskiej” a także w „Kurierze Porannym”), Śpiewak informował mnie co się dzieje na Narbutta i jakie są reakcje zaatakowanych.

To właśnie przez niego poznałem w jesieni 1933 uczennicę rówieńskiego gimnazjum, szesnastoletnią ówczesznie Zuzannę Ginczankę, której sądzone było zginąć osiem lat później z hitlerowskiej ręki. Sana — w Warszawie chętniej nazywano ją Giną — nie miała jednak żadnego powołania na Amazonkę rewolucji i nie poszła śladem Elżbiety Szemplińskiej, czy Henryki Łazowertówny, mimo, że z racji nawiązania współpracy ze „Szpilkami” nie brakowało lewicowych powiązań i znajomości. Ale Zuzanna zasługuje aby o niej napisać szerzej i osobno.

Młoda lewica nie wydała żadnego polskiego Majakowskiego ani Bertolda Brechta. Broniewski nie miał powodu obawiać się zwycięskiego rywala, który nie przychodził. Nie spełniły się nadzieje pokładane w czołowych żagarystach, również wyłamało po drodze kilku innych. O Szenwaldzie i Szemplińskiej już była mowa. Im bardziej konsekwentnie szli na lewo, tym większemu zamęczeniu ulegało źródło ich liryki. Okazywało się po raz nie wiadomo który, że marksizm i poezja stanowią stadło zdecydowanie niedobre.

Nurt radykalny dawał najpiękniejsze wyniki wtedy, gdy ograniczał się do humanistycznego protestu, bez doktrynalnych uzasadnień. Stąd niezaprzeczalne pierwszeństwo Broniewskiego, który swoją popularność i wpływ zawdzięczał szczęśliwemu stopowi hasel społeczno-rewolucyjnych z odnowioną i unowocześnioną tradycją niepodległościowo-romantyczną. Słynne — „a umarłych w wieczności rozpostrzyj, jak chorągwie podarte na wicherze!” — łączyło się bezpośrednio z najszlachetniejszym patosem romantyków i to on zaważył mocniej, niż konkretne postulaty walki. Ci, którzy, jak lewicowa awangarda krakowska z Ignacym

Fikiem na czele, zechcą do poezji rewolucyjnej wprowadzić „rachunek i sylogizm” i odczarować uczuciowe mgiełki, nie wyjdą poza formalnie ciekawe, ale w gruncie rzeczy dość jałowe eksperymenty. „Kocham nowy plan świata” — te słowa mogły trafić do przekonania, ale miłości w sercach na pewno nie budziły. Bo tak już zawsze było i jest, że wiersze społeczne, aby stać się poezją, muszą, przekraczając „próg sumienia”, uderzyć o niego zgiętym kolaniem. W dwudziestoleciu udawało się to jedynie niewielu.

(D. c. n.)

Józef ŁOBODOWSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Bobuś żywy

Kto nie wierzy, niech spojrzy: wzrost dwa metry, włosy blond, gęba uśmiechnięta. Ale w czasie, gdy zaczyna się nasza opowieść nie wielu ludzi go widziało, bo się Bobuś ukrywał. A gdy go kto przypadkowo zobaczył — to się wzdragał i krzyczał: to ty żyjesz?

A jakże! Bobuś żywy i nawet nie draśnięty! Czy można go winić? Nie! Nawet dziwić się nie trzeba, bo Bobuś, jak większość ludzi w jego wieku wyszedł z wojny cało.

Ale ludzie, jak to ludzie. Nie wiedzą, że przy operacjach na większą skalę (jak to często Bobuś mówił) łatwiej jest zniszczyć domy, niż ludzi. To niszczenie domów Bobuś naocznie obserwował i głęboko przeżył bo był młodzieńcem z miasta i na wsi siedzieć nie cierpiał. Ale teraz, czy chciał czy nie chciał — musiał.

Bobuś, choć trochę z usposobienia osowiały, filozofem nie był. Krzewił w sobie zacięcie oficerskie (choć gwiazdki oficerskiej nie miał) i do życia podchodził prosto.

Trudno więc się dziwić, że w czasie gdy owej pamiętnej nocy:

- miliony ludzi przewaliły się dalej ze Wschodu na Zachód,
- gdy skończyło się jedno, a zaczęło się drugie,
- gdy ludzi przeciętnych miały uczucia to grozy, to przeżenienia, to radości,

Bobuś myślał o jedzeniu.

Był świt, a może noc jeszcze... Bobuś z zimna spać nie mogąc, sennymi oczyma niebo lustrował: gwiazdy. Ale tam, dalej, za drzewami — brzask! Słońce za kabackim lasem zajaczki nieśmiało puszcza. Drzewa ciche...

Bobuś na wyrku się przewraca i snuje plany.

Więc — myśli — pierwsza rzecz do Rzeźnika. Jeśli ja dziś

w nocy artyleryjskie gruchotanie słyszałem z lewej, a nie z prawej strony — to znaczy, że przeszli, a więc mogę wyjść z dziury spokojnie.

Rzeźnik — tu Bobuś się wzruszył, bo Rzeźnik był jego przyjacielem — na pewno nie poskąpi i co ma to da.

Tak marząc o gorącej herbacie i bułkach Bobuś zerwał się z pościeli, ponemieckie portki naciągnął i wyszedł z szopy do lasu na stronę. Brrr — mróz!

Więc jakto było z Rzeźnikiem? Skąd ta przyjaźń? Gdy jeszcze przed Powstaniem Bobuś (jarosz) zachodził do sklepu Rzeźnika, to siadał tyłem do lady i tak z Rzeźnikiem rozmawiał. A łączyły ich najpierw interesy. Bobuś, żeby żyć, handlował i jeździł rowerem aż pod Karczew. Stamtąd nocami przywoził to kartofle, to mąkę, to słoninę (żywego mięsa nie dotknął, bo go brzydziło — widoku krwi nie znosił).

Co Bobuś przywiózł, to Rzeźnik kupował. I tak się zżyli.

Stokrotnie porządny chłop — myślał teraz Bobuś — usiłując zabijaniem rąk i dreptaniem w kółko rozgrzać się choć trochę.

Rzeźnik mieszkał i swój sklep posiadał na skraju letniska, ale też i niedaleko wsi. Od szopy Bobusia będzie z dziesięć kilometrów, więc świt, nie świt, trzeba ruszać w drogę, bo inaczej klapa — można zamarznąć.

Ale duch wojskowy nie opuszczał Bobusia nigdy na długo. Iść? Jaką wziąć marszrutę? Którędy prześliznąć się, żeby za bardzo drogi nie nadrobić i na wszelki wypadek ludzi nie spotkać. Bobuś cierpiał bardzo z tego powodu, że nie miał cywilnego ubrania. Uciekł z niemieckiego transportu, jak stał — w saperkach, łaciatych spodniach i kurtce, też ponemieckiej. Każdy uczciwy chłop mógłby go wziąć za marudera i widłami zadźgać. Na tę myśl Bobusiowi robiło się nieprzyjemnie.

Ale już widno. Bobuś kożuch jakimś cudem zdobyty na plecy naciągnął i w drogę!

Czy jest większa przyjemność jak świtem iść przez las? Gdy pod butami śnieg suchy, gdy słońce jeszcze czerwonawe, ale już na drzewach się złoci i na śnieżnym puchu srebrzy. Krew się rozgrzewa. Zziębnięte palce nabierają życia i tylko nos i uszy, uszy i nos... mróz!

Ale w lesie cicho... Wiatru nie ma. Tylko kroki Bobusiowe dudnią. To dudnienie sprawia, że czasem ogarnia Bobusia przeżalenie, że nagle czuje się za bardzo sam z sobą. Biegnie wtedy co sił, leci przez las, jak wariat jakiś, aż do utraty tchu. Ot i zgubił natarczywego towarzysza. Myśli teraz o Rzeźniku...

Gdy pierwszy raz klamkę w jego sklepie nacisnął i drzwi popchnął, usłyszał najpierw ostry dzwonek, a potem zobaczył w wąskiej sieni za ladą ciężko zbudowanego mężczyznę.

Rzeźnik, który niegdyś chełpił się siłą i urodą (pseudonim w A.K. — Piękny Mężczyzna) już pięknym nie był, bo go tłuszczała. Ale jeszcze z czerwonych, pełnych policzków wystawał nos orli, jeszcze dominowały w jego twarzy bystro patrzące, jasno niebieskie oczy.

Uroda, nie uroda — Rzeźnik nie zrobił dobrego wrażenia na Bobusiu wtedy, gdy zobaczył go po raz pierwszy, bo miał czerwone od krwi palce i tymi palcami wbił się w przywiezioną przez Bobusia słoninę, żeby zobaczyć czy gruba i zwarta.

Ale Rzeźnik płacił dobrze, częstował herbatą i nie mógł się nadziwić mięsnej abstynencji Bobusia. To ich właściwie zbliżyło. To wzajemne zaciekawienie. Potem doszły wojenne i okupacyjne przygody — słowem przyjaźń. Bobuś nie miał wątpliwości. Szedł więc do Rzeźnika rażno, ciesząc się, że zobaczy kogoś, kogo znał jeszcze przedtem (Przedtem — znaczyło u Bobusia przed Powstaniem).

Ale nagle znowu Bobusia strach ogarnął (nie wiadomo skąd się ten strach brał) i Bobuś znowu zaczął lecieć i tak prawie bez tchu doleciał na skraj lasu.

Już dzień. I jak przyjemnie, gdy się z lasu wyjdzie. Słońce, tak przecie blade, razi.

Bobuś widzi już z daleka piaszczyste wydmy, dziś pokryte śniegiem, na pół zwalony komin cegielni i... domy. Nikogo. Bobuś sam jeden, znowu sam jeden. A jeśli Rzeźnika nie będzie?

Bobusiowi się kiedyś śniło, że sklep Rzeźnika spłonął. Francka, jego żona, stała nad zgłiszczami i z oczu ciekły jej dwie strużki krwi.

— Nie ma szpitali, nie ma lekarzy! — krzyknął dowódca Bobusiowej kompanii. Zabij ją! Nie widzisz, że się męczy?

Sen mara! Bobuś pamięć o śnie odpędził. Oto już widzi z góry dom Rzeźnika — cały!

Była już chyba dziesiąta, gdy Bobuś klamkę Rzeźnika nacisnął i drzwi uchylił. Dzwonek zadzwonił jak zawsze i to dzwonięcie znów Bobusiowi całą niedawną przeszłość przed oczyma postawiło, ale nie ważne.

Rzeźnik stojąc w sieni za ladą (gdzie był schowek na mięso) palce w ścierkę wycierał. Gdy Bobusia zobaczył, na chwilę zbaraniał, a potem wrzasnął: Szczeniak! To ty żyjesz!

Masz ci los! Rzeźnik widocznie zmysły postradał!

Rzucili się sobie po chwili w objęcia i takie było ich przywitanie. Rzeźnik, jak gdyby grubszy, ale w butach oficerskich, obcisłych bryczesach i w koszuli białej w paski. Jakoś mu mowę odjęło bo tylko jedną ręką Bobusia ścisnął, a drugą szturchał. W końcu Bobuś powiedział:

— Heniu, dajże mi herbaty i coś może przekąsić.

No i zaczęło się.

Rzeźnik rzucił się z powrotem do sieni i tam natknął się na Frankę. Franka (nieduża, szczupła) gdy przez ramię Rzeźnika ujrzała Bobusia krzyknęła: Jezusie! A potem — Co wyjście zrobili z Warszawą! (Bo Rzeźnikowa była z Warszawy).

Ale już razem z mężem wleciała z sieni do kuchni i Bobuś, który jak zawsze siadł tyłem do lady usłyszał głosy:

— Herbatę wstawiaj! A zaparz! Kraj bułki i sera nakraj! Tylko nie tym nożem, co krajiesz kaszanke, bo Szczeniak mięsa nie lubi!

Słowo nóż naprowadziło Bobusia na myśl, z którą się od dawna nosił. Otóż, gdy przed miesiącami Bobuś powołany rozkazem wyruszał na wojnę, wpadł jeszcze do Rzeźnika, by się pożegnać i wyżalić.

— Słyszałeś — mówił — że nie pozwalają mi zabrać nawet własnego żeberka? (zeberko — znaczyło rozpylacz). Wszystko ma być na miejscu, ale wiesz, wydaje mi się, że nie będzie. Adolf zapowiedział, że jak kto w systemie alarmowym ściągnięty przyjedzie do mety z metalem (metal — znaczyło rozpylacz) to mu łeb własnoręcznie ukręci. W miejscowej piwnicy pod węglami wszystko ma być. Ale mnie się wydaje, że nie ma. A rozumiesz bez własnej maszyny (maszyna — znaczyło żeberko, albo metal, albo rozpylacz) bez własnej maszyny nie zrobisz nic, jesteś jak wieprz i nie masz tej pewności siebie.

Rzeźnik litością zdjęty, nie bardzo wiedział co powiedzieć, ale powiedział:

— Mówisz, jak wieprz? To ja ci powiem. Dam ci mój najlepszy rzeźnicki nóż, przez który wiele krwi się przelało!

Słowo się rzekło i Rzeźnik grubo potem tego żałował, bo Bobuś rzeźnicki sztylet wziął.

Wszystko to przypomniawszy sobie Bobuś i krzyknął: Heniuś!

Ale Rzeźnik już do sklepu wleciał, Bobusia za ramię złapał i za ladę, przez sień, do kuchni zaciągnął.

— Heniuś — zaczął Szczeniak, ale nie dokończył, bo własnie Franka herbatę nalała i razem z bułkami i z serem i z masłem przed Bobusiem postawiła. Zrobiło się cicho, jak w kościele i Szczeniak zaczął jeść.

Czy istnieje napój lepszy od gorącej herbaty, gdy się ją pije w zimowy poranek? Czy jest większa rozkosz od ugryzienia chrupiącej bułki, z której aż spływa masło i która tak przypomina własny dom? Czy może być większa przyjemność niż siedzenie w cieple, gdy się przed tym solidnie wymarzło?

Cisza i tylko mlaskanie. Siorbanie tylko i cisza. Ale nie trwało to długo, bo czerwony na twarzy Rzeźnik krzyknął:

— Szczeniak, ściągać kapotę, bo się przeziębisz! Buty zzuć lepiej!

Szczeniak, już najedzony, powoli kozuch zrzucił i wtedy właśnie z pazuchy wypadł mu na podłogę nóż.

Rzeźnik gały wyłupił (coraz częściej to robił) a Franka powiedziała: — To chyba nasz, ten nóż?

Zaczęło się. Rzeźnik zapalił się na nowo i chciał o wszystkim wiedzieć, a Frankę obchodziła tylko ulica Żelazna (Bobuś tam nie był).

Historia noża była nie zwykła. Przez pierwsze dni Wielkiej Bitwy służył Bobusiowi jako jedyna broń, zresztą nigdy nie używana. Ale Bobuś z nożem czuł się pewniej i choć jarosz, zdecydowany był zarżnąć każdego Niemca, choć przecie nie zarżnął. Tym niemniej:

— Heniek, czy ty uwierzysz bracie, że twego noża skutecznie używałem przeciwko czołgom?

Rzeźnik nie uwierzył, więc Bobuś ciągnął dalej.

W pierwszych dniach, rozumiesz, Powstania kopaliśmy przez Puławską, która jest ulica szeroka, przeciwczołgowe rowy, czego nikt nie chciał robić, bo tam, rozumiesz, był obstrzał. Otóż Adolf, a później Jerzy posyłali mnie do różnych domów, do piwnic, po ludzi co tam siedzieli. Ja tam błyskałem tym nożem i ludzie pchali się na ochotnika. Barykady rosły. Nóż spełniał rolę skutecznej broni przeciwczołgowej.

Żebyś wiedział, co ja przy tym z nim miałem, żeby go w końcu tobie oddać, to byś bracie na honorowym miejscu ten nóż u siebie w sklepie, albo w sypialni powiesił.

— Nie potrzebnie pan Bobuś z nożem się narażał — powiedziała Franka. Było zostawić w Warszawie. I zaraz zaczęła płakać bo sobie przypominała, że Warszawy już nie ma.

Wobec tego Rzeźnik: Franka idź małe nakarmić! I Franka wyszła. (Rzeźnikowie nie mieli dzieci — mieli prosiaki).

Bobusiowi od herbaty i gorąca oczy mgłą zaszyły, co widząc Rzeźnik poradził mu zdjąć buty i powiedziawszy: kielicha własnego napędu nie odmówisz, prawda? — znikł za ścianą i za chwilę z butelką powrócił.

Zrobiło się zaraz potem, tak jak dawniej. Rzeźnik do Szczeniaka, a Szczeniak do Rzeźnika tyłem usiedli i jeden boczek wędzony, a drugi kawałek sera gryźć zaczęli.

Rzeźnik opowiadał: jak wyście wtedy wyszli, to myśmy zostali. (Bobuś wiedział). Otóż, nie myśl, że było łatwo spod Wilanowa nazad iść, jak wyście pożarów narobili. Ale nie o tym chciałem z tobą...

I Rzeźnik, najpierw pojękując i drapiąc się, potem coraz szyb-

ciej i sprawniej zaczął swoją opowieść opowiadać, która mu od dawna leżała na sercu. Przyjaźń Franki z Kutzową.

Z tej opowieści przed oczyma Bobusia obraz stanął taki:

Najpierw, to było w sierpniu... spod Wilanowa wracał świtem Rzeźnik. W oczach go paliło, nóg nie czuł, pleców wyprostować nie mógł, a nos białły. Gdy przez sień do domu wchodził (ale tak żeby go nikt nie widział) na kogo się natknął? Kogo — ja się pytam — we własnych progach zastał?

Nie zgadniesz — mówię ci Szczeniak, jak ci powiem, że to była Kutzowa. Jezusie, Mario! Zastrzelić chciałem folksdojczkę z miejsca, żeby mnie rozumiesz nie sypała później, albo co gorszego. Ale Franka mnie za rękę i powiada: Heniek, uspokój się — powiada — pani Kutzowa nie powie, ona to rozumie, jej mąż też na wojnie.

Jak mnie o tym wojskowym koleżeństwie z niemieckim żandarmem uważasz, wspomniała — to zgłupiałem, bo co miałem zrobić.

Ale potem wziąłem Frankę w kąt i mówię: Co ty? Nieszczęście chcesz na sklep i dom sprowadzić? To ja po to w osłonie na Wilanów się poniewieram, żebyś ty żandarmową do własnego domu sprowadzała? I jak ja się z tego mam tłumaczyć? Co to za przyjaźnie — mówię jej. — Czy ty ją za warszawiankę masz, czy w tobie się niemiecka jucha obudziła? Bo trzeba ci wiedzieć, że France z domu Hofmajerówna.

Rzeźnik ciągnął swoją opowieść, a Bobuś już w pół śnie, w pół jawie zobaczył wieś...

...kiedy to było? Chyba wczoraj, bo baby pruły już poduchy na chorągwie, oczekując przyjsia Ruskich.

Grzmiało ze wszystkich stron, dudniło po drugiej stronie Wisły, ale tylko z daleka. Potem pojawił się samolot, ale nie bombowy, tylko obserwator i wtedy chłopak od Hofmanów wywiesił przy bramie białoczerwoną chorągiew.

Jakby na dany znak zaroilo się we wsi i wszyscy z dziećmi i z babami wyszli przed domy. Rzeźnik z Franką stali przy cegielni i stamtąd widzieli po prawej stronie wieś, a po lewej pola idące do Chojnowskich lasów. Już było szaro, ale i drzewa dalekie i wydmy piaszczyste, a na wydmach krzaki pokryte śniegiem widać było wyraźnie. Skąd przyjdą? Czy od lasu przyjdą? Od pola, może? Wszyscy w oczekiwaniu, w ciszy...

I nagle zaskrzypiały drzwi w jednym domu i zobaczyli wszyscy Kutzową w kozuchu, ubraną jak do podróży. Jedną ręką trzymała Elżunię, drugą małego Franza i poszła w kierunku wydm.

Cisza, ludzie dech wstrzymali, niby to nie widzą, ale nikt wzroku oderwać nie może.

Co to? Folksdojczka się wyprowadza?

Franka stojąca koło Rzeźnika, nieco dalej od ludzi krzyknęła najpierw: Helga! ale nie głośno i zaraz urwała. Ale jak Kutzowa na przełaj w śnieg, coraz to dalej i dalej szła z dzieciakami to do lasu, to bliżej Wisły, to znowuż między zaspami, a coraz ciemniej i ciemniej było, Franka rzuciła się nagle biegiem.

— Helga! Heelga! Wracaj! Wraaacaj!

Do glinianki byłaby wpadła, gdyby jej chłopak Owczarków nie złapał.

Ot — wstyd, martwił się Rzeźnik, ale Szczeniak rozgrzany bimbrem, napchany serem, najwidoczniej już spał, bo nagle posłyszal głos swego dowódcy:

— Zabij ją! Niech się nie męczy!



Jak zacząć dzień następny, nie było kwestii. Ledwo Franka ogień pod blachą rozpałiła i ciepło buchające od suchej brzeziny rozeszło się po całej kuchni, aż szyby mgłą zaszyły, Bobuś powiedział:

— jedziem Heniuś do Warszawy. I pojechali.

Do życiowych przyjemności nie należy jechać zimą wozem, gdy koń ledwo ciągnie. To Rzeźnik, to Bobuś, co i raz zeskakiwali z wozu i biegli, oddając jeden drugiemu lejce. A gdy wreszcie zmęczeni, ale i rozgrzani zasiedli na wozie razem, skracali czas opowiadaniem.

Więc Bobuś: dla mnie to nic. W tym lesie, który widzisz na prawo — tu wskazał batem — przemieszkałem w szopie z górą trzy miesiące.

A Rzeźnik: pieniędzy, mówię ci, żadnych, interesów, żadnych, trochę co koło sklepu i tyle. A nocami, tośmy z Franką przed dom i na te łuny patrzyli.

A gdy już prawie dojeżdżali do miasta, co już miastem nie było, uderzył ich swąd spalenizny. Musiało to w Bobusiowej głowie obudzić jakieś wspomnienia, bo nagle wrzasnął: A żebyś zdechł!

I zaraz potem...

— Heniek, jak Boga kocham, zawracaj! Ale Rzeźnik nie zawrócił.

Oto i koszmar: przez ulicę Puławską wozem nie można było przejechać więc uradzili, że najlepiej by konia i wóz gdzie zostawić, ale nie było gdzie.

Więc jak? zapytał jeden drugiego.

Oto i miasto bez domów i ulic. Skręcisz w lewo — deski przepalone nad wychodkiem jakimś. Chcesz w prawo — drzewo zwalone, a za drzewem grzyby.

Zawracaj, Heniek!

Ale Rzeźnik się uparł, więc konia wyprzągł, wziął na uzdę i przodem a za nim koń, a za koniem Bobuś z jednej kupy na drugą, z jednego leju w drugi poszli na miasto.

Dopiero za Dworkową zobaczyli domy całe i Bobuś się ożywił.

— Widzisz Heniuś te wille po prawej? Tu gdzie ja stoję teraz, żaden by nie ustał. Śmierć! Z tamtych okien aż smugi szły. Ej, teraz widzę! Tam stał dom. Sześć pięter betonu! Bastion! A dalej, w dół za skarpą — fabryka to była. Siedziało się w niej jak w bunkrze!

I tak Bobuś, jak zaczął gadać, tak nie mógł skończyć, aż mu Rzeźnik przerwał i powiedział: stój!

Ale już było za późno i to „stój” może za głośno powiedziane, obudziło jakieś zmary na wojskowych podeszwach. Zza ścian, z wawozów ulic, z powypalanych okien wysunęły się najpierw lufy, potem czerwone gęby i postacie w futrzanych czapkach. Rosjanie... Jeden zeskokczył, drugi podbiegł, trzeci zsunął się po kupie gruzów i tylko tyle, że słychać było, jak cegła jedna upadła.

Zaraz też do Rzeźnika stojącego przy końskim pysku i Bobusia z gębą otwartą podszedł rumiany kozaczek w czapce z zielonym denkiem i grzecznie salutując, zapytał:

— Warszawiacy? Tak, warszawiacy. Więc poprosił ich poprawną polszczyzną, by przeszli dwie ulice dalej, gdzie właśnie przed Dworcem Głównym odbywa się defilada ludowej Armii Wyzwolicielki.

Gdy tak kozaczek zapraszał, dwóch starszych wąsali szybko i sprawnie Rzeźnika i Bobusia obmacali. Koniowi nawet pod brzuch uważnie zajrzeli.

I już po wszystkim. Ciągnąc za sobą konia Bobuś i Rzeźnik znaleźli się po chwili w tłumie niezbyt gęstym, takich samych jak i oni „warszawiaków”. Patrzyli szklanymi oczyma na nieforemne kolumny, na buty z brezentu o wojskowych podeszwach, na baranki, rogatywki, hełmy i znów baranki i znów rogatywki... I byłoby im zimno, gdyby ich z tyłu, od wiatru nie zasłaniaли młodzi, rosyjscy chłopcy.

W końcu, w tej masie mundurów, Rzeźnik, jak gdyby ze snu obudzony, ujrzał sierżanta z polskimi dystynkcjami, jak należy, a Bobuś kaprała — i z tym obrazem w oczach, a z gorącością ogromną w sercu, ciągnąc ze sobą szkapinę, powrócili do wozu, a wozem do domu.



Masz pan coś stosownego? — zapytał Rzeźnik Prezesa. Bobuś tymczasem rozochociony w stosie odzieży przebierał.

Historia była taka, że Bobuś już dłużej w poniemieckich spodniach i bluzie chodzić nie mógł. Nie dość, że go dzieciaki zaczepiały, nie dość, że swoim pokazaniem szeptu jakieś wywoływał, a baby go do kościoła raz nie chciały wpuścić, to jeszcze wpadł w oko tych ludzi, których wzroku powinien był unikać. Uradzili więc z Rzeźnikiem, że potrzebna jest pomoc. Rzeźnik, który zarówno na wsi, jak i na letnisku znał wszystkich i o wszystkim wiedział, udał się zaraz do Okręgowego Dowódcy (którego pod Wilanowem był rozpoznał) i meldował:

— melduję panie szefie, że chłop nie ma czym pleców przykryć.

W rezultacie tego meldunku Rzeźnik z Bobusiem przyszedł z kartką polecającą do Prezesa miejscowego Komitetu Pomocy Warszawiakom. I tam, w eleganckim gabinecie, w willi, która stała w parku-ogrodzie nieopodal rzeki zabrali się gracko do przymierzania. Ale nie mogli wybrać. Bobusiowe nogi były za każdym razem za długie.

Więc Rzeźnik do Prezesa: nie mogę tak chłopca wypuścić. Coś się musi znaleźć, ale z młodszego przecie nie założę.

A potem: Pan Prezes wie, chłopak wszystko stracił, zdarzenie w ogóle że wyszedł! I na ucho coś Prezesowi szepnął.

Więc Prezes litością zdjęty głos zniżając: naszemu i swego nie poskąpię. I nie poskąpił!

Bobuś zagrzebany w łachach świata bożego nie widział, a tymczasem Rzeźnik z Prezesem z gabinetu do dalszych pokojów przeszli i stąpając po dywanach doszli do sypialni, gdzie znajdowała się mahoniowa szafa. Z tej szafy Prezes wyjął czarny strój połyskujący jedwabiem i prawie z nabożeństwem powiedział: smoking.

Nowiutki, spod igły. Podszewka jak ałasowa. Plamki ani jednej.

— Pan Prezes kochany sam go chyba nigdy nie ubrał? — zapytuje Rzeźnik czerwony z wrażenia. Zapachniało naftaliną.

I tak się stało, że od tego czasu Bobuś chodził na co dzień (i na święta) w smokingu. A gdy ten smoking po raz pierwszy, jeszcze w rękach Prezesa zobaczył, powiedział: cudo!

W smokingu, czy nie w smokingu, żyć trzeba, a jak żyć bez pracy? Bobuś trochę Rzeźnikowi pomagał, a głównie przy transporcie, a trochę jednemu gościowi, co handlował drzewem. I tak rozpoczęły się Bobusia dni powszednie.

Ludzie już tygodnie zaczęli liczyć od owej nocy pamiętnej, gdy skończyło się jedno utrapienie, a zaczęło drugie. Ale Bobuś dobrej był myśli i nigdy się tak rześko nie czuł, jak właśnie teraz. Z Rzeźnikiem mieszkano się fajnie. Rzeźnikowa już się rozpogodziła, więc jedli dużo i pili, a gadaniu nie było końca.

Któregoś dnia Rzeźnik powiedział: wiesz co synku, musisz nam pomóc. Jeśli ty sobie wyobrażasz, że się już wszystko skończyło, to się grubo mylisz, bo to się dopiero zaczęło. Więc uważaj co mówię: w czasie gdy wyście tam domy podpalali, to myśmy tu nie próżnowali.

I Rzeźnik zupy sobie kartoflanej z miski dokładając (bo właśnie jedli kolację) opowiedział co wiedział. Z tego opowiadania wynikało, że nikt się tu nikomu nie zdekonspirował i wszystko jak było, tak jest. Ale diabeł nie śpi, więc broń na strychu w szkole ukrytą trzeba przenieść, bo Nauczyciela mają na uwadze. A najlepiej nocą.

Jak się raz zacznie, to nie można skończyć. Bobuś z Rzeźnikiem, a Rzeźnik z Bobusiem nocami broń nosili, żeby ją ukryć raz w szopie przy dzwonnicy, raz u stolarza pod deskami, w willi Prezesa nawet, aż wreszcie w lesie. Motorem tego nocnego ruchu był Nauczyciel, który mimo wieku zachował smukłą sylwetkę i dziarłość młodzieńca.

O Nauczycielu chodziły legendy i był on jednym z tych ludzi, którzy gdyby zawiedli, to i świat by się skończył. Nauczyciel był wzorem.

Więc Bobuś i Rzeźnik, a także inni, których wokół Nauczyciela nie brakło, prześcigali się w gorliwości, ażeby się nic nie stało.

— Panie Antoni kochany — mawiał Rzeźnik — po nocy niech pan nie chodzi, bo jak pana kałmucy capną, to już nie wiem, co się z nami stanie.

A Bobuś: Panie Kapitanie, jak Boga kocham, niech pan z siebie po nocach gieroja nie robi, bo to nasza rzecz.

Ale czy to się na co zdało? Czy nieszczęścia nie chodzą po ludziach?

Więc najpierw przepadł gdzieś Prezes i śladu po nim nie było, a jego willę zajęli panowie, którym pod palce lepiej nie wchodzić. Nie byłoby w tym jeszcze katastrofy, gdyby nie to, że i na wsi i na lotnisku a szczególnie w domach przy cegielni zaraz zaczęli ludzie szeptać: A Nauczyciel? A jest jeszcze z nami ten Nauczyciel? A mieszka, gdzie mieszkał? A żyje? A nie zamknęli go jeszcze?

Od tych szeptów najspokojniejszego mogła cholera wziąć, bo wszyscy wiedzieli, że wywołają one wilka z lasu. Tak też się stało.

Wilk ukazał się Rzeźnikowi w postaci jednego łysego o osowiałych oczach, który w willi Prezesa mieszkał i tam urzędował. Ten łysy, gdy Rzeźnika spotkał, powiedział: Nauczyciel? A kogóż on uczy? I czego on uczy? Tak ja, chciałbym z nim osobiście i na osobności, przy jakiej okazji, może i porozmawiać. I łysy, osowiałe oczy w ścianę wlepił i obwisłe wargi lekko ściągając, zagwizdał.

Gdy to gwizdanie doszło do uszu Rzeźnika (a łysy jak się zakręcił na pięcie, tak poszedł), zaczęło się prawdziwe przedstawienie.

Więc Rzeźnik najpierw szczerwieniał, potem oczy na wierzch wywalił, nogę cielecą na ladę rzucił i przez sień sprząty potrącając wwalił się do kuchni.

Franka! Wołaj Bobusia! Ledwo to krzyknął, już drzwi na dwór otworzył, że aż powiało zimnem po nogach, i jak stał, spocony w koszuli pod szopę skoczył, gdzie Szczeniak drzewa rąbał.

— Pojęcia nawet nie masz o kogo tu chodzi! — krzyknął. I potem, już w kuchni, z trudem oddech łapiąc o wojennych przygodach Nauczyciela opowiadać zaczął. Jasno z tego wynikało, że takich ludzi stracić nam nie wolno!

— Szczeniak, ja to wiem, dziś jutro po niego przyjdą!

Więc Bobuś: Spokój, Henius! Nie takich wojskowych się robiło. Czerkiesom go nie damy.

Nie damy, to nie damy. Powstał więc zaraz plan, bo czasu było nie wiele.

I oto, następnej nocy padał śnieg. Przykrył wszystko jak należy, więc korony drzew, dachy domów, ogrody przy domach, a w ogrodach co było. Tam deski poskładane na kupę, tam krzaki agrestu, tu znowu drzewko owocowe, karłowate o dużych gałęziach do ziemi, to krzaki róż przykryte sosniną. Jak tylko słońce wyszło, wszystko zrobiło się białe i nawet czarne wrony, jak tylko siadały, to zaraz się zerwały z furkotem. Ale cicho...

Za agrestem, w malinach, przy domu Nauczyciela siedział Bobuś z pepeszką w ręku. Patrzył jak pod słońcem śnieżny puch zmienia się w igiełki lodu i kombinował:

— Ja wyskoczę na ścieżkę i w razie co, seria.... Rzeźnik od ulicy podciętych sosen pilnuje, jak samochody przyjadą, żeby Nauczyciela brać, to się je zawczasu popchnie... Cygan z szopki wyskoczy, a chłopak Pawelskich z dachu werandy... (Nie widać go? Nie widać!).

I znowu Bobuś myślał do planu powraca. Cała rzecz w tym — myśli — żeby przyjechali rano... ale oni zawsze rano. Rzeźnik już dopilnuje, żeby chłopcy drzew za szybko nie zepchnęli, bo się Mongoły spłoszą i bitwa się wywiąże. Nic takiego! Musi być wszystko od razu. Oni w cichołazach i my w chichołazach. Oni po cichu za mordę — my po cichu za kurzą ich twarz... I tu Bobuś sobie przypominał, jak to ich w Warszawie Mongołowie lekko pod paszki wzięli... No ale teraz — myśli Bobuś — samochody posłuszemy, zresztą Rzeźnik zobaczy. A jakby pancerniakiem przyjechali, to się drzewka benzyną podpali. Nauczyciel spać może spokojnie... I tak mijały kwadranse i tak mijały godziny. Aż wreszcie po krzyżu Bobusia przeleciał dreszcz. Dyń, dyń, zadzwonił gdzieś dzwo-

nek. Bum, bum, zadudniły końskie kopyta i na drodze od rzeki pojawiły się sanie.

Bobuś gębę rozdziawił: Sanie? Skąd sanie? Jakie sanie? Ale pewnie przejadą! A, diabli! Wcale nie przejadą! Stały! Właśnie tu! Przed samą bramką. Bobuś oczy przeciera. Bobuś oczom nie wierzy. Na kozle Czerkies jakiś w barankowej czapce. Zeskoczył z kozła, pepeszkę przy bacie zostawił i komu gramolić się pomaga? Kogo z sań za rękę wyciąga?

Oto i Łysy w całej okazałości! Łysy to był. Łysy! Wolno z sań się wygrzebał, Czerkiesowi skinieniem głowy podziękował i bez pośpiechu furtkę uchylił.

W Bobusiowej głowie myśli jak błyskawice: brać go! Z tyłu dopaść i kolanem! Kałmuk tatarski nie nadąży! No już! I Bobuś głowę z agrestu wychylił i jednocześnie zobaczył, że drzwi szopki się uchylają, a z daszku werandy bezszelestnie śnieg się obsunął.

A hop ci na mogiłę! — chciał wrzasnąć Bobuś, ale nie wrzasnął, bo właśnie Łysy do drzwi Nauczyciela zadzwonił i najspokojniej czekał. I zaraz potem w tych drzwiach zniknął.

— Więc ejże — myślał Bobuś. Ze szczurem nie będę walczył. Na jednego, czy nawet na dwóch nie będę napadał, bo to chyba próba jakaś, albo zasadzka. A może z wizytą, przyszedł? Poczekaj się, zobacz. I Bobuś czujnie w ogrodzie, a Rzeźnik przy drodze czekali, a z nimi inni.

Nie długo to trwało, bo za chwilę w drzwiach otwartych ukazali się: Łysy i Nauczyciel. Przeszli przez werandę, certowali się chwilę kto pierwszy po schodkach zejdzie, aż wreszcie zjawili się na ścieżce, tuż przed Bobusia nosem.

W Bobusiowej głowie myśli jak błyskawice: Co to? Co robić? Dobrowolnie Nauczyciel idzie, czy go Łysy prowadzi? Wejdzie do sań, czy nie wejdzie? Odjedzie z Łysym, czy zostanie?

Ale w Bobusiu obudził się nagle żołnierz, więc wyprostował się bezszelestnie na całe dwa metry i z krzaku agrestu wypadł. Zadudniły czyjeś kroki, zaskrzypiały drzwi szopki i coś ciężkiego zsunęło się z dachu werandy. Strasznie wyglądał Bobuś z gębą od mrozu czerwoną, z pepeszką w ręku, w kozuchu narzuconym, w saperkach, a cały na czarno.

Nauczyciela jakby batem trzasnął! Zbladł, poczerwieniał i z trudem z siebie wydusił: Szalony!

Ale Łysy Bobusiowi kuksańca w bok i mówi: Maładziec, a? Z piaseczańskiej milicji znaczy, a? Ale i nie trzeba, ot i nie trzeba...

I Bobuś gębę rozdziawił i szklanymi oczami patrzył na Nauczyciela. A Nauczyciel z Łysym powolutku do sań, Czerkies już im pomaga, kocami nogi okrywa i już sam lekko na kozioł i konie

batem... pojechali. Dzwonki dyń, dyń, kopyta po śniegu bum, bum,... a Bobuś?

Heniek, Rany Boga! Wzięli go! Wzięli! Drzewa spuść! Henieek! Ale już było za późno. Rzeźnik na środek drogi wyskoczył i stanął. A jak stanął to tak stał. I cicho... znowu cicho...

I tak słuch o Nauczycielu zaginął.

Więc nieszczęście i katastrofa! A nieszczęścia chodzą parami.

Nie minął tydzień od owego dnia klęski i wstydu (koło mnie przeszedł i za milicjanta mnie wziął — słyszałeś, żalił się Bobuś), nie minął tydzień, gdy Bobuś któregoś wieczoru z Karczewia, jak za dawnych czasów do domu wracał, ale Rzeźnika nie zastał, tylko Rzeźnikową. Kto przez jedno przeszedł nieszczęście, ten drugie wyczuje na odległość. Już cały wieczór nie podobał się Bobusiowi. Już go przeczucia gnębiły. Stało się! Ledwo drzwi do sieni otworzył usłyszał płacz Franki.

— Co się stało? Franka? Gdzie Henio?

— Sklep pewnie zabiorą, z domu przepędzą — szlochała Rzeźnikowa.

— Co się stało? Ale gdzie tam! Baba dławiona łzami niczego nie powie, Bobuś wiedział. Więc żeby czasu nie tracić (Henia nie dam, żebym zdechł) Bobuś kopnął się jak szalony do Cygana, który mieszkał najbliżej. I Cygan mu powiedział:

— Uspokój się młody, bo sam widziałem.

Co widział Cygan? Zwariował Cygan czy co? Bobuś uszy przecierał, ale słyszał przecie wyraźnie:

— więc przyszło ich dwóch do sklepu, a jeden w oficerskiej czapce. I ten w czapce powiada: Obywatelu, podobacie się nam bardzo. Macie tu nominację na Komedanta Milicji.

No i tak... i Bobuś znowu sam. Ale Bobuś żywy!

J. KROK-PASZKOWSKI

O polskich funduszach (dok.)

Przed zakończeniem opisu polskich funduszy na emigracji i wyciągnięciem ostatecznych wniosków, wróćmy jeszcze do początku, do okresu, w którym te fundusze powstały.

Był rok 1945, zbliżał się moment formalnego cofnięcia uznania rządowi polskiemu w Londynie i przejęcia jego majątku przez władze angielskie, a następnie przez rząd warszawski, któremu Anglicy pieniądze i nieruchomości przekazali.

Ile w tym czasie było w kasie polskiego Ministerstwa Skarbu na emigracji?

Członkowie ówczesnego rządu, ludzie wybiegający myślą w przyszłość nieraz nalegali na ministra skarbu o użycie tych pieniędzy na organizacje i instytucje, które w przyszłości będą służyć walczącym o prawdziwą niepodległość emigrantom. Na wszystkie prośby minister miał odpowiadać: Kasa pusta.

Znany był śmiały projekt Zygmunta Nagórskiego, sen. — będący jakby prarodzicem dzisiejszych PUCAL'owych projektów założenia jednego wielkiego Ośrodka Polskiego na Obczyźnie, skupiającego polskie wartości kulturalne, narodowe, naukowe, wydawnicze, jednym słowem wszystko, co mogło mieć dla nas w przyszłości znaczenie.

Opracowany projekt był przychylnie przyjęty przez rząd i fundusz zakładowy przyszłej instytucji miał wynosić 250.000 funtów. Minister skarbu bronił się przed tą ogromną sumą: zgodził się wreszcie na 150.000, a w końcu nic nie dał i przekazał Anglikom kasę, w której znajdowało się 790.000 funtów.

Ośrodek Polski musiał czekać dwadzieścia lat.

Nie znaczy to, aby zagrożony cofnięciem uznania rząd był bezczynny i nie myślał wcale o lokowaniu swych kapitałów, owszem dawano wiele i tu i ówdzie, do dziś pozostały ślady tego rozdawania pieniędzy.

Denacjonalizacja

Pieniądze rządowe w owym czasie stwarzały podstawy do zakładania nowych instytucji jak Stowarzyszenie Pisarzy (3.000 funtów), Komitet Obywatelski, Polish Union itd. albo wspomagały już istniejące fundusze.

Wśród tych istniejących placówek polskich warto wymienić Democratic Press and Liberty Publication, założoną przez socjalistów polskich z pomocą Międzynarodówki Socjalistycznej. Rząd wspomógł tę placówkę sumą 5.000 funtów i Democratic Press, w skład zarządu której wchodzi Adam i Lidia Ciołkoszowie, istnieje do dziś we własnym domu na 9 Balmuir Gdns w Londynie. Pierwotnymi akcjonariuszami tej spółki wydawniczej byli Adam Ciołkosz, Otto Pehr i Mr. Middleton (oba ostatni nie żyją).

Rząd wspomógł także dwie inne firmy wydawnicze Orbis i Księgarnię Polską w Paryżu dając im po 2500 funtów. Orbis ponoć spłacił te pieniądze traktując je jako pożyczkę. Księgarnia Polska, powierzona została powiernikom, w skład których wchodzi Juliusz Sakowski, jeden z powierników i dyrektorów „Dziennika Polskiego”.

Kierownikiem Księgarni Polskiej jest dr Stanisław Lam. Spośród wydawnictw Księgarni w pierwszym rzędzie należy wymienić „Podręczną Encyklopedię Powszechną”, „Wielką Emigrację” Gadona, dwie książki Amb. Kajetana Morawskiego, wspomnienia Władysława Guenthera oraz „Asy i damy” Juliusza Sakowskiego. Księgarnia Polska rozpiła subskrypcję na Słownik Biograficzny Emigracji, ale wydawnictwo dotychczas się nie ukazało.

Księgarnię Polską wspomagał znacznie Jan Kwapiński ze swych specjalnych funduszy.

Wielkie plany związane z ośrodkami kulturalnymi i naukowymi miało Ministerstwo Informacji, gdy jego kierownikiem był prof. Adam Pragier.

Dwa z tych planów nie udały się zupełnie i przyniosły nie tylko rozczarowanie ale i oskarżenie o nieostrożność w dysponowaniu finansami. Jedną z instytucji wspomaganych przez ministra informacji był angielski komitet „Polish Publication Committee” założony i kierowany przez anglikańskiego księdza Brinkera. Ten Komitet miał na celu propagandę polską wśród sfer anglikańskich. Niewiele zostało po tej propagandzie i mało kto pamięta księdza Brinkera, jednak do dziś dnia żywe są zarzuty stawiane prof. Pragierowi za wspomnienie Polish Publication 16.000 funtów. W roku 1946 Najwyższa Izba Kontroli pod przewodnictwem prez. Tomaszewskiego zajmowała się tymi zarzutami i stwierdziwszy, że wydatek był uczyniony zgodnie z postanowieniami rządu oczyściła prof. Pragiera z wszelkich zarzutów.

Nieudaną imprezą był tak zwany „Mundus”, firma drukarsko-wydawnicza, która powstała na miejsce Polskiego Instytutu Kartograficznego. Był to dobry pomysł i użycie maszyn i personelu Instytutu miało sens, ale „Mundus” nie wsparty przez ministra skarbu zwinął się z braku kapitałów zakładowych.

Na konto ministerstwa informacji wpisuje się czasem istniejącą dziś firmę księgarską „Vistula” Aleksandra Piskora. Jest to jednak przedsiębiorstwo prywatne, jego związek z Min. Inf. był od początku bardzo luźny, po prostu personalny.

Największą i trwałą imprezą ministra informacji z roku 1945 było założenie Fundacji „Dziennika Polskiego”.

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” wychodził za pieniądze Ministerstwa; miesięczna subwencja pisma wynosiła 2.500 funtów, co umożliwiała życie „Dziennikowi”, który w znacznej mierze był rozdawany bezpłatnie.

Wobec zagrożenia „Dziennika” możliwością przejęcia go przez rząd warszawski, Ministerstwo Informacji postanowiło stworzyć z pisma niezależną instytucję.

Założono Fundację Dziennika Polskiego powołując powierników spośród ludzi związanych z literaturą, ze sprawami społecznymi i tak zwanych delegatów rządu. Takim delegatem rządu, łącznikiem pomiędzy Ministerstwem Informacji i Fundacją miał być dr Czerwiński.

„Dziennik Polski” otrzymał statut przewidujący, że po 21 latach wydawania pisma — któż wtedy liczył na to! — Fundacja przejdzie na własność Fundacji Kościuszkowskiej w Stanach Zjednoczonych. Kapitałem zakładowym były długi, zobowiązania, personel pełen jak najlepszych chęci i 15.000 wypłacone czekiem przez ministra.

„Dziennik”, jak wiadomo, skorzystał ze swobody, jaką mu dawał statut i „zdenacjonalizował” się całkowicie, uniezależniając się od rządu i jego spadkobierców. (A zwłaszcza tych, którzy uważają się za spadkobierców legalnych).

Obecnie „Dziennik Polski” jest Fundacją, w skład której wchodzi tylko dwóch dawnych powierników, a mianowicie Stanisław Baliński i dr Witold Czerwiński oraz uzupełnieni z wyborów gen. Władysław Anders i Juliusz Sakowski.

„Dziennik Polski” stanowi pogmatwany splot firm i towarzystw zorganizowanych przez byłego dyrektora i powiernika dr. Kirkięna. Istnieje Polish Daily Trust i jego ciało handlowe Polish Daily and Polish Soldiers Daily Limited i Polish Daily (Publishers) Limited — jest to system tak zwany „buforowy”, to znaczy że Polish Daily (Publishers) Limited jako firma wydająca „Dziennik” odpowiada prawnie za wszystkie przekroczenia i występuje w sprawach sądowych — jej odpowiedzialność jest bardzo ograniczona.

Stworzony przez dr. Kirkięna Polish Cultural Foundation ma na celu używanie wypracowanych przez Fundację pieniędzy na cele kulturalne.

Dopiero niedawno ten poboczny produkt „Dziennika Polskiego” rozrósł się do prawie samodzielnej instytucji; przyjął nowych członków do swego grona (gen. Kopański i amb. Raczyński) i zaczął działać wydając popularne książki.

Ile jest wart Polish Daily Trust?

Na to pytanie stara się znaleźć odpowiedź obecnie Fundacja Kościuszkowska i jej prawnicy. Fundacja bowiem zamierza skarżyć powierników „Dziennika” o wprowadzenie jej w błąd w momencie, gdy dyrektor Fundacji prof. Mierzwa zrzekł się „Dziennika Polskiego” za jednego funta.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko Polish Daily Trust i jego „buforowe” przybudówki, to rzeczywiście nie ma to większej wartości poza wielkim znaczeniem propagandowym i poza wartościami tradycji wydawniczych. Jednak do tej pierwotnej instytucji z czasem doszła nowa spółka handlowa o ograniczonej odpowiedzialności „Caldra House”. Caldra House Ltd założona była w Szkocji przez dr. Kirkiena i Mrs Dobbie, bardzo bogatą przyjaciółkę Polaków z czasów Wojny. Działalność Caldra House była bardzo mała; wydano zdaje się tylko jedną książkę dr. Kirkiena, ale gdy powstał projekt wyposażenia „Dziennika” we własne maszyny drukarskie dr. Kirkien, już wtedy dyrektor pisma, wykorzystał Caldra House jako ciało prawne. Obecnie Caldra House, w którym jako udziałowcy nadal pozostają dr. Kirkien i Mrs Dobbie (po 700 funtów) jest przedsiębiorstwem drukującym „Dziennik Polski” i zasadniczo zupełnie prywatnym. Z tym jednak, że wzrost i kapitały swoje Caldra House zawdzięcza Fundacji Dziennika i dlatego na czele jego akcjonariuszy stoją powiernicy „Dziennika Polskiego” z jedną zbiorową akcją wartości 15.000 funtów. Caldra House posiada dwa domy w Hove nad morzem i maszyny drukarskie; wszystkie nieruchomości i ruchomości oceniane są z grubsza na 100.000 funtów (1).

Naturalnie i tu powołano firmy „buforowe” Polish Daily Printers i Polish Daily Publishers, które odpowiadają za drukowanie „Dziennika”. Z czasem, gdy w grę weszło wydawanie „Tygodnia Polskiego”, powołano Polish Echo Limited, w której to spółce nie

(1) Majątek „Dziennika Polskiego” ostatnio powiększył się o dom w dzielnicy West Kensington w Londynie. Tu z początku mieściły się biura Polskiego Funduszu kulturalnego, a obecnie przeniosła się redakcja i administracja „Dziennika”. Nie jest to dobra dzielnica i adres nie da się porównać z dawnym, w samym centrum Londynu, ale dom obszerny i przede wszystkim własny. Razem z pomieszczeniem „Dziennik Polski” powiększa skład redakcji i administrację (jak mówią wtajemniczeni w ten sposób odciążając biura polityczne i stwarzając posady dla zaprzyjaźnionych działaczy).

Sprawy wynagrodzeń w „Dzienniku” i całej jego gospodarki zawsze były przedmiotem plotek i fantastycznych przypuszczeń, jednak nie wszystko tam musiało być w porządku, skoro kiedyś „Dziennik Polski” cofnął się przed ujawnieniem płac personelu wobec sądu. Było to w trakcie procesu wytoczonego p. Stanisławowi Józwiakowi, który oskarżał „Dziennik”, że za dużo płaci swym dyrektorom i powiernikom, a za mało daje na cele społeczne i kulturalne. Broniąc się p. Józwiak zażądał przedstawienia listy płac do sądu. Dyrekcja „Dziennika” cofnęła się przed tym i odstąpiła od całego procesu.

Jak jest obecnie pod nowym zarządem? Wydaje się, że „Dziennik Polski” mając wszelkie techniczne możliwości powinien co pewien czas ogłaszać swoje bilanse i całkowity skład redakcji i administracji. Dotychczas nigdy tego nie było.

mieli mieć udziałów powiernicy Fundacji Dziennika Polskiego — i o to właśnie wszczęta została wojna w „Dzienniku”, wojna, która, jak wiadomo, zakończyła się zmianą kierownictwa i klęską dr. Kirkiena.

„Dziennik Polski” i jego majątek — tak czy inaczej określany — pozostaje poza wszelką kontrolą społeczną i wpływ na niego mają tylko czytelnicy, to znaczy że tylko zmniejszenie się liczby prenumeratorów może przynieść jakieś zmiany w sytuacji prawnej czy majątkowej „Dziennika”.

„Dziennik Polski” jest pismem codziennym o małym nakładzie — obecnie nie wynosi on więcej niż 22 tysiące. Utrzymywanie tego pisma na powierzchni i nawet bogacenie się jest swego rodzaju paradoksem dziennikarskim. Tylko sprytnie wykorzystanie powiązań Caldra House — Fundacja, oszczędna gospodarka i bardzo małe honoraria pozwalają na sukcesy.

Walka, jaka obecnie grozi „Dziennikowi” ze strony Fundacji Kościuszkowskiej, ma nie tyle podstawy ekonomiczne, ile polityczne. Sądzi się, że przy pomocy Fundacji Kościuszkowskiej „Dziennik” może być wyrwany jednej partii politycznej i przekazany innej. Tą inną są „legalni spadkobiercy rządu”; czyli w ciągu 20 lat nie zrezygnowali oni z „nacjonalizacji” swego „zde-nacjonalizowanego” majątku.

Depozyt generała i skarby ministra

Kasa rządu polskiego została oddana Anglikom w chwili, gdy znajdowało się w niej 790.000 funtów. Stało się to ze szkodą dla emigracji i wiele założonych fundacji zmarło z wycieńczenia, a jeszcze więcej w ogóle nie urodziło się wskutek oszczędności Ministerstwa Skarbu.

Ocalał specjalny fundusz, który zdeponowany był w Banku Angielskim na koncie Banku Polskiego i nosił nazwę „Depozyt gen. broni W. Sikorskiego”. Była to skrzynia zawierająca 1.250.000 dolarów w gotówce. Przedstawiciele rządu, specjalna komisja wietrzyli te dolary, liczyli je od czasu do czasu i obmyślali zapewne sposób ich użycia.

Dolary te otrzymał gen. Sikorski w czasie swej wizyty w Stanach Zjednoczonych. Dał mu je, jak to się mówi, ciepłą rączką, prezydent Roosevelt na cele pomocy krajowi.

Po śmierci generała depozyt w dalszym ciągu leżał w Banku Angielskim. Ministrowie i specjalna komisja wynajdywali powody wycofania go z banku, ale minister skarbu bronił się twierdząc, że nie ma miejsca na przechowywanie takiej masy banknotów.

Wreszcie, tuż przed cofnięciem uznania, wydostano ze skrzyni 500.000 dol. i starano się je użyć na pomoc krajowi. Jednym z przejawów tej pomocy było wyposażenie statku radiowego „Wolność”. Był to pomysł posła Kuncewicza a jego syn, młody Kuncewicz, kierował tym legendarnym statkiem. „Wolność” pływała po Morzu Śródziemnym i nadawano z niej programy radiowe do

Polski. Podobno jednak statek został zaaresztowany za przemyt i skonfiskowany. Suma 500 tysięcy dol. została dosłownie utopiona.

Po cofnięciu uznania, gdy pieniądze polskiego Rządu przeszły do rąk P.R.L., reszta depozytu w dalszym ciągu znajdowała się w owej skrzyni i w rezultacie zabiegów polskich rząd brytyjski zgodził się je wydać z przeznaczeniem na cele społeczne emigracji. Podobno część tych pieniędzy przejął Komitet Obywatelski.

Minister skarbu Jan Kwapiński przeżył jeszcze jeden kryzys. W roku 1947, po śmierci prezydenta Raczkiewicza i „zamachu” Zaleskiego, Kwapiński, zwolennik Arciszewskiego, nie zgodził się na wydanie kasy rządowej nowej administracji. Było wtedy w owej kasie 6.000 funtów rządowych i 45 tysięcy dolarów, które min. Kwapiński otrzymał od gen. Andersa na działalność krajową PPS (2).

Te pieniądze, razem z tak zwanym Reliefem (3), funduszem Związków Zawodowych, Jan Kwapiński zatrzymał u siebie. Do dziś dnia z tych funduszy nie rozliczył się zapowiadając tylko, że w swych pamiętnikach opowie jak nimi dysponował.

O tym dysponowaniu wiadomo jest coś niecoś. Stwierdzając, że nie ma na emigracji „legalnego” i rzeczywistego spadkobiercy kasy rządowej Jan Kwapiński wypłacał drobne sumy wedle własnego uznania. Pozostawał więc w dalszym ciągu ministrem skarbu i nawet ponoć wypłacał sobie minimalną pensję z tego tytułu.

Przez pewien czas „minister” wspomagał rząd Komorowskiego, do którego miał zaufanie, pomógł w Zjednoczeniu, pożyczając amb. Raczyńskiemu 3000 (?), udzielał zasiłków wydawnictwom, jak np. Księgarni Polskiej w Paryżu, Świderskiemu i „Wiadomościom”, dawał od czasu do czasu na cele kulturalne, udzielał stypendiów. Nie dawał natomiast na cele polityczne i tym bardzo denerwował swych kolegów z PPS, którzy w dalszym ciągu zabiegają o pozostałości funduszu, na pewno ogromnie skurczonego.

Jan Kwapiński jest typowym szlachetnym, ale samodzielnym, powiernikiem wyłamującym się spod wszelkiej kontroli.

Na zakończenie tych kilku kart z historii ostatnich dni polskiego rządu na wygnaniu warto wspomnieć o KOMITECIE CZYSTOŚCI IDEOWEJ NIEPODLEGŁOŚCIOWCÓW POLSKICH.

W latach 1945/46 ten tajemniczy Komitet rozsyłał ulotki demaskujące ministrów i mężów zaufania, którzy jakoby dyspono-

(2) 45 tysięcy dolarów, które otrzymał min. Kwapiński z funduszy wojskowych od gen. Andersa, miały być zużyte na zorganizowanie przez PPS bojówek robotniczych w Polsce, na wypadek jakiegoś powstania przeciw komunistom. Po kilku latach gen. Anders usiłował odebrać swój depozyt, ale p. Kwapiński oparł się stanowczo i nie wydał go.

(3) Relief — fundusz Polskich Związków Zawodowych, powstał z pieniędzy nadesłanych z Ameryki. Tam z inicjatywy związku zawodowego krawców zebrano pieniądze i dano je Polakom na pomoc dla członków związków zawodowych. Wielu działaczy PPS na emigracji korzystało z tego funduszu.

wali funduszami w sposób nieuczciwy. Prawie wszystkie oskarżenia Komitetu były bezpodstawne i wyssane z palca, tę działalność prowadzili prawdopodobnie ludzie spod znaku komunistycznego (albo może zwolennicy Mikołajczyka?). Adres, zresztą fałszywy, podawano w ulotkach jako 74, Cornwall Gardens (4).

Odcinając się od podobnych akcji warto jest stwierdzić, że byłoby ciekawe dokładne zbadanie tamtych czasów; dałoby to nie tylko przegląd zdarzeń historycznych, ale byłoby też przestrogą dla obecnych włodarzy funduszami, jak łatwo można stracić potężny majątek i rozproszyć znaczne fundusze.

Pochwała wojska

Tak jak i dzisiejsza gospodarka funduszów wojskowych wydaje się przewyższać gospodarkę „cywilnych”, tak i na początku „wojsko” potrafiło lepiej zadysponować funduszami.

Ile ich było? Trudno na to odpowiedzieć. Pewne źródła informacji twierdzą, że w momencie śmierci gen. Sikorskiego tak zwany „fundusz Wodza Naczelnego” wynosił przeszło 200.000 funtów. Jak wyglądał w chwili cofnięcia uznania? Krążą wiadomości, że jakoby przedstawiciel wojska — w przeciwieństwie do ministra skarbu — zdołał w przeddzień zamrożenia polskich kas rządowych wycofać z banku całą gotówkę.

Wojsko potrafiło się zawsze lepiej konspirować, więc stwierdzenie dzisiaj tych spraw jest prawie niemożliwe. Natomiast można z łatwością dostrzec w dzisiejszych funduszach ślady gospodarki „wojskowej”.

Wiemy, że Fundusz Społeczny Żołnierza powstał dzięki funduszom wojska, znamy los „sum włoskich”, funduszów oddziałowych, wiemy, że dzięki ofiarności wojska kupiono Dom Pisarza, stworzono Fundusz Wdów i Sierot oraz wiele innych.

Polska księgarnia w Paryżu „Libella”, założona została przez wojsko; wojsko dało na Instytut Sikorskiego i Instytut Historyczny, wyposażyło „Redutę” i dało kapitał zakładowy PUCAL’owi.

Z tych instytucji najmniej znany jest Instytut Historyczny (Polish Historical Institution), założony z kapitałem ponad 35.000 funtów. Ten fundusz, którego powiernikami są płk Piątkowski, płk Kosiba i kmdr. Wroński, posiada cztery nieruchomości i wypracowuje rocznie ponad 2.000 funtów. Zajmuje się pracami historycznymi, między innymi wydaje Historię Polskich Sił Zbrojnych na Obczyźnie. W swej funduszowej historii ten szerokim rzeszom nieznany instytut przeżył katastrofę finansową, która nazywała się „Unity Fishing Company Limited”. Była to spółka handlowa zajmująca się przetworami rybnymi w Kornwalii. Uni-

(4) Adres 74, Cornwall Gardens znany nam jest z historii Polish Union, organizacji tworzonej przez rząd Arciszewskiego. Dom ten nabył dla organizacji jeden z założycieli i następnie sprzedał z zarobkiem dla rządu. Mimo starań dwójki nie udało się wykryć, kto stał poza organizacją Komitetu Czystości.

też Fishing zostało zlikwidowane ze stratą 11.833 funtów. Dziś fundusz posiada na swym koncie 19.615 funtów zaangażowanych w nieruchomościach.

Mało znaną instytucją jest „Reduta”, Instytut Wschodni, który powstał w roku 1946 na Środkowym Wschodzie przy dowództwie przebywających tam polskich wojsk, pod protektorem gen. Wiatra. Celem Instytutu miało być propagowanie polskiej kultury w krajach arabskich. Wydano np. *Anhellego* po arabsku i kilka broszur oraz powielane biuletyny. Po przybyciu wojska do Wielkiej Brytanii „Reduta” zmieniła zakres swego działania obejmując nim wszystko, co znajduje się od Polski na Wschód.

„Reduta” do roku 1954 wydawała *Easter Quarterly*, bardzo dobrze redagowany i ciekawy periodyk o wysokiej wartości naukowej. „Reduta” przywiozła też ze Środkowego Wschodu sporą bibliotekę związaną z zainteresowaniami Instytutu.

Podobno kapitałem zakładowym Instytutu była poważna suma około 30.000 funtów; obecnie cały jego majątek to zapuszczony, zaniedbany dom na Bolton Gdns w Londynie. Mieściła się tu kiedyś Szkoła Nauk Politycznych i do dziś dnia odbywają się czasem odczyty.

Bez dopływu nowych kapitałów, czy bez pomocy innych funduszy „Reducie” grozi upadek, bo w obecnej sytuacji nie posiada ona pieniędzy na wyreperowanie budynku, nie mówiąc już o dalszym prowadzeniu działalności. Wydawanie *Easter Quarterly* pochłonęło większość funduszy.

Ile „wojsko” czy też spadkobiercy wojskowych funduszy mają dziś w swoim posiadaniu? Najprawdopodobniej nic. Rozdawszy wiele i przez 20 lat prowadząc działalność polityczną, „wojsko” wyczerpało swe możliwości. Dowodem tego niech będzie fakt, że główny administrator tych funduszy żyje obecnie z zasiłku brytyjskiej pomocy społecznej, a naczelny organ wojska, *Orzeł Biały*, przejmują Kombatanci (5).

Największym osiągnięciem władz wojskowych było założenie Instytutu generała Sikorskiego.

„Twierdza Polskości”

Instytut Historyczny im. gen. Władysława Sikorskiego mieści się w Londynie na Princess Gate numer 20. Jest tu muzeum,

(5) Gryf Publications, dotychczasowy wydawca „Orła Białego”, powstał z inicjatywy 2 Korpusu, założycielami i akcjonariuszami początkowymi byli pp. M. Protasiewicz, W. Sikorski, T. Bornholtz, L. Rubel i P. Zaremba razem 2198 akcji, po funckie, z czasem doszli do tego jako główni akcjonariusze E. Lubomirski (3000 akcji) i L. Łubieński (1500 akcji). Praca „Gryfu” opiera się na drukarni, która wyrosła ze szczątków drukarni położonej 2 Korpusu i rozbudowała się w największą i najbardziej ruchliwą polską drukarnię.

archiwum, siedziba Instytutu Historycznego, redakcja „Bellony” i biuro gen. Andersa. Tu są złożone sztandary polskich oddziałów z ostatniej wojny, tu zgromadzone zostały pamiątki po generale Sikorskim.

W Instytucie odbywają się zebrania wielu organizacji i zna ten dom prawie każdy Polak z Londynu, a ci przybyli z prowincji spieszą tu jak do serca emigracji.

Niestety, to serce nie mieści się w zdrowym (finansowo) ciele. Za gmach Instytutu, mieszczący się w centralnym Londynie, w dzielnicy ambasad i instytutów zagranicznych, zapłacono 15.000 funtów, dziś gdyby go sprzedać, można byłoby osiągnąć, 60 a nawet 80 tysięcy. Niestety, budynek jest w dużym stopniu zniszczony, niedawno odnowiono go z zewnątrz przy pomocy społeczeństwa za składki dobrowolne, ale wewnątrz jest bardzo zaniedbane. Utrzymanie Instytutu kosztuje rocznie 6.000 funtów; wchodzi w to koszt administracji budynku oraz prace historyczno-archiwalne. Na utrzymanie Instytutu zasadniczo łoży społeczeństwo; Instytut posiada 500 stałych członków, płacących składki i 75 organizacji członkowskich. Poza budynkiem w Londynie Instytut miał zbiory umieszczone w Banknock w Szkocji; wielki dom z parkiem wpierw dzierżawiony a potem zakupiony przez SPK i подарowany Instytutowi zawierał spore muzeum wojskowe i zbiory pism. Obecnie Banknock sprzedano, a zbiory rozsiane są po prywatnych opiekunach, częściowo znajdują się w Glasgowie pod opieką SPK i Towarzystwa Społecznego im. gen. Sikorskiego.

Wartość zbiorów Instytutu oceniana jest rozmaicie. Największe znaczenie ma archiwum z ostatniej wojny i kolekcja pism, poza tym w gmachu Instytutu złożone zostały na przechowanie i wystawione na widok publiczny zbiory rodziny Krasińskich.

Sztandary i pamiątki po generale Sikorskim, pamiątki oddziałów polskich za granicą mają wartość niewymierną.

Uczuciowo i w pewnym sensie personalnie związany z Instytutem Sikorskiego jest Polski Ośrodek Naukowy, bardziej znany pod angielską nazwą: Polish Research Centre. Ta instytucja powstała najwcześniej ze wszystkich, bo jeszcze w roku 1939. Powołał ją do życia w formie małej placówki naukowo-bibliotecznej ambasador Edward Raczyński i postawił na jej czele prof. Żółtowskiego. Z czasem Polish Research rozrosło się i zdobyło sporą bibliotekę książek polskich, zwłaszcza wydanych przed wojną, wśród tych książek sporo jest „białych kruków”, jakie zachowały się tylko tutaj.

Działalność Polish Research jest mało znana; biblioteka dostępna jest tylko na miejscu, a wydawnictwa są specjalne, związane przeważnie z ministerstwem spraw zagranicznych. Wydano tu *Diariusz Szembeka*, *Historię Architektury Polskiej Dmochowskiego*, *Pamiętniki amb. Raczyńskiego* i *Monografię o Zakonie Maltańskim Czerwińskiego*. Przygotowuje się wydanie „*Rogalina*” — książki o rodzinnej siedzibie Raczyńskich.

Należy zaznaczyć, że większość tych książek została wydana w dużym stopniu dzięki funduszom prywatnym, albo drogą subskrypcji, względnie — jak w wypadku książki Dmochowskiego — w oparciu o inną instytucję (tu np. o Szkołę Architektury).

Znaczenie Polish Research urosło bardzo, gdy ulokowała się tam Komisja Biblioteczna i Centrala Bibliotek Ruchomych.

Bibliotekę Polską utrzymują władze angielskie, co rok przeznaczając na ten cel odpowiednią sumę. Dla odbierania tych pieniędzy powstał trochę sztuczny twór: Komitet Biblioteczny. Jego zadaniem było podejmowanie i rozdzielanie pieniędzy. Urządowanie tego Komitetu w Research Centre stworzyło pozory, że ten Ośrodek jest ciałem nadrzędnym wobec Biblioteki i w ten sposób powstał paradoks, który dziś nazwano „Twierdzą Polskości”.

Tą twierdzą ma być połączenie Instytutu Sikorskiego z Polish Research i podporządkowanie Biblioteki Polskiej temu nowemu ciału.

Przymusowe scalanie

Idea połączenia Instytutu Sikorskiego i Polish Research Centre niewiele ma wspólnego z ideą scalania polskich funduszy. Początek tego dało cofnięcie subsydiów, jakimi żyły obie te instytucje.

Instytut im gen. Sikorskiego od czasu do czasu otrzymywał dotacje z kasy amerykańskiej i to pozwalało mu przeżyć blisko 20 lat. To, i naturalnie publiczna ofiarność oraz prywatni dobroczyńcy, wśród nich na pierwszym miejscu książę Stanisław Radziwiłł.

Polish Research również korzystał z amerykańskich subsydiów, zwłaszcza na swe wydawnictwa. Dawała instytucja zwana „Free Europe Organisation and Publications”. Na wydanie „Dziariusza” Szembeka otrzymano np. 1.383 funty, na wydanie „Zakonu Maltańskiego” Czerwińskiego 269 funtów, itd.

Ale głównym źródłem dochodów Polish Research były zasiłki angielskie związane z Biblioteką Polską. Do roku 1960 Ministry of Education dawało rocznie 17.000 funtów; sumę tę dzielono na cztery części: około 12 tysięcy funtów szło na konto Biblioteki Polskiej, i na Centralę Bibliotek Ruchomych, reszta na centralną komórkę (Komitet Biblioteczny) i 2000 funtów na Polish Research.

Tę subwencję cofnięto. Anglicy zgodzili się przyznać fundusze na Bibliotekę; Centralę Bibliotek Ruchomych przejęli pod swój zarząd, a owe 2000 funtów zlikwidowali.

Władzom Polish Research udało się zdobyć jednorazowy zasiłek z Foreign Office w wysokości 2000 funtów, ale dalsze zasiłki uzależnione zostały od połączenia się w jedną organizację i zdobycia połowy potrzebnych funduszy we własnym zakresie. Jeden funt Polacy, jeden funt Anglicy — taką zasadę postawiono na

przyszłość. Anglicy dają 7000 funtów. Przymując nawet, że po udanym połączeniu będzie się otrzymywać owe 7000 funtów od Anglików i zebrać drugie 7000 funtów ze źródeł polskich — nie wystarczy to na wszystkie potrzeby. Z jednej trzeciej tych pieniędzy nie utrzyma się Biblioteka Polska, która na tej zamianie ogromnie straci i byt jej znowu będzie zagrożony. Naturalnie jeżeli wyobrazimy sobie jakąś wielką połączoną bibliotekę, to razem z kosztami prac połączeniowych trudno przypuszczać, aby te pieniądze wystarczyły.

I to stało się podstawą ruchu „scaleniowego”, który w pewnym stopniu przeciwstawia się akcji PUCAL’u.

Choć komunikaty w „Kulturze” i w „Dzienniku Polskim” mówią o „fakcie dużej doniosłości” i nazywają przyszłą instytucję „Twierdzą polskości”, jednak nasuwają się poważne wątpliwości, gdy sprawę rozpatruje się bliżej.

Przyszła impreza ma nazywać się: Instytut Polski i Muzeum im gen. Sikorskiego. Komunikat mówi o zrezygnowaniu z nazwy „Polski Ośrodek Naukowy”, ale nie wyjaśnia, dlaczego stracono nazwę Biblioteki Polskiej. Bo, że o Bibliotece Polskiej mówi się poważnie w ramach scalenia to fakt, chociaż rozmowy te przeprowadzane są bez przedstawiciela Biblioteki.

Owa twierdza polskości ma być zbudowana na Bibliotece Polskiej i na Instytucie Sikorskiego. Instytut posiada za sobą tradycję i skupia wiele naszych dobrych uczuć, Biblioteka poza również wielką tradycją, dorobkiem naukowym i serdeczną troską, jaką ją otacza całe społeczeństwo emigracyjne, posiada pieniądze.

Komitet Apelowy, który powstał kilka lat temu i zbierał pieniądze na budowę pomieszczenia dla Biblioteki Polskiej posiada na swym koncie 6.000 funtów. Centrala Bibliotek Ruchomych wysyłając brytyjskim wypożyczalniom polskie książki za niewielką opłatą wypracowała w ciągu lat przeszło 11.000 funtów. 1000 funtów zużyto na półki i meble do Biblioteki. Reszta umieszczona jest na koncie Research Centre pod nadzorem Min. Oświaty.

Poza tymi funduszami Biblioteka Polska posiada przyznane jej od wielu lat darmowe pomieszczenie. Lokal na Bibliotekę jest duży, zajmuje ona w gmachu PUCAL’u, całe trzy piętra, koszt utrzymania tego lokalu oblicza się rocznie na 2000 funtów.

I wreszcie Biblioteka Polska ma za sobą najbardziej autentyczny tytuł do korzystania z angielskich zasiłków. Tu, w kraju, gdzie wszystkie biblioteki publiczne są utrzymywane przez państwo albo samorząd, zbiór książek dla mniejszości polskiej liczącej 140 tysięcy powinien korzystać z opieki państwa. Jest to tytuł i logiczny, i prawny.

Jeżeli Biblioteki Polskiej zabraknie w „scaleniu” Research Centre z Instytutem Sikorskiego, wtedy cały sens scalenia przestanie istnieć, władze angielskie nie dadzą zasiłku.

Scalenie więc, które nie postępuje gładko, ma wiele minusów i trudno uwierzyć, że kierownikom Research Centre uda się przez te kłopoty przebrnąć. Jedyne logiczny wniosek, jaki się nasuwa, to

scalenie tymczasowe Ośrodka i Instytutu z pozostawieniem Biblioteki na boku a następnie włączenie się razem do inicjatywy PUCAL'u.

Naturalnie połączenie bibliotek, stworzenie jednego księgozbioru jednakowo katalogowanego i pod jednym zarządem jest sprawą pożądaną, ale można to czynić tylko w oparciu o Bibliotekę Polską, która ma wszelkie dane, łącznie z poparciem finansowym ministerstwa z jednej strony, a PUCAL'u z drugiej, na to, by zostać fundamentem, wielkiego polskiego ośrodka kulturalnego i naukowego, o jakim wraz z PUCAL'em marzy cała emigracja.

Przyszły „Instytut Polski” ma mieć charakter instytucji naukowej, a przecież istnieje i działa Polskie Towarzystwo Naukowe, które skupia wszystkich ludzi nauki polskiej na emigracji. Dlaczego nie w oparciu o tę organizację, najbardziej kompetentną do budowania placówki naukowej, „scala się” instytuty? Wśród działaczy zajmujących się „scalaniem” mało jest ludzi nauki.

Czas zacząć odnowę

Na zakończenie trzeba podsumować to, co zdołaliśmy zebrać w sprawie funduszy polskiej emigracji. Nie różni się to wiele od tego, co zostało stwierdzone we wstępie.

Wiele funduszy polskich i możliwości naszych zmarnowano, jest wielu małych powierników (a może i wielkich), którzy nigdy nie zostaną ujawnieni i ich majątki przejdą na ich spadkobierców tracąc wszelką łączność ze sprawą polską.

Większość wielkich funduszy została ulokowana w nieruchomościach i podniosła znacznie swoją wartość.

Włodarzami naszych funduszy mającymi o nich najwięcej do powiedzenia są ludzie bardzo starzy. Siedemdziesięciolatki i sześćdziesięciolatki stoją na czele organizacji, dysponujących majątkiem emigracji. Są oni z natury rzeczy wielkimi konserwatystami i uparcie chronią zarówno fundusze jak i ich statuty od wszelkich zmian; są to przy tym ludzie tak już starzy, że nie mogą fizycznie i psychicznie podołać obowiązkowi, jakie od 20 lat dźwigają dobrowolnie.

Kontrola polskich funduszy jest b. luźna, uzależniona od władz angielskich podatkowych, ministerialnych i biura opieki nad funduszami dobroczynnymi. Wiele funduszy nie jest zarejestrowanych, spora część majątku zapisana jest na osoby prywatne, albo spółki o charakterze prywatnym, bez statutów i bez stwierdzenia, że majątek ten wyrósł z pieniędzy publicznych.

Wobec wymierania powierników coraz częściej zdarza się, że majątek ginie dla sprawy polskiej.

Powiernicy z zasady mają niechęć do ujawniania swych powiernictw, strzegą ich pilnie i uważają się za kogoś, kto jest wyższy ponad opinię publiczną.

(Częściowe ujawnienie stanu majątków polskich w „Kulturze” wywołało oburzenie i argumenty, że jest to działanie na szkodę emigracji).

A najważniejsze — większość funduszków przeżyła swoje statuty i przestała działać we właściwym kierunku.

W tej sytuacji trzeba bezzwłocznie zrobić coś, aby nastąpiły zasadnicze zmiany.

To, co zostało stracone albo po prostu zużyte w ciągu dwudziestu lat, należy odpisać na straty, ale z tym co zostało trzeba postąpić rozsądnie.

I tu dochodzimy znów do inicjatywy ludzi skupiających się przy PUCAL'u i Stowarzyszeniu Polskich Techników.

Określając najbardziej liberalnie posiadamy obecnie:

Fundusz Społeczny Żołnierza	£300.000
Stowarzyszenie Kombatantów	£300.000
Komitet Obywatelski	£200.000
Stowarzyszenie Lotników	£ 90.000
Samopomoc Marynarki	£ 60.000 (6)
Tow. Pomocy Polakom	£ 50.000
Fund. 3 Dyw. Karpackiej	£ 40.000
Inwalidzi	£ 40.000
Fund. 5 Dyw. Kresowej	£ 20.000
PUCAL i Technicy	£ 90.000
Razem	£1.190.000 (7)

Najprostszą rzeczą byłoby, gdyby wszystkie wymienione stowarzyszenia i organizacje zlikwidowały się jako samodzielne placówki i połączyły się tworząc jeden wielki Polski Ośrodek w Wielkiej Brytanii. Zabezpieczyłoby to i Bibliotekę i Instytut Sikorskiego i Towarzystwo Naukowe i wiele innych naszych emigracyjnych spraw. Kto wie czy nie dałoby to oparcia dla naszej polityki niepodległościowej.

Pozwoliłoby to centralnie administrować domami polskimi na prowincji i w Londynie, tworząc z nich ośrodki polskości nie kłócące się wzajem.

(6) W poprzednim artykule zostało powiedziane, że Samopomoc Marynarki posiada znaczne fundusze umieszczone w banku. Należy sprostować, że fundusze te zostały zużyte na kupno dwóch domów, prowadzonych przez Samopomoc. Marynarze noszą się podobno także z zamiarem stworzenia sobie placówki dochodowej w Bahamach — hotelu. Czy to prawda? Byłoby to wbrew interesom samych marynarzy, których większość związana jest z Wielką Brytanią i stwarzałoby to szereg komplikacji prawnych, bo Bahamy mają własną jurysdykcję i własne prawo podatkowe.

(7) Nie ma w tym zestawieniu ani Instytutu Sikorskiego, ani Polish Research, ani „Reduty”, ani bardzo ubogiego, ale równie ważnego Instytutu Piłsudskiego, te placówki powinny wziąć udział w scaleniu nie jako fundusze dające podstawy finansowe ale jako potrzebujące pomocy i opieki. Z tym naturalnie że przydałoby się im połączenie jeszcze dalej idące niż plany Muzeum Sikorskiego, połączenie wedle wzorów jakie wypracował PUCAL.

Zestawienie nie obejmuje również całego szeregu małych funduszków, z których wiele już zgłosiło chęć przystąpienia do Ośrodka.

Dałoby to możliwość wybudowania większej ilości domów dla starców, ośrodków młodzieżowych, obozów letnich.

Powstałby jeden ośrodek nauczania, jeden ośrodek nauki i jeden ośrodek wydawniczy. Teatr, sale wykładowe... wszystko o czym marzymy stale i bez nadziei na spełnienie.

Takie proste rozwiązanie nie jest naturalnie możliwe, przynajmniej w chwili obecnej. Ale należy ku temu zmierzać, bo to jest jedyne i jedynie logiczne wyjście z sytuacji.

Trudności są olbrzymie. Po pierwsze pozbawiłoby to wielu ludzi środków utrzymania oraz oparcia dla ich wybujałych ambicji.

Po drugie wymagałoby to przekonania ogromnej ilości członków zarządów i prezesów (8).

Po trzecie musieliby się znaleźć ludzie zdolni taką sprawę zacząć i doprowadzić do końca.

Wszystkie te cele postawił przed sobą nowy Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, który się tworzy z inicjatywy PUCAL'u i Stowarzyszenia Techników.

Pierwsze lody zostały już przełamane. Po wielu zebraniach, po wielu debatach, z których pewne miały wyraźny cel storpedowania inicjatywy, został ustalony statut Ośrodka i oddany do zatwierdzenia angielskiemu Charity Commissioner'owi.

Szereg organizacji brało udział w dyskusjach przyczyniając się do stworzenia odpowiadającego naszym celom statutu.

Niektóre organizacje mniejsze i widzące wyraźne korzyści dla siebie zgłosiły przystąpienie do Ośrodka bez zastrzeżeń, inne, większe, i kierowane bardziej skomplikowanymi statutami, udzieliły poparcia nie podając sumy, jaką mogą w Ośrodku zaangażować. Tak uczyniło np. SPK, którego przedstawiciel bardzo czynnie bierze udział w pracach nad Ośrodkiem, ale wciąż nie wypowiada się w cyfrach.

Poparcie dla inicjatywy rośnie, coraz więcej ludzi uważa, że jest to jedyne rozsądne wyjście z naszej sytuacji finansowej. Droga naturalnie jest daleka i niełatwa. Choćby sprawa scalania wedle planów Research i próba wciągnięcia w to Biblioteki Polskiej. Albo staranie się stworzenia przekonania, że nowopowstający Ośrodek nie jest dostatecznie pewny politycznie — jest to stary chwyt.

Najważniejsze się stało — znaleźli się ludzie, którzy chcą i którzy potrafią tę akcję przeprowadzić do końca. I znalazły się organizacje, które bez zastrzeżeń cały swój majątek oddały na usługi nowej idei.

(8) Opory przeciw akcji PUCAL'u są przede wszystkim natury personalnej. Bardzo wielu członków zarządu i urzędników administracji funduszków straciłoby posady. Bardzo wielu prezesów musiałoby się rozstać ze swymi ambicjami. Wydaje się, że motywy wynikające z wielkich ambicji i chęci utrzymania niegdyś posiadanego znaczenia odgrywają większą rolę niż względy materialne — prezesi, członkowie zarządów, dyrektorzy funduszków i przedsiębiorstw przeważnie „chodzą bez butów”.

PUCAL zadeklarował swoje 70.000 funtów i Stowarzyszenie Techników 20.000 funtów, razem jest to £90.000 — podstawa niemała na stworzenie Ośrodka.

Z czasem inni rozumieją korzyści z połączenia się. Korzyści nie osobiste nie organizacyjne, nie własnopodwórkowe, ale polskie.

Na zakończenie chciałbym stwierdzić, że dość ciemny obraz polskich funduszy nie powinien przesłaniać nam spraw jaśniejszych i dobrych, jakie wciąż istnieją na emigracji.

Dla oddania sprawiedliwości ludziom i organizacjom działającym sprawnie i zasługującym na pochwałę, należałoby napisać jeszcze jedną serię artykułów. W niej znalazłyby oświetlenie organizacje nowozakładane jak Gmina Londyn-Południe, Gmina Londyn-Zachód, Komitety kościelne, Komitety szkolne i Koła Rodzicielskie, tak wydatnie pracujące nad oświatą.

Trzeba by wymienić szereg osób chodzących nieraz samopas, poza organizacjami, a na pierwsze wezwanie spieszących z pomocą każdej dobrej sprawie.

Jak widzieliśmy, dzięki ludziom ofiarnym i rozsądnym większość naszych funduszy społecznych została nie tylko uchroniona, ale powiększona. Liczny zastęp tych ludzi i doświadczenie jakie posiadają powinny być w pełni wykorzystane na rzecz przyszłego emigracyjnego majątku scalonego i rozumnie zorganizowanego.

Czesław DOBEK

P.S.: — Ze swej strony muszę przeprosić wszystkich powierników i mężów zaufania, że niepokoiłem ich i zadawałem krępujące pytania. Było mi bardzo przykro poruszać te sprawy i nie czułem się dobrze w roli podobnej do sędziego śledczego. Obok wielu poważnych i odpowiedzialnych informatorów miałem do czynienia z ludźmi, którzy usiłowali moją pracę wykorzystać do własnych celów, a często korzystali ze sposobności, aby przedstawić w złym świetle swych przeciwników.

Byli naturalnie i tacy, którzy woleli milczeć obawiając się o zasiłki, posadki, możliwości osobistego wykorzystania funduszy. Przepraszam tych, których napawałem lękiem pytając o sprawy, strzeżone przez nich w imię najrozmaitszych ideałów.

W sumie, z ulgą kończę pracę, która nie dawała mi przyjemności.

Spełniłem ją na prośbę Redaktora „Kultury”, który słusznie uznał za potrzebne wyświetlenie stanu naszych funduszy emigracyjnych w momencie, gdy nareszcie coś się w nich zaczęło dziać naprawdę.

Ktoś mi zarzucił, że przedstawiając sprawy stworzyłem w swym artykule dwa obozy: z jednej strony nowy Ośrodek Społeczno-Kulturalny (Czyli PUCAL — w skrócie od imienia inicjatorów) i z drugiej strony wszystkie inne fundusze.

Tak jest. Tak to widzę. I byłbym szczęśliwy, gdyby moja pra-

ca w jakimkolwiek stopniu pomogła sprawie, którą uważam za słuszną i konieczną — inicjatywie PUCAL'u i Stowarzyszenia Techników.

Pisząc o rzeczach dotychczas dość głęboko ukrytych i o sprawach drażliwych mogłem w najlepszej wierze sprawić przykrość ludziom, którzy najzupełniej na nią nie zasłużyli. Wszystkich, którzy mogliby się czuć dotknięci osobiście, bardzo przepraszam.

Przepraszam zwłaszcza pana Mieczysława Sokołowskiego za niemyślne zmienienie jego imienia na Stanisław oraz napisanie, że jest współnikiem dr. Karola Poznańskiego w biurze International Law Consultants, co, jak dowiedziałem się, nie jest zgodne ze stanem faktycznym.

Oświadczenie

KOMITETU KOORDYNACYJNEGO POLAKÓW OBYWATELI BRYTYJSKICH DLA AKCJI WYBORCZEJ W W. B.

Przed wyborami do parlamentu brytyjskiego w roku 1959 grono Polaków obywateli brytyjskich podjęło inicjatywę zainteresowania sprawą wyborów ogółu obywateli brytyjskich pochodzenia polskiego. W wyniku tej inicjatywy powstały w szeregu okręgów wyborczych lokalne komitety wyborców pochodzenia polskiego. (Committees of Electors of Polish Descent), które przeprowadziły rozmowy z kandydatami na posłów i zachęciły miejscowych Polaków obywateli brytyjskich do udziału w głosowaniu. Dało to tym ostatnim możliwość wyrażenia swych zainteresowań sprawami nowoprzybranej ojczyzny, a jednocześnie udzielenia poparcia kandydatom wykazującym życzliwość i zrozumienie dla dążeń „starego kraju”, w których realizacji Wielka Brytania mogłaby dopomóc.

Powodzenie powyższej akcji skłoniło inicjatorów do powtórzenia jej przed tegorocznymi wyborami, w szerszym zakresie. Ponieważ pierwotnie liczone się, że wybory mogą nastąpić w czerwcu, powstał w Londynie w lutym br. „Komitet Koordynacyjny Polaków obywateli brytyjskich dla akcji wyborczej w Wielkiej Brytanii” by służyć pomocą komitetom lokalnym w 22 „marginesowych” okręgach wyborczych.

Gdy akcja ta była już w toku, zwrócili się do przewodniczącego Komitetu Koordynacyjnego prezesa SPK w Wielkiej Brytanii i Zjednoczenia Polskiego informując, że interesują się sprawą wyborów, że Zjednoczenie zamierza powołać w tym celu specjalny komitet i że proponują dołączenie do tego komitetu.

W rozmowach jakie nastąpiły na ten temat zwróciliśmy uwagę, że projekt ten jest nieuzasadniony organizacyjnie, ponieważ prace związane z wyborami są już prowadzone, a szkodliwy politycznie, ponieważ otwiera pole do zarzutów, że czynniki obce, jakimi z punktu widzenia brytyjskiego są polskie organizacje emigracyjne, starają się ingerować w brytyjskie sprawy wewnętrzne. Dlatego podstawową zasadą akcji wyborczej Polaków obywateli brytyjskich w roku 1959, jak i w roku obecnym, było, jest i powinno być zachowanie cał-

kowejitej niezależności — formalnej i faktycznej — od jakichkolwiek organizacji emigracyjnych, politycznych czy społecznych. W przeciwnym bowiem razie akcja ta mogłaby wywołać niekorzystne reakcje brytyjskiej opinii publicznej, tak w stosunku do sprawy polskiej, jak i do polskiej emigracji politycznej korzystającej w W. Brytanii z azylu, oraz narazić na zarzut braku lojalności obywatelskiej tych Polaków obywateli brytyjskich, którzy w takiej akcji braliby udział.

Apelując więc o poniesienie projektu tworzenia komitetu wyborczego pod auspicjami Zjednoczenia wyraziliśmy jednocześnie gotowość zaproszenia do Komitetu Koordynacyjnego osób, które miały uczestniczyć w projektowanym przez Zjednoczenie komitecie o ile tylko posiadają one obywatelstwo brytyjskie i zobowiążą się przestrzegać zasadę niezależności akcji wyborczej od wszelkich organizacji emigracyjnych. Sądziliśmy że przy takim postawieniu sprawy, czynniki kierujące Zjednoczeniem i SPK zrezygnują, w imię słuszności oraz interesu ogólnopolskiego, ze swych ambicji firmowania akcji wyborczej.

Niestety stało się inaczej. W „Dzienniku Polskim” z 18 lipca br. ukazał się artykuł pt. „Ważna inicjatywa społeczna”, donoszący o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyborczego w porozumieniu ze Zjednoczeniem Polskim w W. Brytanii, który ma zająć się sprawą udziału Polaków obywateli brytyjskich w nadchodzących wyborach do parlamentu. Tak więc, mimo ostrzeżeń, Zjednoczenie nie zaważało się nadać tej sprawie piętna inicjatywy podjętej i kierowanej przez polskie czynniki emigracyjne ze wszystkimi wynikającymi stąd ujemnymi konsekwencjami, wyjaśnionymi powyżej. W wyniku rozgłosu jaki został nadany faktowi utworzenia wspomnianego komitetu, wszelka, nawet całkowicie niezależna, akcja Polaków obywateli brytyjskich w tegorocznych wyborach będzie narażona na niebezpieczeństwo potraktowania przez opinię brytyjską, jako akcji inspirowanej przez czynniki obce.

W tej sytuacji Komitet Koordynacyjny postanowił zawiesić swą działalność wyborczą, podając niniejsze oświadczenie do wiadomości publicznej. Nie oznacza to oczywiście, aby indywidualni Polacy obywatele brytyjscy nie mieli nadal czynnie się interesować tegorocznymi wyborami do parlamentu. Dotyczy to zwłaszcza tych, których osobista pozycja w społeczeństwie brytyjskim zabezpiecza przed możliwością zarzutów, iż działają pod wpływem obcej inspiracji politycznej.

Ocena omówionych wydarzeń potwierdza dawno nurtujące wśród obywateli brytyjskich pochodzenia polskiego przekonanie o konieczności takiego trwałego zorganizowania się, które przy rzetelnym wykonywaniu obowiązków obywatelskich wobec Wielkiej Brytanii umożliwiłoby im niesienie pomocy sprawie Polski.

Za Komitet Koordynacyjny

- (—) Jan A. JAXA
- (—) Kamil B. CZARNECKI
- (—) Tadeusz BOGUCKI
- (—) Janusz CYWIŃSKI
- (—) Stanisław Z. KMIĘCIK
- (—) Feliks F. PAWLAK

Kronika angielska

SEN. GOLDWATER W POLSKIEJ PERSPEKTYWIE

W bieżącym nrze „Kultury” w artykule pt. „Refleksje ćwierćwiecza” — dzielimy antykomunistów na dwie kategorie. Pierwszą kategorię — do której zaliczamy zespół naszego miesięcznika — określamy mianem ewolucjonistów. Drugą grupę tworzą likwidatorzy.

Sen. Goldwater jest niewątpliwie likwidatorem. Jako polityk skrajnie prawicowy nie wierzy w ewolucję komunizmu i nie pragnie tej ewolucji ponieważ socjalizm, nawet w formie demokratycznej, nie budzi jego sympatii.

Likwidatorzy w przeciwieństwie do ewolucjonistów nie mają żadnej koncepcji i to stanowi główną słabość ich programu. Nie mają żadnej koncepcji emigracyjni likwidatorzy — nie ma jej również sen. Goldwater.

Co to znaczy zlikwidować komunizm? W książce Goldwatera pt. „Why not victory?” nie ma na to odpowiedzi. Lecz nie zrażajmy się i szukajmy dalej.

Robert Stephens (z redakcji „The Observer”) w pierwszych dniach lipca br. przeprowadził rozmowę z W. Buckley'em, Jnr., redaktorem prawicowo-konserwatywnej „National Review”. William Buckley uważany jest powszechnie za... Arthura J. Schlesingera senatora Goldwatera.

James Burnham wypracował następującą definicję zwycięstwa: *Neutralising the power of your adversary to do you harm*. Buckley uważa, że w konkretnej sytuacji definicja ta musiałaby oznaczać wymuszenie na Rosji rezygnację z broni atomowej. Innymi słowy przez zwycięstwo należy rozumieć jednostronne atomowe rozbrownienie Sowietów. Buckley zapewnił swojego brytyjskiego rozmówcę, że sen. Goldwater pragnie osiągnąć powyższy cel środkami pokojowymi. Redaktor „National Review” przyrównał senatora z Arizony do Konrada Adenauera. Wydaje się, że porównanie jest istotnie trafne ponieważ były kanclerz pragnął również osiągnąć środkami pokojowymi cele, których pokojową polityką osiągnąć się nie da.

Ameryka jest jak Rosja. Tak jak nie ma znawstwa Rosji — a tylko różne stopnie ignorancji w tym przedmiocie — podobnie nie można być znawcą Stanów Zjednoczonych tylko większym lub mniejszym ignorantem w tej materii.

George F. Kennan dwa lata temu wypowiedział charakterystyczny pogląd, który znakomicie oświecla sukces wyborczy sen. Goldwatera. Kennan pisał wówczas, że poza kołem światłych i wykształconych przywódców opinii amerykańskiej — rośnie cyfra obywateli, którzy tęsknią do decydującego i zwycięskiego zakończenia długiego okresu napięć, kryzysów i upakarzających niepowodzeń. Przeciętny Amerykanin posiada świadomość rosnącej potęgi swojego kraju. Ów potencjał przetłumaczony na język polityczny — nie przynosi jednak sukcesów.

Cudzoziemcowi trudno jest oceniać wewnętrzny program Goldwatera. Jednak polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych dotyczy nas wszystkich.

Sen. Goldwater powołuje się ustawicznie na tradycję. Amerykanie wyprodukowali do tej pory dwa typy tradycyjnej polityki: izolacjonizm i internacjonalizm. Polityka zagraniczna projektowana przez Goldwatera odbiega całkowicie od tradycji amerykańskiej nie jest bowiem ni izolacjonizmem ani internacjonalną polityką światową. Obiektywnie nie można jej również uważać za nową a-tradycyjną politykę rewolucyjną. Jednostronne atomowe rozbrownienie Sowietów („bezw warunkowa kapitulacja” środkami pokojowymi?), program wyzwolenia narodów ujarzmionych z Jugosławią włącznie — to nie są nawet pobożne życzenia tylko zwykłe nonsensy.

Czy to oznacza, że Amerykanie nie powinni dążyć do de-kolonizacji Związku Sowieckiego?

Stany Zjednoczone powinnyby i mogłyby przeprowadzić de-kolonizację Związku Sowieckiego, lecz z całą pewnością nie dokaże tego Goldwater. Jeżeli jednak sen. Goldwater — przegrawszy wybory prezydenckie — doprowadzi mimo to do rewizji założeń polityki koegzystencji — odda Ameryce i wolnemu światu wielką usługę. Bo fakt, że senator z Arizony nie ma racji, nie oznacza, że jego przeciwnicy mają rację. Gdyby Goldwater swoim przeciwnikom politycznym — (ufajmy, stanowiącym większość) — ułatwił dokonanie rewizji ich własnych koncepcji politycznych — zamówienie społeczne „goldwateryzmu” zostałoby spełnione.

W artykule pt. „Polska-Rosja-Ameryka” („Kultura”, nr 200) wysunąłem tezę, że Ameryka i Rosja są równocześnie wrogami i partnerami. W miesiąc później znany sowietolog brytyjski Edward Crankshaw zaprezentował opinię, że Rosja i Ameryka zmiierają ku „niezdeklarowanemu sojuszowi” (*undeclared alliance*). Celem owego nieformalnego sojuszu byłoby stworzenie amerykańsko-sowieckiego atomowego „żandarma” na skalę potrzeb światowych.

Zdaniem Crankshawa plany Rosji zmiierające po tych liniach stanowią od dłuższego czasu przedmiot dyskusji w kołach rządowych w stolicach wschodnio-europejskich. Nawet Robert Kennedy w czasie swego pobytu w Warszawie miał powiedzieć, że sojusz rosyjsko-amerykański „nie jest niemożliwością”.

Wynikiem *rapprochement* pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą — byłoby dalsze zbliżenie krajów wschodnio-europejskich do Zachodu i ewolucja ich ustrojów w pożądanym kierunku. Crankshaw szczerze w to wierzy i nie stanowi w tym względzie wyjątku.

W mojej ocenie są to poglądy równie niebezpieczne jak tezy Goldwatera, a tym groźniejsze że głoszą je ludzie niepomrotnie bardziej światli i lepiej zorientowani niż senator z Arizony.

Jest tragedią naszych czasów, że polityka Zachodu, a w szczególności

zagraniczna polityka amerykańska, oscyluje pomiędzy dwoma biegunami: skrajnej koegzystencji i skrajnego antykomunizmu à la Goldwater. Zarówno skrajna ugodowość jak i skrajna wojowniczość nie prowadzą do niczego. Sukces mogłaby tylko zapewnić polityka nie „złotej wody” ale „złotego środka”. Niestety takiej polityki nie ma. Polityka „złotego środka” musiałaby się opierać na pewnej koncepcji. W politykach skrajnych — skrajność zastępuje koncepcję.

Skrajni koegzystencjoniści głoszą, że trzeba nauczyć się współżyć z komunizmem i z serią nierozwiązalnych problemów doby współczesnej. Skrajni likwidatorzy typu Goldwater deklamują o atomowym rozbrojeniu Związku Sowieckiego.

W skrajnie pojmowanej polityce koegzystencji problem walki z komunizmem ulega deformacji. Zanika poczucie *challenge*, wyzwania. Poczucie wyzwania i zagrożenia zastępuje wiara w ewolucjonizm z... łaski Bożej.

W „East Europe” (nr 5/13) śmietanka amerykańskich specjalistów przeprowadziła dyskusję na temat: „Przyszłość Europy Wschodniej”. Redakcja zaopatrzyła tekst dyskusji w zwięzłe podsumowanie. W pierwszym zdaniu owego podsumowania czytamy co następuje: „Wszyscy specjaliści wyrazili opinię, że prąd ku liberalizacji w Europie wschodniej kontynuuje się i jest zjawiskiem o charakterze prawdopodobnie nieodwracalnym...”.

Louis Fischer, znany dziennikarz i wykładowca na Princeton University, w omawianej dyskusji wyraził pogląd, że kiedyś Moskwa dojdzie do wniosku, że nie musi się rządzić kolonialnie by odnosić korzyści ekonomiczne. Większe korzyści można odnieść bez kolonizacji.

Choć nie wszyscy jesteśmy równie znakomitej intelektualnej rangi jak specjaliści, którzy wzięli udział w omawianej dyskusji, to przecież każdy z nas w swoich wschodnio-europejskich kościach czuje, że to są pobożne życzenia wypływające niewątpliwie z szczerzej sympatii.

Skrajni koegzystencjoniści chcieliby „zrobić na posag i zachować cnotę”. Chcieliby mieć uzbrojone Niemcy z tezą o granicach z 1937 r. i stale postępującą liberalizację w Europie wschodniej. Chcieliby mieć dobre stosunki z Chruszczowem i przywódców partyjnych w Warszawie, Budapeszcie i w Pradze zorientowanych na Zachód. Chcieliby mieć świetnie funkcjonującą *hot line* pomiędzy Waszyngtonem, a Moskwą i równocześnie świetnie funkcjonujący aparat oddziaływania propagandowego na Europę Wschodnią.

Pewne cele osiągnąć można tylko w ramach określonej polityki. Jeżeli tej polityki nie ma, nawet solidne amerykańskie dolary nie osiągają zamierzonych celów.

Andrew Field podał na łamach „The New Leader” — że Polska otrzymała w ostatnich latach od Stanów Zjednoczonych 538,2 milionów dolarów z czego 477,2 milionów dolarów jest pożyczką bezprocentową... zwrotną po 40 latach.

Skąd pochodzą te pieniądze? Te pieniądze pochodzą z kieszeni podatnika amerykańskiego. Jak podatnik amerykański doszedł do tych pieniędzy? Podatnik amerykański doszedł do tych pieniędzy pracą w ramach systemu gospodarczego, opartego o zasadę wolnej inicjatywy prywatnej. Na jaki cel zostały obrócone te pieniądze, zdobyte wolną inicjatywą prywatną? Pieniądze powyższe zużyto na łatanie beznadziejnej gospodarki komunistycznej w Polsce Ludowej. W tym samym okresie w Polsce wolności ubyło a nie przy-

było. Gomułka, który chętnie korzysta z pomocy amerykańskiej — okazał się przeciwnikiem wszelkiej liberalizacji... nawet w wydaniu sowieckim. W Polsce nie przybyło ani wolności ani dobrobytu. Przybyło natomiast sporo nowych zakazów i ograniczeń.

Z punktu widzenia Waszyngtonu cała operacja jest polityczną klęską. Lecz polityka skrajnej koegzystencji ma swoją logikę przed którą nie ma ucieczki. Zwolennicy tej polityki — choć niechętnie przyznają się do tego — w praktyce reprezentują pogląd, że lepiej jest koegzystować z Wschodem *na warunkach wschodnich* niż nie koegzystować w ogóle. Sądzi się bowiem że nawet ten typ koegzystencji z czasem wyda owoce w postaci liberalizacji, która z kolei uruchomi ewolucję w bloku wschodnim w pożądanym kierunku.

Pragmatycznie myślący obserwator musi stwierdzić, że doświadczenia przeczą tej teorii. Lecz nawet jeżeli się przyjmie, że w Związku Sowieckim nastąpiła pewna liberalizacja — to trzeba dodać, że warunki wschodniej koegzystencji rosną szybciej niż liberalizacja. Innymi słowy liberalizacja — jeżeli nawet postępuje — jej tempo wzrostu nie stoi w żadnej proporcji do łańcucha ustępstw i przegranych świata zachodniego, a w szczególności Ameryki.

Przedsiębiorstwo może być oparte na zdrowych podstawach i realnej kalkulacji a mimo to przez pewien okres nie przynosić zysku. Jeżeli jednak koszty prowadzenia przedsiębiorstwa stale rosną a perspektywy zysku oddalają się w nieskończoność, imprezę należy zwinąć i odpisać na straty. Polityka skrajnej koegzystencji jest tego typu „przedsiębiorstwem”. Koszty jej prowadzenia stale rosną, a perspektywy zysku z każdym dniem maleją.

Jeżeli „goldwaternizm” niejako rikoszetem dopomoże demokratom zwinąć przedsiębiorstwo skrajnej koegzystencji — będzie to przykład, nie pierwszy w historii, zbawiennego wpływu szaleńców na rozważnych.



Należy jeszcze powiedzieć kilka słów o pomocy amerykańskiej dla Polski. Bez względu na „gomułkizm” pomocy tej nie można likwidować zarówno ze względów politycznych jak i humanitarnych. Należałoby się natomiast zastanowić nad formami pewnego uwarunkowania w udzielaniu tej pomocy.

Czysto handlowe operacje nie mogą być normalnie uzależniane od warunków nie związanych z daną transakcją. Lecz jak się komuś oferuje bezprocentowo, niemal na pół wieku, niemal 500 milionów dolarów — to można wysunąć rozmaite warunki. W analogicznych wypadkach Amerykanie winni w pierwszej linii zażądać *publicity*. Jak podkreślił K.A. Jeleński omawiając tę sprawę w poprzednim numerze „Kultury” — publiczność w Polsce na ten temat praktycznie nic nie wie.

Amerykanie w podobnej sytuacji winni zażądać również przyznania debitu dla kilku pism i periodyków zachodnich. Listę propozycji tego typu — realnych i do przyjęcia można by opracować w każdym konkretnym wypadku.

O NIEWOLI WOLNYCH

Z powodzi złotych myśli senatora z Arizony jedno z pism niemieckich zanotowało następujący aforyzm: „Niemcy byliby wygrali obie wojny światowe, gdyby mieli ludzi znających się na wojnie”.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie przez Amerykę byłoby jednym z najbardziej antykomunistycznych posunięć jakie można sobie wyobrazić. Niemniej — jak było łatwo przewidzieć — rewizjoniści niemieccy liczą na komunistożerczego Goldwatera jak na Zawiszę.

Istnieje niewątpliwie pewne podobieństwo duchowe pomiędzy rewizjonistami a „goldwaterystami”. Rewizjoniści niemieccy pragną odbudować Rzeszę niemiecką w granicach 1937 r. — środkami pokojowymi. Sen. Goldwater pragnie zlikwidować sowiecki potencjał atomowy — również środkami pokojowymi.

Profesor Golo Mann w jednym ze swych artykułów w tygodniku „Der Stern” — stwierdził spokojnie, że „nie wolno nam głosić iż bez przemocy pragniemy osiągnąć cele, których bez przemocy osiągnąć nie możemy”.

„Ci ludzie (uchodźcy) — pisze Golo Mann — „albo oszukują siebie, albo nas, a w takim razie jest bardziej prawdopodobne, że oszukują nas tak jak oszukał nas Hitler”.

W mojej opinii znacznie mniejszy procent ludzi oszukuje samych siebie niż się to na ogół przypuszcza. Ludzie poddają się kłamstwu nie z naiwności tylko z braku cywilnej odwagi. Akceptują kłamliwą konwencję by się nie narazić i „nie wychylić”.

Jak wiadomo „Kultura” od wielu lat reprezentuje pogląd, że tylko stojąc na stanowisku nienaruszalności obecnych granic Polski można bronić skutecznie granicy na Odrze i Nysie. Wydaje się nam oczywiste, że nie można Niemcom odmawiać praw do Wrocławia wysuwając równocześnie żądanie zwrotu Lwowa.

Zbudziłbym wręcz niebывałą sensację w polskim Londynie gdybym ogłosił listę osób, które w rozmowach prywatnych, listownie, a często telefonicznie — zapewniły mnie (prosząc o dyskrecję), że w całości podzielają nasz pogląd w powyższej sprawie. Na tej liście nie brakłoby znanych osobistości zarówno z Anglii jak i zza Oceanu.

Dlaczego ci ludzie nie popierają nas otwarcie?

Jeden z moich korespondentów ujął problem następująco: „„Kultura” niczego nie zyska na moim jawnym poparciu, a ja mógłbym znaleźć się w trudnej sytuacji. Pan wie jak to wygląda na emigracji”.

Nie tylko na emigracji tak to wygląda. Z konwencji wyświęconej do rangi nacjonalistycznego kanonu jest bardzo trudno wyłamać się — choćby sam „kanon” był jawnym nonsensem. Dlatego o upadku danej kłamliwej konwencji nie decyduje procent trzeźwo myślących — lecz procent ludzi odważnych.

William E. Hocking słusznie zauważył, że *there are no costless rights*. Za prawo bycia wolnym trzeba płacić cywilną odwagą nawet i w demokratycznym państwie.

ANGIELSZCZYNA LONDYŃCZYKA

W poprzednim numerze „Kultury” — w liście do Redakcji p. Kamil Zadembski (Australia) — pisze, że „przeraziły go błędy angielskie p. Miroszewskiego”.

Napisałem: *You are a foreigner — are you not?*

P. Zadembski wyrokuje: „Źle! — winno być: „you are a foreigner, are not you?”.

Nie byłbym reagował na zarzuty p. Kamila Zadembskiego, ponieważ nie mam ambicji (i złudzeń) na temat mojej angielszczyzny, która jest bardzo przeciętna. Dostałem jednak list od prof. Kazimierza Bulasa, współ-autora monumentalnego słownika polsko-angielskiego i angielsko-polskiego. Prof. Bulaś pisze między innymi co następuje:

„Widzę na stronie 240 „Kultury”, że jakiś mędrzec z Australii poprawia pański język angielski. Byłem najgłębiej przekonany, że nie ma słuszności, lecz ponieważ mam zwyczaj sprawdzania każdego słowa, zapytałem wykształconego Amerykanina urodzonego w Stanach Zjednoczonych. Oświadczył mi bez wahania, że pańska forma jest jedyna poprawna, natomiast forma „are not you?” — jest oczywistym błędem gramatycznym i to elementarnym”.

Tyle prof. Bulaś.

Pan Zadembski uważa również za błędne określenie: „I am Polish”. Mieszkając w Anglii od 20 lat nie słyszałem nigdy by Brytyjczyk powiedział o sobie: „I am a Briton”. W powszechnym użyciu jest forma: „I am British”. Jeżeli powyższa forma poprawna jest w stosunku do „British” to oczywiście poprawną jest i w stosunku do „Polish”.

P. Zadembski ma jeszcze przed sobą daleką drogę nim będzie mógł uczyć angielskiego nawet takich tępaków jak niżej podpisany.

LONDYŃCZYK

Dalsze echa memoriału "34"

Kongres Stanów Zjednoczonych — Senat i Izba Reprezentantów — poświęcił znaczną część swoich debat z dnia 30.IV.1964 Stu Siedemdziesiątej Trzeciej rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja. Niemal wszyscy posłowie i senatorowie biorący udział w tych debatach położyli główny nacisk na Protest Trzydziestu Czterech, jego okoliczności i konsekwencje. Jak wiadomo, wolno członkom Izby Reprezentantów i Senatowi cytować w swoich przemówieniach in extenso artykuły prasowe i odnośne dokumenty, które w ten sposób zostają automatycznie przedrukowane w „Congressional Record” (podzielonym na „House” — Izbę Reprezentantów — oraz „Senate”). Drukowana na trzech bitych szpaltach o drobnym druku, każda strona „Congressional Record” równa się trzem stronom „Kultury”. Debata z 30.IV. poświęcona polskim sprawom w Izbie Reprezentantów zajmuje trzydzieści pięć stron „Recordu”, zaś odnośna debata w Senacie — czternaście stron. Równa się to stu pięćdziesięciu stronom „Kultury”. Rzecz jasna, że wielu posłów i senatorów przygotowuje podobne przemówienia, cytuje podobne dokumenty. Odnajdujemy zatem w „Congressional Record” wszystkie niemal artykuły „New York Timesa” i „New York Herald Tribune” na temat Protestu i jego konsekwencji. Szereg posłów przytacza noty biograficzne pisarzy i uczonych,

którzy Protest podpisali. Niektóre z nich są bardzo obszerne. I tak poseł Puciński (Illinois), którego kilkakrotne interwencje są zresztą najobszerniejsze i najlepsze udokumentowane, podaje życiorys Marii Dąbrowskiej w przeszło stu liniach druku, a niemal równie obszernie charakteryzuje Ważyka, Andrzejewskiego, Infelda, Słonimskiego i Kotarbińskiego.

Warto zacytować ustęp z mowy posła Pucińskiego, który pierwszy wiąże rocznicę Konstytucji 3 Maja „drogą nie tylko 15 milionom Amerykanów polskiego pochodzenia, ale wszystkim Amerykanom”, z Protestem Trzydziestu Czterech:

„Powiadam, że tych 34 polskich intelektualistów, którzy mieli odwagę oświadczyć komunistycznemu rządowi Polski, że domagają się zasadniczych praw wolności kultury, powiadam że ci ludzie przejdą do kart historii, historii polskiej odwagi w ślad za innymi polskimi przywódcami, którzy w przeszłości wywalczyli zasady przyzwoitości, godności i wolności”.

W debacie w Izbie Reprezentantów na temat Polski zabrali głos następujący posłowie: Dague, McLoskey, Patten (New Jersey), Mc Cormack, Dulski, Nedzi, Bray, Kluczyński, Madden, Roosevelt, Martin (Massachusetts), McDowell, Chelf, Griffiths, St. Onge, Flood, Zablocki, Morse, Ryan (New York), Derounian, Staebler, Wyman, Derwiński, O'Hara (Illinois), O'Hara (Michigan), Wydler (New York), Halpern, Fascell (Florida), Gilbert, Holland, Reuss, Lindsay, Daddario, Murphy (New York), Keogh, Cunningham, Weaver, Mrs. Francis P. Bolton, Baland, Ford (1). Razem 40 członków Izby Reprezentantów. W odnośnej debacie w Senacie zabrało głos pięciu senatorów: Humphrey, Proxmire, Dodd, Saltonstall, Pastore.

Najbardziej konkretnym wynikiem debaty było przyjęcie przez Senat wniosku senatora Humphrey aby uczcić tysiąclecie powstania Państwa Polskiego wydaniem (w charakterze dokumentu Senatu) wszystkich przemówień w obronie wolności Polski wygłoszonych w Kongresie (w Izbie Reprezentantów i w Senacie) od początku jego istnienia.



Otrzymaliśmy od Czesława Miłosza — z dość dużym opóźnieniem — list profesorów Uniwersytetu w Berkeley wysłany 18 maja 1964 do Ambasadora P.R.L. w Waszyngtonie, Edwarda Droźniaka. Podajemy poniżej w tłumaczeniu polskim tekst tego listu, który nigdzie nie był dotąd ogłoszony.

My, niżej podpisani, profesorowie Uniwersytetu Kalifornijskiego (Berkeley) ale występujący w swoim imieniu, obserwowaliśmy z zadowoleniem wkład jaki polscy uczeni, artyści i pisarze wnosili ostatnio do światowej nauki i kultury. Zauważyliśmy, że w ślad za tym nastąpił wzrost międzynarodowego prestiżu Polski. Przywitaliśmy z radością posunięcia polskiego rządu po r. 1956 zmierzające do rozszerzenia intelektualnej i kulturalnej wolności w kraju i do ożywienia międzynarodowych kontaktów podtrzymywanych przez polskich uczonych i artystów. Podobnie jak inne akademickie

(1) Przy niektórych tylko posłach „Congressional Record” zaznacza okręg wyborczy.

środowiska w Stanach Zjednoczonych, Berkeley skorzystało na tym bezpośrednio i pośrednio.

Dlatego też głęboko dotknęły nas wprowadzone ostatnio w Polsce ograniczenia uszczuplające swobodę intelektualnej i kulturalnej wypowiedzi i brak, jak się zdaje, pozytywnego oddźwięku na stanowczy protest ze strony 34 wybitnych polskich intelektualistów. Mamy szczerą nadzieję, że ograniczenia zostaną wkrótce zniesione a tym samym raz jeszcze powstaną warunki niezbędne dla rozległych i owocnych kontaktów pomiędzy amerykańskimi i polskimi uczonymi.

Podpisali:

Tibor Scitovsky, Economics; Lewis S. Feuer, Philosophy; Robert A. Scalapino, Political Science; Seymour M. Lipset, Sociology, Director, Institute for International Studies; George Lenczowski, Political Science; Herbert Blumer, Sociology, Director of Institute of Social Science; Paul Seabury, Political Science; Howard S. Ellis, Economics; Bernard F. Haley, Economics (Visiting); Henry Nash Smith, English; Charles Muscatine, English; William Craig, Philosophy; Czesław Miłosz, Slavic Languages and Literatures; Martin E. Malia, History; Wayne Shumaker, English; Louis Simpson, English; Kenneth M. Stampp, History; A. Torres-Rioseco, Spanish; M.B. Emeneau, Linguistics; Francis J. Whitfield, Slavic Languages and Literatures; Mary R. Haas, Linguistics; William R. Dennes, Philosophy; Gregory Grossman, Economics; Benjamin Ward, Economics; Leon Henkin, Mathematics; Curt Stern, Zoology and Genetics; A.H. Taub, Mathematics; Henry Helson, Mathematics; Alfred Tarski Mathematics; John L. Kelley, Mathematics; David Krech, Psychology; J.W. Addison, Mathematics; Vincent H. Duckles, Music; Joseph Kerman, Music; Andrew W. Imbrie, Music; Hans Lewy, Mathematics; Owen Chamberlain, Physics; Norman Collins, Agri. Econ.



Podajemy poniżej w przekładzie na język polski artykuł zamieszczony w „Le Figaro Littéraire” z 13-19 sierpnia 1964.

PISARZE POLSCY I WOLNOŚĆ

W związku z protestem 34-eh wybitnych osobistości należących do polskiego świata naukowego i literackiego, skierowanym do p. Cyrankiewicza, premiera rządu warszawskiego, w którym osobistości te żądały zmiany polityki kulturalnej w kierunku poszerzenia wolności słowa, informacji i dyskusji, „L'Union des Ecrivains pour la Verité” upoważnił swojego przewodniczącego, aby wysłał na ręce polskiego premiera, za pośrednictwem ambasadora polskiego w Paryżu, list następującej treści:

„Do Premiera Józefa Cyrankiewicza, Warszawa.

Panie Premierze!

Naprawdę wyjątkowe więzy, które łączą Naród Polski z Narodem Francuskim, ich wspólne wspomnienia, ich pokrewieństwa w dziedzinie kulturalnej, ich dążenie do sprawiedliwości i postępu, wreszcie przyjazne zainteresowanie jakie my, demokraci i dawni członkowie Ruchu Oporu, mamy dla nowej Polski, wszystkie te powody skłaniają nas do wyrażenia naszego niepokoju w związku z poważnymi konsekwencjami, jakie wyciągnięte zostały ostatnio w stosunku do pisarzy i uczonych waszego kraju.

Nie dając do żadnego celu politycznego, nasz Związek nie uważałby za stosowne mieszać się do spraw, które dotyczą wyłącznie narodu i państwa polskiego. Posunięcia naszego Związku, bez względu na to czy dotyczą Francji czy zagranicą, są zawsze niezależne od rozbieżności ideologicznych czy innych jego członków i kierują się wyłącznie jedną troską — stałym i uniwersalnym wymaganiem naszego zawodu. W naszych oczach odpowiedzialność pisarza nie kończy się na granicy jego kraju, w chwili kiedy wchodzi w grę prawo do wolnego myślenia i pisania. Jeżeli to prawo jest zaprzeczane, ograniczone albo zniesione w jakimkolwiek bądź kraju — odczuwają to dotkliwie ludzie kultury i nauki całego świata.

Wydaje nam się, że osobistości, które w powyższym wypadku są zagrożone czy uszczuplone w ich prawie do wolności, reprezentują to co jest najwspanialszego w postępowej tradycji polskiej. Nazwiska wielu z nich są nam bliskie. Przekłady z dzieł polskich pisarzy mnożą się w Paryżu, polskie filmy są tutaj bardzo chwalone. Polska literatura bardziej oryginalna, bardziej bogata i żywiołowa niż kiedykolwiek, od bardzo dawna nie wywoływała u nas tak pochwalnych komentarzy. To, że w Warszawie powieściopisarze, poeci, eseiści, uczeni, filmowcy znaleźli się obecnie wobec zakazu publikowania, przemawiania przez radio, wygłaszania odczytów i wykonywania ich pracy twórczej, względnie wobec niemożności wyjazdu zagranicę, stwarza sytuację, która nie może pozostawić nas obojętnymi i która niewątpliwie może wpłynąć ujemnie na stosunki kulturalne francusko-polskie.

Pozwalamy więc sobie, Panie Premierze, wyrazić życzenie, że ci intelektualiści będą wkrótce przywróceni w swoich prawach.

Będziemy Panu bardzo wdzięczni jeżeli zechce nas Pan powiadomić, że nasze życzenie, które tu wyrażamy, zostało przyjęte przychylnie i prosimy Pana o przyjęcie wyrazów naszego wysokiego poważania.

Przewodniczący”.

Ponieważ premier Polski nie odpowiedział na powyższy list „L'Union des Ecrivains pour la Verité” uważa za konieczne podanie do publicznej wiadomości tej interwencji, ożywionej najbardziej przyjacielskimi uczuciami. Związek żałuje, że po spotkaniu, które jego przewodniczący zgodził się mieć z przedstawicielem Ambasady Polskiej w Paryżu, ten ostatni nie uważał za stosowne przedstawić na piśmie swoich argumentów, które uznał za słuszne czy zastrzeżeń, które wysuwał. Ta rezerwa pozwala przypuszczać, że ani argumenty ani zastrzeżenia nie miały tej wagi jakiej mogliśmy się spodziewać czy oczekiwać.

L. M.-C.

Najnowsza historia Polski

Ciężki rok

Może to mi być poczytane za przekorę lub brak taktu, że — pisząc o 50-ej rocznicy zjawienia się na polach bitewnych wojny światowej żołnierza polskiego, nie jako rekruta z przymusu, lecz z woli własnej i pod własnymi znakami — nie uderzam w tony uroczyste. Bo sądzę, że pierwszą datą, która unaoczniała zbawienne i doniosłe tego skutki, były dopiero pamiętne dni listopadowe 1918 roku: rozbicie okupantów i uzyskania w ten jedyne możliwy sposób broni dla wystawienia na czas zapory od wschodu. Zaś o roku 1914-ym wspomnienia moje są raczej posępne... i nie tylko moje. Osłonić się mogę tarczą wielkiego imienia, które w obecnej rocznicy naczelnie zajmuje miejsce.

Było to 6-go sierpnia 1919 r. w Belwederze. Znalazł tego dnia Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz chwilę czasu, aby przyjąć gromadkę oficerów I Brygady, obecnych wówczas w Warszawie. Przyjął nasze życzenia, powiedział parę dobrych, i serdecznych słów i odprowadził; gdy odchodziliśmy, Komendant zatrzymał mnie dla pewnych zleceń służbowych; po wydaniu ich zamyślił się przez chwilę — najwidoczniej o przeszłości — i powiedział:

„Tak, wspominamy teraz rok 1914 pogodnie, przychodzą do mnie z rozradowanymi minami. Ale jakże ciężki był ten rok dla mnie, jeden z najcięższych w moim życiu...”.

„Czyżby cięższy niż w Magdeburgu, Komendancie? — zapytałem.

„Powiem wam że tak. W Magdeburgu miałem już za sobą to, że niemal wszystkie moje przedwojenne przewidywania się sprawdziły i utwierdzało mnie to w przekonaniu, że sprawdzi się i ostatnie: klęska Niemiec na froncie zachodnim. Rok 1914 był

przeciwieństwem tego. Wszystko zdawało się zawodzić i iść na opak”.



Aby dać podłoże dla słów o „ciężkim roku” muszę się cofnąć do spraw z lat paru bezpośrednio poprzedzających wojnę. W roku 1912 wojna między Rosją i Austrią wisiała na włosku i, jak wiadomo, została zażegnana w ostatniej chwili przez porozumienie dynastii raczej niż rządów. Ówczesny przebieg wypadków dał potwierdzenie tezy Piłsudskiego, że wojna jest rzeczą najbliższej przyszłości; potwierdził też, że rząd austriacki zdecydowany jest na danie możliwości stworzenia polskich oddziałów wojskowych w momencie wybuchu wojny. Te dwie przesłanki spowodowały ogromny rozwój polskich organizacji paramilitarnych. Na pewno główną rolę w tym odgrywał zdrowy instynkt młodzieży, a drugorzędną tylko próby rozumowania. Instynkt dyktował, że idą czasy, kiedy o losach narodu będą decydowały armaty i bagnety, kiedy umiejętność władzania bronią i wiedza wojenna będzie ważniejsze niż wszystko inne.

Jakże wyglądały próby rozumowania? Zarejestruję je tutaj w formie moich pojęć i przypuszczeń ówczesnych, gdyż wiem że były one typowe dla ogromnej większości młodzieży w szeregach strzeleckich. Świadom jestem jak dalece myśli nasze były mgliste, ogólnikowe, fragmentaryczne. Nie sięgały też nawet w przybliżeniu do tych, pracowicie już wówczas przemyślanych przewidywań, na których oparł swe plany Piłsudski.

Wyobrażaliśmy sobie, że wojna o sprawy bałkańskie rozpocznie się między Rosją i Austrią; że jeśli Francja stanie po stronie Rosji, a Niemcy po stronie Austrii, to Niemcy wezmą na siebie ciężar wojny na zachodzie — Austria zaś na wschodzie; że Austria pobije Rosję; że w wyniku wojny sprawa polska wyłoni się jako zagadnienie międzynarodowe i albo Polska otrzyma niepodległość, albo — co najmniej — zabór rosyjski zostanie włączony do monarchii habsburskiej i wraz z Galicją stanie się, na równi z Węgrami, trzecim członem tej monarchii, przekształconej na trialityczną. Według utartego wówczas terminu, polski człon monarchii stanie się „Piemontem”, prowadzącym, jak w historii Włoch, do późniejszego pełnego zjednoczenia.

Co zaś do przebiegu wojny, w jej pierwszej fazie, wierzyliśmy że Rosja — według rzeczywiście istniejących poprzednio jej planów strategicznych — ewakuuje wysunięty głęboko na zachód półwysep Kongresówki, zagrożony odcięciem przez ewentualne jednoczesne uderzenie austriackie, od granicy rumuńskiej, na północ i niemieckie, z Prus Wschodnich, na południe. Rosja nie będzie więc miała czasu dokonać mobilizacji na ziemiach polskich, pozostawiając rezerwuar materiału ludzkiego, na którym się będzie mogła oprzeć poważna siła zbrojna polska. Wyobrażaliśmy sobie, że natychmiastowe objęcie w początku wojny tak wielkiego tery-

torium polskiego przez Austrię będzie musiało spowodować powołanie do życia jakiejś politycznej reprezentacji, jakiegoś prowizorycznego rządu polskiego, tak że wojsko polskie, którego początek będziemy stanowić, będzie miało nad sobą własną władzę narodową.

Jak wiemy z kart historii, początek wojny przyniósł skrajnie odmienny przebieg wypadków. Sztab generalny rosyjski dostosował się do wymagań francuskich; gdy pierwsze uderzenie niemieckie runęło na Paryż — zaniechał ewakuacji Kongresówki, przeszedł na alternatywę jej twardej obrony z jednoczesną ofensywą w Prusach Wschodnich. Mimo poniesionej tam przez Rosjan klęski oddparta została i powstrzymana ofensywa niemiecka w Polsce, zaś armia austriacka, po krótkotrwałym początkowym sukcesie, została odrzucona; kontrofensywa rosyjska załaza wkrótce nie tylko Lwów i Małopolskę Wschodnią, ale dotarła pod Kraków już w listopadzie.

Jeśli zaś chodzi o momenty politycznej i psychologicznej natury, nastąpiła zmiana kolejności wydarzeń, która mogła nie mieć większego znaczenia z punktu widzenia ogólnoeuropejskiego, ale miała je, w ogromnym stopniu, dla postawy społeczeństwa Polskiego.

Mianowicie, Niemcy pierwsze wypowiedziały wojnę Rosji, zaś Austria poszła w ślad za tym dopiero po dniach sześciu. Tak więc, zamiast wojny między głównym i najgroźniejszym zaborcą, Rosją, a Austrią, w której mieliśmy największą swobodę rozwoju narodowego od lat dziesiątków, a nawet udział w rządach całej monarchii — co musiałyby przeważać sympatie polskie na rzecz Austrii, a przeciw Rosji — zarysował się wybór bez porównania trudniejszy między zaborcą pruskim, a rosyjskim.

Znaczny wpływ na orientację społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim miał też fakt, że gdy po stronie Rosji stanęła Francja i Anglia — opowiedzenie się przy Rosji było jak gdyby solidarnością z mocarstwami zachodnimi, szczególnie z Francją ku czemu tradycyjne sentymenty nasze zawsze ciążyły. Nie było wiadome, że Francja i Anglia zobowiązały się pozostawić sprawę polską wyłącznie Rosji.

Trzecim elementem, który odegrał wówczas ogromną rolę — chociaż na terenie zaboru austriackiego mógł być nawet nieznamy — było brutalne zbombardowanie w pierwszych dniach wojny miasta Kalisza przez wojska niemieckie. Gruchnęła wiadomość o tym po całym zaborze rosyjskim, przechylając w wielu wypadkach szalę na rzecz orientacji pro-rosyjskiej. Toteż zadominowała ona niewątpliwie po tej stronie frontu.

Doszły również odpowiednie hasła i instrukcje z Warszawy, w ciągu 6-u dni dzielących wypowiedzenie wojny przez Niemcy od wystąpienia Austrii, do tej części Kongresówki do której wkroczyły pierwsze oddziały strzeleckie i w której rozpoczęła się organizacja cywilnych władz polskich. We wspomnieniach piłsudczyków, którzy wówczas tę akcję rozpoczęli, próbując pociągnąć za sobą

społeczeństwo miejscowe, przebija do dziś gorycz i rozżalenie; nie zawsze jest to sprawiedliwe. Szczególnie gdy się przypisuje oziębłość, a często i otwartą niechęć, wobec prób „robienia Polski” sobkostwu i brakowi patriotyzmu. Z perspektywy historycznej trzeba brać pod uwagę nie tylko przytoczone przed chwilą przeze mnie elementy sytuacyjne, wpływało to przeważnie z istotnego przekonania i z posłuszeństwa wobec instrukcji obozu politycznego, który — jak się rzekło — wówczas zadominował. Autorytet i popularność imienia Józefa Piłsudskiego działały już od szeregu lat w zaborze austriackim, nie miały jednak tej samej wagi w społeczeństwie polskim Królestwa Kongresowego. Legenda otaczająca przed laty imię „towarzysza Wiktora” — którego nie wszyscy identyfikowali z Piłsudskim, była jeszcze żywa w środowiskach robotniczych i inteligencji socjalistycznej w zagłębiach przemysłowo górniczych i w Warszawie. Ale historia jego działań w Galicji, w ostatnich 6-u latach — ze zrozumiałych względów — słabym tylko echem dochodziła do Kongresówki.

Przede wszystkim jednak pamiętać trzeba, że przecież „jasnowidzące” przewidywania Piłsudskiego były wówczas tylko jego i kilku najbliższych współpracowników tajemnicą. Nieznane były ani szeregom strzeleckim, ani też tym politykom, którzy w jego imieniu występowali. I tajemnicą pozostać musiały zarówno przed wojną, jak i w pierwszej fazie wojny. Boć przecie, gdyby Wiedeń się dowiedział, że Piłsudski przewiduje zakończenie wojny klęską państw centralnych na frontach zachodnich — pomimo pobicia przez nie przedtem Rosji — nie dano by mu możliwości działania w Galicji; zaś z chwilą wybuchu wojny, znalazłby się w jakimś austriackim Magdeburgu o trzy lata za wcześnie. Straciłby możliwość dania swym kadrom zaprawy wojennej w bojach z Rosją; nie mógłby być zorganizować, po odwrócie Moskali z ziem polskich tej sieci podziemnej — P.O.W. — gotowej do działania w momencie na który oczy jego były zwrócone od początku: w momencie końca wojny, gdy zwycięskie mocarstwa zachodnie nie będą miały bezpośredniej egzekutywy w naszej części Europy, zaś na wschód od nas będzie jakaś niewiadoma.

A skoro, w dodatku, w pierwszych miesiącach wojny „wszystko zdawało się zawodzić i iść na opak” — to cóż dziwnego że nie spotykały nasze ówczesne działania zapału ani entuzjazmu.

Oczywiście grały rolę i pobudki oportunistyczne. Hasło brania się i współdziałania z Rosją szło po drodze najmniejszego oporu; jakże wygodne było do przyjęcia po stu dziesięciu latach przeszłości, w której było uważane za przestępstwo narodowe.

Jeśli przebieg operacji wojennych w ciągu pierwszego roku wojny oddalił nasze marzenia o rozbudowie wojska polskiego na terytorium zaboru rosyjskiego, aspekty polityczne, o których mówiłem przed chwilą, pogłębiły to jeszcze bardziej. I rok 1914 stał się szczególnie trudny dla tych spośród nas, których tam wojna zastała. Dlatego też muszę zrobić rozróżnienie w stopniu i odcieniach zawodów i rozczarowań, które inaczej dotknęły Pił-

sudskiego, inaczej szeregi strzeleckie, będące pod jego dowództwem w polu, a jeszcze inaczej tych jego ludzi, którzy tworzyli odciętą odeń przez linię frontu „Polską Organizację Wojskową”.

Jak wiemy, Piłsudski został zmuszony do zaniechania — do czasu — swych szerokich planów zarówno przez bieg wydarzeń wojennych, jak przez nacisk ultymatywny władz austriackich. Musiał, według jego własnych słów, „cofnąć się na bazę galicyjską” i przyjąć patronat NKN-u pod grozą rozbrojenia. On i jego Strzelcy musieli znieść szereg upokorzeń i szykan austriackich, choćby takich jak początkowe uzbrojenie w przestarzałe karabiny Werndla i artylerię równie antyczną. Przeżyć musiał momenty kiedy zdawało się że jego plany i działania nie przyniosą nic więcej jak jedną jeszcze w historii polskiej krwawą hekatombę, za którą on będzie odpowiedzialny.

Spisując w Magdeburgu niezmiernie szczerą opowieść „Moje pierwsze boje” dał Piłsudski obraz swych przeżyć z listopada 1914 roku. Była to pewnie najbardziej krytyczna dlań chwila w tym okresie, gdy „wszystko zdawało się zawodzić”.

Austriacka armia Dankla, po załamaniu się ofensywy na Dęblin i Warszawę, cofała się w nieładzie i pośpiechu graniczącym z paniką. Brygada Piłsudskiego, w skład tej armii wchodząca, otrzymywała rozkazy które mogły ją zepchnąć aż na Dolny Śląsk, lub Morawy. Od dowódcy ani szefa sztabu korpusu nie zdołał Piłsudski otrzymać autentycznych informacji o stanie rzeczy; nie widząc gwałtowniejszego naporu Moskali, usprawiedliwiającego popłoch Austriaków, miał podstawy sądzić że mogła nastąpić katastrofa na innym odcinku frontu. Postanowił więc, wbrew rozkazom, zmienić kierunek marszu i przedostać się do Krakowa. Wyłączył się z odwrotu austriackiego i — niebywale śmiałym, a fantastycznie szczęśliwym manewrem — przemknął się, bez strat, zagarniając jeńców po drodze, między liniami rosyjskimi których pierwszy rzut odcinał go już od Krakowa. Oto co czytamy w jego opowieści:

„Mogłaby mi próba stworzenia zawiązku wojska polskiego nie udać się, mogłem się mylić w rachubach, lecz nie mogłem zdobyć się na udawanie Józefa Poniatowskiego i tonąć w jakiejs Elsterze... Gdy nie ma już nadziei na rozwój wojska, gdy po prostu Austria walczy chyba o jako tako przyzwoite zakończenie wojny, trzeba kończyć i nam... Spróbujemy umrzeć z honorem, lecz umrzemy na swojej własnej ziemi! Były to moje rozpaczliwe myśli u wejścia do Wolbromia... Umierać tutaj, jak opóźniony w cofaniu się maruder! Robiło mi się smutno na duszy i za siebie i za tych których prowadziłem za sobą. Umierać można, lecz nie tak śmiesznie. Jakaś zanedoła waczna Elstera.

„Jeszcze raz błysnęły mi w oczach mury Krakowa skąd wyszliśmy na wojnę, gdzie miałem wtedy wewnętrzne uczucie, że zarówno w moim życiu jak w życiu chłopców, których za sobą wyprowadzę zachodzi przełom, zasadnicza zmiana.

„Do Krakowa? Przecież to forteca, nie padnie ona w jednej chwili, w jednym dniu. Jeżeli umierać to tam, tam złożona z nas hekatomba ślad zostawić musi... Do Krakowa, albo jeszcze dalej — do Nowego Targu. Jeżeli

istotnie Austriacy czują się tak pobici, że się cofają tak szalenie szybko, jak gdyby za kilka dni mieli bronić Moraw i Czech, nieprzyjaciel musi minąć całą Galicję. A wtedy trudno dostępne, górskie okolice dadzą możliwość trzymania się dłużej niż gdzie indziej. Górale pewno pomogą. Gdy już hekatomba ma być złożona, będzie ona przynajmniej tam w górach bardziej historyczna, bo samodzielna, ba, będzie bardziej sceniczna... Więc spróbować się tam dostać — oto zadanie”.

Minęło najgorsze. Uniknąwszy „dziwacznej Elstery”, wydobyszy się z matni, wjeżdżając do Krakowa, mówi Piłsudski do swej Kasztanki, która się spłoszyła: „Głupia... jesteś w Krakowie, rozumiesz? W kochanym, cudnym, polskim Krakowie, gdzie żołnierz polski z honorem umrzeć może, rozumiesz?”.

Ale — niespodziewanie — jakże odmienna nuta zabrzmiała w jednym jeszcze, końcowym zdaniu tej przemowy Komendanta. Nuta tak dlań charakterystyczna — uporczywego i zawziętego trwania przy swych planach i przy swej wizji przyszłości:

„Na tobie wjadę, głuptasku, do Wilna!”.



Daleka, daleka była jeszcze wówczas droga z Krakowa — przez Magdeburg — do Wilna... Największym ciężarem dla Piłsudskiego, w owych dniach listopadowych była niewątpliwie odpowiedzialność za wszystkich, którzy z pełną ufnością losy swe w jego ręce złożyli. Im dawało to jednak ulgę niezmierną: bo nie ma dla żołnierza rzeczy cenniejszej, niż zaufanie do wodza; świadomość tego zaufania jest równie cenna dla niego, jeśli prowadzić ma swe szeregi przez tyle prób i kryzysów — nie tylko bojowych — jak przypadło w udziale Piłsudskiemu w ciągu lat następnych.

Strzelcy po niewiele już miesiącach doczekali się marszu naprzód, szeregu zwycięskich bojów, w których zdobyli sobie sprawiedliwie sławę świetnego żołnierza. Łatwiej im więc było otrząsnąć się z atmosfery chmurnych i groźnych dni 1914 roku.

Cieęższa była dola innych jego szeregów — P.O.W. — po drugiej stronie frontu. Nie miały one satysfakcji otwartego boju z nieprzyjacielem. Przypadł im los „Kryjaków” z 1863 r., tających się — zamiast w gąszczach leśnych — w zakamarkach miast; z tą dotkliwą różnicą, że nie mieli za sobą ani autorytetu i popularności Rządu Narodowego, ani serc własnego społeczeństwa — prócz nielicznej, w pierwszym roku wojny, garści. Gorzkie to były dla nich czasy; i zawód dodatkowy, gdy tylko część z nich wziął Komendant do I-ej Brygady, a reszcie kazał pozostać w podziemiu, uprzedzając, że nie wolność nadeszła po odwrócie Moskali, lecz nowy front walki.

Lecz to już następny rozdział historii. Chcę tylko na zakończenie wskazać na jedno zjawisko, warte uwagi.

Po trzech miesiącach wojny, gdy Piłsudski widzi przed sobą niechybną prawie możliwość dramatycznego kresu wędrówki dla „zaczątków armii polskiej”, mówi o tych, co za nim poszli: chłopcy. Jest raczej sentyment niż metryka w tym słowie; boć wśród

owych „chłopców” nie brakło i ludzi w jego wieku. Zaś w większości była to inteligencja, raczej niesforna, do bezkrytycznego zaufania i posłuchu najmniej skłonna. Przed niewielu laty — gdy zaczynał ich wiązać karnością w „Związku Walki Czynnej”, a potem w związkach strzeleckich — napotykał wciąż na opory, wątpliwości, opozycje. Płoszyli mu się i wyłamywali, jak ta kasztanka pod Krakowem. W roku 1914-ym musieli też widzieć to co i on, że „wszystko zdaje się zawodzić i iść na opak”.

A przecież stało się że ten właśnie rok, „jeden z najcięższych w jego życiu” nie przyniósł żadnego załamania ani odstępstwa; przeciwnie — spotęgował więź zaufania między nim a jego szeregami, rosnącymi mimo że niełatwą poprowadził je i dalej drogą.

Bogusław MIEDZIŃSKI

Tom CIII

BIBLIOTEKI “KULTURY”

SERIA “ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT SZOSTY

z a w i e r a m. in.:

Gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski: *U podstaw tworzenia Armii Krajowej.*

Witold Babiński: *Powstanie Warszawskie*

Z.S. Siemaszko: *Łączność radiowa Sztabu N.W. w czasie Powstania Warszawskiego.*

Amb. Alfred Poniński: *Wrzesień 1939 w Rumunii.*

Płk Jan Kowalewski: *Cykl rumuński.*

**PIERWSZA LISTA OFIAR TERRORU
POLSKI LUDOWEJ**

ORAZ OBSZERNY DZIAŁ INFORMACYJNY I RECENZyjNY

W oczach Londynu

Uniwersytet Jagielloński wydał z okazji obchodów 600-lecia kilka pięknych plakatów, których egzemplarze dotarły przed kilku tygodniami do Londynu. Jeden z nich opiera się na motywie piastowskiego orła z okresu powstania Wszechnicy: królewski ptak, przechylony lekko wychodzi poza górny brzeg plakatu, tracąc przy tym zabieg górną połowę korony. Złośliwi twierdzą, iż nie jest to sprawą przypadku — orzeł jako godło Polski Ludowej został przecież oficjalnie „zdekoronizowany”. Przycięcie korony nabiera w tych warunkach szczególnego znaczenia.

Orzeł w koronie czy orzeł w koronie z krzyżem? Przypomina się słynny, zgonem prof. Strońskiego przerwany, spór historyków, który przed kilkunastu laty wywołał świetny fajerwerk ciętych polemicznych wywodów i dotąd nie daje spokoju gen. Kukielowi.

Stroński. Jedna z czołowych figur życia politycznego i umysłowego Londynu, stosunkowo niedawno zmarły i zadziwiająco rzadko przypominany. Próżno szukalibyśmy jego nazwiska w „Polakach w W. Brytanii” B. Czaykowskiego i B. Sulika (1961), choć na krótko przed tym prof. Stroński był niejako wszechobecny a do dziś nieobecność jego rzuca się w oczy na zebraniach w Instytucie Sikorskiego. (Tam zresztą nb. przechowywane są nieukończone ale poważnie zaawansowane pamiętniki Zmarłego).

Tu dalsze przypomnienie. Strońskiemu zmarło się w nocy, we śnie, w kilka godzin po powrocie z tzw. Inauguracji Roku Akademickiego Uniw. Stefana Batorego w Wilnie, urządzonej co roku przez byłych wychowanków i wykładowców na wzór paryskich Biesiad Krzemienieckich z lat 1860-ych. Stroński przyszedł wcześniej i przezornie zarezerwował sobie krzesło w pustym

jeszcze pierwszym rzędzie. Gdy wrócił, tuż przed rozpoczęciem wieczoru, okazało się, że bezpośrednimi jego sąsiadami są: z jednej strony gen. Kukiel („orzeł w koronie *bez krzyża*”) — z drugiej Marszałkowa Piłsudska. Prof. Stroński wiercił się niepokojnie na krześle, sam z sobą dyskutował gestykulując w niepowtarzalny sposób rękoma, wreszcie wstał, skłonił się przed Marszałkową, mówiąc: „Jestem ten sam Stroński, który przez długie lata walczył zaciekle z Mężem Pani. Dopalam się, Pani Szanowna, jak świeca, niewiele mi już życia zostało. Umrę spokojniej jeśli przed tym ucałuję ręce Pani patrząc na przeszłość *sub specie aeternitatis*”.

Warto przypomnieć ów przedśmiertny gest prof. Strońskiego, gdy wokół nas dzieją się sprawy ilustrujące wymownie, iż nie wszyscy „starsi panowie” przygotowują się do skoku na drugi brzeg w pięknym stylu świetnego długodystansowca — bohatera *autentycznej* przytoczonej wyżej anegdoty.

Na londyńskiej Akademii Legionowej w St. Pancrass Hall'u, wśród tysiąca obecnych, zabrakło Marszałkowej Piłsudskiej i — prof. Strońskiego. Był natomiast (— zadziwiająco podobny do króla Jana III Sobieskiego —) bliski współpracownik Dmowskiego, prezes Tadeusz Bielecki (reprezentant Rady Jedności Narodowej), piszący dziś z lodowatym spokojem uczonego o dramatycznym pojedynku Dmowski-Piłsudski, stoczonym w Tokio. Akademia zgromadziła, jak powiadają złośliwi, podwojoną w stosunku do rzeczywistej ilości b. strzelców, „legunów” i gwarantowanej autentyczności ostatniego z „siódemki Beliny” gen. L. Kmicica-Skrzyńskiego. Tych, którzy pamiętają pięćdziesiątą rocznicę powstania styczniowego (1913) i związane z nią uroczystości uderzał krzepki wygląd naszych obecnych weteranów i lepsze przeszkolenie głosowe. Gdziekolwiek rozlegały się legionowe piosenki — a przypominano je na każdym kroku — nasi dzielni wojacy stawali na wysokości zadania.

Rocznica legionowa zbiegła się na londyńskim gruncie z przesuniętą o rok wystawą historyczną z okazji stulecia powstania styczniowego, co dało sposobność żywej konfrontacji podobieństw, różnic i wpływów.

Wystawa 1863 r. zakończyła się w dn. 5 sierpnia nabożeństwem żałobnym ku czci Traugutta i towarzyszy w setną rocznicę daty ich egzekucji na stokach Cytadeli warszawskiej. Nie był to przypadek. Ks. Józef Jarzębowski, twórca niezwykle wartościowej kolekcji związanej z Powstaniem Styczniowym, jest w prostej linii spadkobiercą tradycji 1863 r., wychowanym w atmosferze żałoby narodowej i związanej z nią mistyki religijnej, której wzniosłym ucieleśnieniem są wzruszające w swym tragizmie ubożuchne pamiątki po ostatnim dyktatorze powstania. Nigdy dotąd nie ukazano chyba na tak szeroką skalę decydującego udziału duchowieństwa w manifestacjach, które przygotowywały grunt pod powstanie, w czasie trwania walk zbrojnych i na dwu frontach wygnania: syberyjskim i paryskim. Ilość księży i zakon-

ników skazanych na zsyłkę w głąb Rosji nasuwa wyraźne analogie z okresem okupacji; ocaleni skupili się w Paryżu w niezmienne aktywnej organizacji, ogarniającej swą działalnością kraj poprzez potajemnie kolportowane wydawnictwa.

Analogii z bliską przeszłością a nawet teraźniejszością nasuwało się zresztą wiele. Kilka ekranów w centralnej części sali wystawowej zajmowała kolekcja autentycznych egzemplarzy ulotek i czasopism z okresu powstania. Widok ich unaocznia warunki realizowania tych wydawnictw. Królestwo Polskie a Warszawa w szczególności nie była, praktycznie biorąc, wolna i opanowana w 100% przez oddziały powstańcze. Działania wojenne miały w stopniu niezawsze w pełni uświadamianym charakter walki podziemnej, drukarnie i współpracownicy pism byli stale narażeni na wizyty policji — konfiskaty i areszty znaczyły kres wydawnictw. I to właśnie staje się sprawą oczywistą, gdy patrzymy na mizerne karteluszkę zadrukowane niezdarnie złożonymi przez zecerów-samouków tekstami o dotąd wstrząsającej wymowie: „Rodacy! Pod naciskiem gwałtu...”, „Dla wykazania fałszów systematycznie i uporczywie przez najazd moskiewski rozsiewanych”, „Duchowni wschodniego wyznania! Wolność wyznań była odwieczną podstawą polskiego prawodawstwa...”, „Potęga polityczna Polski wzniosła się z wprowadzeniem do niej chrześcijaństwa...”, „Pokój, pokój dalekiemu i bliskiemu... Do Braci Polaków Wyznania Mojżeszowego”, „Kraj nasz nieszczęsny przywalony ciężarem moskiewskiej przemocy...”, „Powolną i trudną jest praca dźwigającego się ludu” — i wreszcie: „Zważywszy, że liczba rodzin pozostałych po poległych...”. Każdy niemal zwiedzający wystawę (a przewinęło się przez nią ponad 1500 osób) dostrzegał ową tragiczną ciągłość „tematu” i jaskrawe analogie z tonem, tekstami i wyglądem prasy podziemnej z okresu ostatniej wojny i Powstania Warszawskiego. Wrażenie to potęgowały fotografie powstańców i licznie reprezentowane na wystawie drzeworyty i litografie ilustrujące poszczególne epizody wydarzeń.

Przyprowadzano na wystawę dzieci. Nie zabrakło wśród nich bezpośrednich potomków powstańców. Pewnego popołudnia przy podobiznie czupurnego młodziana zebrali się przedstawiciele czterech dalszych pokoleń. Dyr. Nowak z Monachium włamał się (dosłownie) na wystawę w nieoficjalnych godzinach, by stwierdzić, że podobizny jego bohaterskiego przodka powtarzają się w wielu gablotkach. Wnuczki i prawnuczki przynosiły uratowane z katastrof wojennych rodzinne relikwie: czarne krzyżyki, bransolety rzeźbione w kości na Sybirze, wyblakłe fotografie i listy. Stulecie kurczyło się do żywego rozdziału historii rodzinnej, przeszłość zlewała w sposób niepokojący z teraźniejszością i prognozami przyszłości.

Warto poruszyć pewne sprawy z kulisów wystawy. Inicjator jej, ks. Jarzębowski, marzył o urządzeniu jej w styczniu 1963 w salach Instytutu Sikorskiego. Nie udało się: sale te były niezbędnie potrzebne na zebrania kół pułkowych itp. Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii nie pokwapiło się

również z objęciem protektoratu nad wystawą (— choć prezes jego, gen. Kukiel, okazywał wiele zainteresowania, wszedł do Komitetu i przemówił na otwarciu Wystawy —). Ks. Jarzębowski rozchorował się poważnie. Rzecz zawisła na włosku. I wtedy, w ostatnim niemal momencie, doszły do głosu bezimienne, a dobrotliwe siły, które skłoniły towarzystwo przyjaciół szkoły polskiej w Fawley Court do sfinansowania wystawy i stworzenia oficjalnego Komitetu (pod dowództwem gen. Ducha) — a Stowarzyszenie Techników Polskich do bezpłatnego udzielenia sali nad Biblioteką Polską. Bezinteresowni współpracownicy (w tym autor projektu afisza i dotyczących grafiki opisów katalogowych, Mieczysław Paszkiewicz) przygotowali katalog wydrukowany za psi grosz przez „Veritas”. Pracowitym urządzeniem wystawy zajął się płk J.E. Berek, znany filatelista o dużym doświadczeniu i talencie organizatorskim. Rezultatem była jak określił to Tymon Terlecki „prawdziwa” wystawa naukowa, po której pozostał cenny dla historyków katalog z dokładnymi opisami rzadkich druków i wartościowych rękopisów (w tym rękopisów Langiewicza, Traugutta, pamiętników i poszczególnych autografów, a wśród nich — listu Norwida do Władysława Bentkowskiego).

Okazało się, że imprezy tego typu żywo interesują Anglików. Przewinęło się ich sporo, a Mr. Michael Atkins z British Museum żałował, że przepisy normujące działalność wystawową tej instytucji nie pozwalają na wypożyczenie kolekcji w celu powtórzenia wystawy. Okazało się także, pośrednio, że Londynowi potrzebny jest gwałtownie stały ośrodek wystawowy typu rapperswilskiego tj. ilustrujący poprzez zespół właściwie dobranych eksponatów główne wydarzenia z dziejów Polski, że zrozumiałym naciskiem na lata ostatnie i powiązania z terenem (Anglo-Polonica). Przekonać się mógł o tym każdy, kto natknął się na niedawnej wystawie na rodowistego Anglika, odwiedzającego wystawę powtórnie, by pokazać przyjacielowi zdartą z muru kościoła krakowskiego klepsydrę ojca Conrada, Apolla Korzeniowskiego, „skrót biografii Polaka” — jak to określił.

Pamiętamy, iż istnieje w Londynie zaczątek zbiorów muzealnych w Instytucie Sikorskiego i złączona z nimi wystawa pamiątek po Generale (świadczących m.in., iż lubił obuwie od dobrych szewców londyńskich) — dobrze dobranych ale nielicznych obiektów związanych z działaniami wojennymi itp. — Dość przypadkowo łączy się z nimi grupa eksponatów napoleońskich ze zbiorów Krasieńskich i dwa piękne portrety pędzla Bacciarellego (w tym znany z tysięcy reprodukcji książę Józef Ponia-towski) ze zbiorów Lanckorońskich.

Istnieje wyraźna potrzeba pokazów pracowiciej przygotowanych i bardziej trzymających się tematu na podobieństwo znanych powszechnie wystaw organizowanych od lat przez Bibliotekę Polską w Paryżu a od niedawna przez ruchliwe Tow. Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu (wspieranego wypożyczeniami z Paryża i innych zbiorów publicznych i prywatnych). Nie trzeba uzasadniać propagandowego i pedagogicznego znaczenia

impresz tego typu dla ogółu Polaków poza krajem, przyjezdnych z kraju — a także cudzoziemców. Wszystkie te grupy były licznie reprezentowane wśród zwiedzających. Zwiedzieli się np. o wystawie polscy członkowie delegacji krajowej na Międz. Kongres Geografów, obradujący w sąsiedztwie — spotykało się ich często na Wystawie. Pewnego popołudnia zjawił się — rzadki gość w tej części Kensingtonu — poważny godny pan. Ktoś rozpoznał go przypadkiem: był to prezydent Zaleski zwiedzający incognito wystawę.

Szóstego sierpnia, tym razem w Inst. Sikorskiego, otwarto uroczystość w obecności rekordowej liczby generałów, wielką wystawę filatelistyczną w 50-ą rocznicę „wymarszu ku wolności”. Był to istny majstersztyk. W sposób przemawiający do wyobraźni nie tylko młodocianych zbieraczy znaczków (choć i oni nie byli w tym wypadku do pogardzenia) pokazano ciekawy zestaw rzadkości ze stemplami poczty polowej Legionów, nadruki na znaczkach niemieckich z r. 1918, trudne początki Poczty Polskiej (a więc np. znaczki kasowane stemplami korkowymi), znaczki z okresu plebiscytu śląskiego, ogromny wybór „normalnych” znaczków z Dwudziestolecia, opracowanych ściśle naukowo, jakby o broń atomową chodziło itp. Wyszło na jaw, że w obozach jenieckich uprawiano szeroką działalność pocztową — echem jej są całe edycje znaczków wykonanych techniką drzeworytniczą, często b. dużej wartości artystycznej. Inną wartościową grupą eksponatów były listy i kartki bez znaczków z okresu powstania warszawskiego z pieczętką „poczta polowa” i harcerską lilijką (ze zbiorów p. Bokiewicza). Jeszcze inną przyjemną osobliwością były collage’e kilkunastoletniego zbieracza Andrzeja Lichnowskiego z Birminghamu, który otrzymał srebrny medal za pięknie ujęte graficznie na tle map i symbolicznych rysunków znaczki dotyczące poszczególnych dzielnic czy wydarzeń (np. Monte Cassino). I tu także układ i prezentacja całości wystawy były zasługą płk. J. E. Berka, którego zbiory prywatne odznaczone zostały przez jury pierwszą nagrodą. Na wystawie działała „poczta” stemplująca wydane z okazji rocznicy legionowej pocztówki specjalnym datownikiem o pewnej wartości dla zbieraczy. Opublikowano także bogato ilustrowany katalog.

Lipiec był pracowitym miesiącem nie tylko dla organizatorów wystaw. Po długich naradach i namysłach trzy wielkie organizacje kombatanckie (SPK, lotnicy i marynarze) oraz kilka mniejszych i uboższych (Harcerze, Macierz, Dom Młodzieży) sprzymierzyło się ostatecznie z PUCAL’em i Technikami i w dn. 23 lipca odbyła się skromna uroczystość o dużych perspektywach na przyszłość: podpisanie oficjalnych dokumentów wymaganych do rejestracji Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie. Ustawy przewidują prowadzenie szeroko zakrojonej działalności opartej o dochody z racjonalnie administrowanych obiektów gospodarczych. Konkretnym poparciem akcji zainicjowanej przez PUCAL reprezentujący majątek wartości ok. £70.000 jest uchwała Stow. Techników Polskich, które zdecydowało się na

„przekazanie majątku do powstającej ogólnopolskiej organizacji społecznej”. Oznacza to b. poważny start i otwiera innym stowarzyszeniom pole do szerokiej współpracy. Statut przewiduje instytucję członków indywidualnych: pierwszym z nich jest tzw. potocznie „rzeczowy hrabia” Stefan Zamoyski, wierny dobrym tradycjom zasłużonego rodu.

Ośrodek rozpoczyna prace pod dobrymi auspicjami. Społeczność polska w Londynie, mająca za sobą pomyślne osiągnięcia, na kilku ważnych odcinkach takich jak kościół polski, szkoły sobotnie, Ognisko, Antokol i w. in., czuje się na siłach do stworzenia odpowiednika angielskich „community centres” złączonego z poważną instytucją o charakterze biblioteczno-muzealnym. Projekt przyjmowany jest z entuzjazmem przez tzw. „szarych ludzi” — najoporniej trafia niestety do wyobraźni kierowników starych instytucji przywykłych do autonomicznej działalności. Ale i oni z postawy zdecydowanie negatywnej przechodzić zaczynają na stanowiska obserwacyjne, pozwalające przy dostatecznych zasobach odwagi cywilnej na stwierdzenie, iż nadchodzi moment uznania „romantycznej” akcji za żywiołowy ruch „oddolny” mający pełne uzasadnienie społeczne. Statut nowej organizacji przewiduje możliwość stopniowego rozrastania się Ośrodka i pełnego uwzględniania gospodarczych a nawet „prestige’owych” praw poszczególnych członków tej swoistej konfederacji. W opracowaniu projektu Ośrodka pracowała czynnie liczna grupa wytrwałych pracowników społecznych, a w ich liczbie: pp. P. Hęciak i płk Wawrzekiewicz ze Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, pp. Stefan Soboniewski, płk O. Morcinek, mec. S. Wąsik i mec. Dunin-Borkowski z ramienia SPK, mec. C. Paluch i inż. A. Rynkiewicz ze Stow. Lotników Polskich, komandor B. Wroński i komandor Busiakiewicz z Samopomocy Marynarki Wojennej, inż. arch. O.M. Stepan i p. B. Hampel z Komitetu Domu Młodzieży, p. Kazimierz Sabbat ze Zw. Harcerstwa Polskiego, dr. inż. S. Wyrobek, inż. Kujawski i inż. Słęczkowski ze Stow. Techników Polskich oraz pp. prof. inż. Roman Wajda, inż. J. Biliński z ramienia PUCAL’u. Nad stroną prawną czuwali fachowo p. mec. J. Jaxa oraz dwaj prawnicy angielscy z firm specjalizujących się w opracowaniu ram ustrojowych organizacji tego typu zaproszeni przez PUCAL i SPK. Przedstawili oni dwie niezależne opinie i pomogli w uzgodnieniu pewnych punktów spornych, dotyczących wyboru najkorzystniejszej formy prawnej za którą uznano ostatecznie spółkę działającą pod kontrolą tzw. „Charity Commissioners” (co daje duże ulgi podatkowe i zwiększone gwarancje ochrony społecznego charakteru działalności).

Wymownym świadectwem, iż troski obecnego pokolenia emigracyjnego nie są niczym nowym pod słońcem jest znamienny ustęp listu Norwida do „pani na Korczewie (Joanny Kuczyńskiej): „Ja płacę podatek roczny, co miesiąc lub rocznie, do jedynego towarzystwa do jakiego należę to jest do Towarzystwa „Czci i chleba”. (...) Płacę — bo tak się należy. Robię to: *par principe*. Budżeta nasze są zawsze drukiem ogłaszane ze

wszystkimi rachunkami, każdy więc może je konfrontować i ważyć i cenić...". (Paryż, ok. 10 sierpnia 1867 r.).

W sprawozdaniu za rok 1866 figuruje istotnie pozycja:
„1259. NORWID Cyprian Kamil — fr. 12”.

(m.l.d.)

Polska muzyka współczesna

Muzyka współczesna jest sztuką bardzo kontrowersyjną i z całą pewnością długo jeszcze przyjdzie czekać na jej powszechne zaakceptowanie. Powodem kontrowersyjności w sztuce nowoczesnej jest przede wszystkim fakt porzucenia dotychczasowych konwencji twórczych na rzecz poszukiwań prawd, czy zasad bardziej generalnych, obejmujących w swoim zasięgu większe całości. Kontrowersyjność wbrew pozorom nie sprzyja popularności, a to w głównej mierze przyczynia się do powstania sytuacji w wyniku której tak niewiele jest ośrodków muzyki nowoczesnej na świecie. Skupiają się one głównie w Europie, a i tu niewiele znajduje się krajów które można by nazwać ośrodkami, krajów które są ojczyznami nie pojedynczych twórców, a całych generacji artystycznych. Pośród tych nielicznych krajów znajduje się również Polska; stwierdzenie to może się wydać nieco zaskakujące, ale też zaskakująco młoda jest muzyka nowoczesna polskiego pochodzenia. W niespełna 10 lat wychowała się, dojrzała, czy też powstała w Polsce grupa twórców bez udziału której obecnie nie odbywa się prawie żaden festiwal muzyki nowoczesnej, których utwory wykonywane są na całym świecie i którzy na całym świecie zbierają zasłużone aplauzy i nagrody.

Historycznie rozwój polskiej muzyki współczesnej, lub też muzyki XX wieku, szedł w dwóch kierunkach — paryskim i wiedeńskim. Kierunek paryski propagowany do pewnego stopnia formalnie, ale przede wszystkim intelektualnie — w formie wskazywania ideowej konieczności — przez Szymanowskiego, był wówczas rozumiany przede wszystkim jako nowy język muzyczny Strawińskiego, Ravela, czy Prokofiewa z lat dwudziestych. Osiągnięcia formalne tego kierunku niewątpliwie wywarły wpływ na takich kompozytorów jak Stanisław Wiechowicz, Michał Kondracki, Kazimierz Sikorski, Piotr Perkowski, Jan Maklakiewicz, Tadeusz Szeligowski, Bolesław Wojtowicz, a później Grażyna Bacewiczówna, Roman Palester, Andrzej Panufnik, Michał Spiśak. Jedyny w tym czasie „wyznawca” szkoły wiedeńskiej, Józef Koffler, był odosobnionym wyjątkiem, a przecież właśnie szkoła wiedeńskiej dodekafonii i jej technika seryjna zapoczątkowana przez Schoenberga, okazała się kierunkiem, z którego powstała obecna muzyka współczesna. Do tego jednak czasu polska twórczość

szła po linii Strawiński-Bartok. W tym okresie do najwybitniejszych kompozytorów należeli m.in. Artur Malawski i Witold Lutosławski, oraz, z kompozytorów mieszkających za granicą i piszących w konwencji neoklasycznej, Spisak, Palester i Kondracki. Dążenie do całkowitej reorganizacji materiału dźwiękowego, czyli zastosowanie techniki seryjnej, bądź punktualistycznej choć głośne już w świecie pojawiło się w Polsce w połowie lat pięćdziesiątych. Głównym popularyzatorem tych idei był kompozytor i teoretyk Bogusław Schaefer; propagowane przez niego idee spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem przez kompozytorów przede wszystkim młodego pokolenia, takich jak Penderecki, Kołński, Górecki, ale i dla wielu starszych kompozytorów idea nowej techniki kompozytorskiej okazała się interesująca. Odbywający się corocznie w Warszawie Festiwal Muzyki Współczesnej — „Warszawska Jesień” — w roku 1959 był pierwszym z wielu, na którym awangarda kompozytorska zaprezentowała po raz pierwszy w skomasowany sposób swoje osiągnięcia, udowadniając jednocześnie ponad wszelkie wątpliwości swoją artystyczną rację bytu.

Sukcesy i popularność polska muzyka nowoczesna zawdzięcza całej plejadzie kompozytorów. Wśród nich są jednak jednostki wybitne jako indywidualności i jednocześnie reprezentatywne dla całej muzyki polskiej. Należą tu przede wszystkim Witold Lutosławski i Krzysztof Penderecki.

Krzysztof Penderecki urodził się w roku 1933 w Dębicy koło Tarnowa. Studia kompozytorskie rozpoczął w r. 1954 u F. Skołyszewskiego kontynuując je później pod kierownictwem Artura Malawskiego. Dyplom z wyróżnieniem, z Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, uzyskał w r. 1958. Pomijając kilka utworów z okresu studiów, pierwszymi kompozycjami, którymi Penderecki zwrócił na siebie uwagę, były „Strofy” i „Anaklasis”. O ile „Strofy” mają jeszcze pewne analogie do twórczości Weberna, czy Bouleza, o tyle „Anaklasis” jest utworem początkującym nowy, własny styl Pendereckiego. Styl ten zdradza wyraźną inklinację kompozytora w kierunku operowania dźwiękiem. Pendereckiego fascynuje tworzenie horyzontalnych i wertykalnych płaszczyzn współbrzmiennych, ich rozwijanie, mutacja w inne itd. Aczkolwiek w „Anaklasis” Penderecki główną rolę powierza perkusji, część środkowa jest *par excellence* koncertem na perkusję, to jednak wartością pierwszorzędną są walory brzmieniowe tego utworu, a ściśle mówiąc współbrzmieniowe. W celu osiągnięcia pożądaných wartości kolorystycznych Penderecki, zwłaszcza w późniejszych utworach, używa wielu niekonwencjonalnych źródeł dźwięku. Ich utylizacja jednak nie jest wynikiem dążenia do nowości za wszelką cenę. W budowie formalnej utworu zajmują one miejsce i spełniają funkcję określoną *a priori* koncepcją kompozytora. Nie jest również zamiarem Pendereckiego tworzenie nowego rejestru dźwięków, wszystkie osiągnięcia na tym polu są podporządkowane pewnej ściśle określonej racji artystycznej i z niej wynikających konieczności.

Mając jako pierwszorzędne założenie kompozycje barw dźwiękowych wydało się Pendereckiemu rzeczą konieczną podporządkowanie pewnych zasad zapisu partyturowego zasadom jego muzyki. Wynika to przede wszystkim z częstego używania kłastrów, zmian tempa, glissanda, których możliwości dokładnego zanotowania w konwencjonalnym zapisie partyturowym są w pewnych sytuacjach znacznie ograniczone, o ile nie całkiem niemożliwe. Taka zresztą sytuacja i wynikająca z niej konieczność reformy istniała nie tylko w wypadku Pendereckiego i jego twórczości, ale generalnie rzecz biorąc w całej muzyce nowoczesnej. Potrzeba zatem nowego zapisu okazała się bardzo nagląca i propozycje Pendereckiego — stosowane przez niego zasady, uderzają swoją adekwatnością w stosunku do potrzeb, jak również prostotą rozwiązań pewnych problemów (1).

O ile Penderecki jest przedstawicielem najmłodszej generacji kompozytorów polskich, o tyle Witold Lutosławski reprezentuje raczej średnią generację. Urodził się on w r. 1915, studia fortepianowe skończył w Konserwatorium Warszawskim w r. 1936, a studia kompozytorskie w r. 1937. Jego pierwszy utwór „Wariacje symfoniczne”, rozpoczęty jeszcze w konserwatorium, był dowodem wielkiej indywidualności i talentu. Z okresu powojennego pochodzą m.in. utwory „Symfonia”, „Uwertura smyczkowa”, „Koncert na orkiestrę” i wreszcie dwa z ostatnich utworów, najbardziej chyba znane i najlepsze w całej twórczości kompozytorskiej Lutosławskiego „Muzyka żałobna pro memoriam Béla Bartók” i „Trzy poematy Henri Michaux” wykonane po raz pierwszy na Warszawskiej Jesieni w r. 1963. Utwór ten — „Trzy poematy” — uznany został za najwybitniejszą pozycję festiwalu. Do roku 1958 Lutosławski kontynuując koncepcje Bartoka nie skłaniał się zbyt ku formalnym osiągnięciom muzyki dodekafonicznej i punktualizmu, jednakże powstała w 1961 roku kompozycja „Jeux venitiens” napisana została nieoczekiwanie w nowej technice aleatorystycznej, podobnie jak i wyżej wspomniane „Trzy poematy”. W pierwszym okresie swej twórczości Lutosławski związany był z Bartokiem wspólnymi tendencjami estetycznymi, niemniej jednak ze względu na fakturę, formę, tematykę i bardzo specyficzny emocjonalizm był on już wówczas indywidualnością wyjątkową na europejskiej scenie. W okresie tym widoczne są u Lutosławskiego zainteresowania folklorem, a zwłaszcza jego diatoniką. Cały jednak materiał muzyczny organizowany jest według własnych kryteriów estetycznych i ta właśnie estetyka jest przede wszystkim elementem kontrolującym środki ekspresji i możliwości języka muzycznego.

Wojciech Kilar reprezentujący trzeci po Warszawie i Krakowie najżywotniejszy ośrodek muzyczny, Katowice, jest kompo-

(1) Zasady zapisu partyturowego stosowane przez Pendereckiego omówione są szerzej w *The Polish Revue*, nr 3 z r. 1963 wyd. New York pod tytułem „Krzysztof Penderecki and his contribution to modern musical notation”.

zytorem młodego pokolenia, któremu jak dotychczas największy rozgłos przyniósł utwór „Générique”, wykonany na Warszawskiej Jesieni 1963. Kompozycja ta jest w dużym stopniu kontynuacją linii artystycznej rozpoczętej przez Kilara utworem „Riff 62”.

Walorem pierwszoplanowym i najbardziej fascynującym jest znakomite operowanie dynamiką. Umiejętność koordynacji następstw dynamicznych, jak również wybór momentów, w których nastąpić mają te zmiany jest niezwykle przekonujący. Każdy fragment utworu konstruowany jest oszczędnymi środkami instrumentalnymi — pomimo użycia wielkiego aparatu instrumentalnego — relatywnie adekwatnymi do osiągnięcia odpowiedniej barwy dźwiękowej.

Tadeusz Baird, liczący obecnie 36 lat, jest indywidualnością artystyczną nieco stylistycznie odosobnioną od głównych kierunków formalnych w Polsce. Zawsze bliski i zainteresowany nowymi tendencjami kompozytorskimi, tłumaczy je jednak na swój własny język artystyczny. Emocjonalność Bairda jest przede wszystkim i prawie wyłącznie liryczna, wyraża się ona charakterystycznym dla kompozytora operowaniem przytłumioną dynamiką i barwą, oraz swobodnym posługiwaniem się czasem. Zmiana techniki kompozytorskiej w ostatnich latach nie spowodowała zmian w charakterze emocjonalnym i sposobie ekspresji. Baird przejawia niewiele zainteresowania w poszukiwaniu nowych środków technicznych, interesuje go przede wszystkim estetyka do której dąży przez bardzo staranną selekcję. W wyniku tej selekcji atrakcyjność jego utworów, jako zamierzony aspekt, staje się bardzo często drugoplanowa na rzecz wartości estetycznych.

Postacią wyjątkową na scenie muzyki polskiej jest Bogusław Schaefer. Znany przede wszystkim jako teoretyk i krytyk muzyczny, ale przy tym również niezwykle interesujący kompozytor. Teoretyczna strona działalności Schaefera to artykuły, opracowania, książki, z tych ostatnich najbardziej chyba znane i o największej doniosłości są „Nowa muzyka”, „Informator muzyki XX wieku”, „Almanach polskich kompozytorów współczesnych”, oraz ostatnio wydana pierwsza część „Leksykonu kompozytorów XX wieku”.

Schaefer jest nieustrudzonym propagatorem muzyki nowoczesnej w Polsce i w dużym stopniu pionierem tej muzyki w wielu ośrodkach muzycznych na terenie całego kraju. Wypowiadając się o swoich kompozycjach mówi: „Jako kompozytor mam to szczęście, że moje osobiste tendencje zbiegły się z ewolucją współczesnej muzyki... jako warunek (komponowania) stawiam sobie absolutną nowość — przynajmniej w jakimś zakresie, jakichś warstwach techniki... źródłem twórczości jest świadomość, że jakaś idea dojrzała do tego, by ją w języku muzycznym wyrazić. Idea muzyczna oczywiście. Idei takiej nie da się ani wykalkulować, ani przeżyć emocjonalnie, trzeba ją ewokować na zasadzie o wiele bardziej złożonej, wieloimpulsowej”.

Znajdujące się przy Polskim Radio w Warszawie Studio Eksperymentalne, kierowane przez Józefa Patkowskiego, jest te-

renem działalności wielu kompozytorów i teoretyków zainteresowanych eksperymentami nad samym źródłem dźwięku — muzyką konkretną i elektronową. Na tym polu najbardziej aktywnymi okazali się Andrzej Markowski i Włodzimierz Kotoński. Utwór Kotońskiego „Etiuda na jedno uderzenie w talerz”, jak również „Psalm” Pendereckiego są, jak do tej pory, najbardziej reprezentatywnymi utworami tego gatunku w Polsce.

Chociaż o wartości dzieła sztuki nie decyduje stosunek do niego ze strony konsumentów — wielcy jak wiadomo często umierali zapoznani — to jednak i ten aspekt okazuje się w uprzednio omawianym kontekście interesujący. Chodzi mianowicie o to, że cała twórczość polskich kompozytorów nie ma charakteru prowincjonalno-lokalnego, ale jest ona zaliczana do najbardziej interesujących w Europie. Świadczyć o tym może liczba wykonań utworów polskich zagranicą i ich bardzo często wręcz entuzjastyczne przyjęcie. Weźmy np. Pendereckiego, w październiku 1963 jego utwory wykonane były kolejno: „Stabat Mater” — Berlin, Lipsk, Poznań; „Anaklasis” — Warszawa, Hamburg; „Tren ofiarom Hiroszimy” — Darmstadt. Za „Tren” otrzymał już Penderecki kilka nagród, m.in. *Tribune des Compositeurs UNESCO*, a utwór ten wykonywany był od Tokio do Londynu. Dowodem zaufania do „jakości produkcji” polskich kompozytorów mogą być zamówienia na nowe utwory, jakie otrzymują z całej Europy. Penderecki na swoje utwory otrzymywał zamówienia od tak renomowanych festiwali jak Darmstadt, czy Donaueschingen. Jedną z nagród UNESCO Lutosławski otrzymał za „Muzykę żałobną”, utwór zamówiony na festiwal w Wenecji, a wykonywany przez wiele lat jako stała pozycja repertuarowa przez wiele orkiestr europejskich. Przykładów takich można by dawać wiele i to prawie o każdym kompozytorze, rzeczą najbardziej jednak interesującą okazują się nie tyle osiągnięcia indywidualne poszczególnych twórców, lecz generalna opinia o współczesnej twórczości muzycznej w Polsce. Wyrazem tej opinii są bardzo pochlebne wypowiedzi gości dorocznych festiwali. „Warszawska Jesień”. Wśród gości tych spotkań można zarówno Szostakowicza jak i Nono, czy Stockhausena, a taka rozpiętość stylistyczna i ideologiczno-artystyczna jest niewątpliwie gwarancją pełnej reprezentatywności dla wszystkich kierunków twórczych.

„Warszawska Jesień” jest nie tylko okazją dla polskiej publiczności usłyszenia interesujących utworów zagranicznych, ale w miarę upływu lat Festiwal ten stawał się przede wszystkim przeglądem, osiągnięć polskiej muzyki współczesnej przyczyniając się jednocześnie do jej popularyzacji w kraju i zagranicą.

J. K.

Komunikaty

TERMINARZ UROCZYSTOŚCI

20-LECIA WALK 1 DYWIZJI PANCERNEJ

FRANCJA. — 28 sierpnia — 1 września: a) odsłonięcie pomnika na wzg. 262 „Maczuga” ufundowanego dla 1 Dywizji Pancernej przez mieszkańców gmin NORMANDII; b) uroczystości na cmentarzu Dywizji w Langannerie; c) uroczystości w Paryżu.

BELGIA. — 3 — 10 września: a) odsłonięcie pomnika w Saint Nicolas-Waes wzniesionego Żołnierzom 1 Dywizji Pancernej pod dowództwem gen. Maczka a ufundowanego przez społeczeństwo Flandrii przy wybitnej współpracy burmistrzów miast: St. Nicolas-Waes, Lokeren, Ypres, Tielt, Roulers; b) uroczystości na cmentarzach Lommel i Adegem; c) uroczystości w Brukseli.

HOLANDIA. — 16 — 18 września: uroczystości w Axel oraz 28 października — 1 listopada w Bredzie, gdzie Królewski Rząd Holenderski wdzięczny Dywizji za uwolnienie Jego kraju założył ostatnio wspaniały cmentarz, na którym zgromadził prochy wszystkich naszych towarzyszy broni poległych w Holandii.

LONDYN. — 19 września godz. 18.00 — Akademia w Ognisku, 20 września godz. 10.00 — nabożeństwo w kościele św. Andrzeja Boboli, godz. 11.30 — Hołd Sztandarom Oddziałów w inst. gen. Sikorskiego, godz. 12.30 — obiad koleżeński w Ognisku.

BRADFORD — uroczystości 29 i 30 sierpnia.

MANCHESTER — uroczystości 7 i 8 listopada.

CARDIFF — uroczystości 21 i 22 listopada.

Na wszystkich powyższych uroczystościach będzie obecny Wojenny Dowódca 1 Dywizji Pancernej gen. dyw. S. Maczek.

NAGRODA FUNDACJI ALFREDA JURZYKOWSKIEGO

Dla uczczenia tysiąclecia Polski, Fundacja Alfreda Jurzykowskiego w New Yorku ustanowiła nagrody w dziedzinie Sztuki i Nauki za wyróżniające się osiągnięcia twórcze w latach ostatnich.

Fundacja Alfreda Jurzykowskiego powierzyła przyznanie tych nagród Polskiemu Instytutowi Naukowemu, który podaje do wiadomości, co następuje:

a) Nagrody przeznaczone są dla Polaków bądź osób pochodzenia polskiego bez względu na miejsce ich zamieszkania.

b) Nagrody obejmują: powieść, nowelę, poezję, krytykę, dramat, publicystykę, plastykę, muzykę, film oraz nauki humanistyczne i społeczne. Ogółem przyznanych zostanie osiem nagród, każda w wysokości US \$1,000.00.

c) Ponadto jedna nagroda w wysokości US \$2,000.00 zostanie przyznana za całokształt twórczości literackiej lub artystycznej.

d) Nagrody przyzna Zarząd Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce nie później, niż w grudniu 1964 r. i poda je do wiadomości publicznej.

(—) *Damian S. WANDYCZ* — Sekretarz Generalny Instytutu

NAGRODA POETYCKA IM. ZOFII POLKOWSKIEJ SZKARADZIŃSKIEJ

Matka poetki Maria Polkowska ufundowała nagrodę w wysokości 50 funtów dla poety do lat trzydziestu. Spośród utworów nadesłanych na konkurs zorganizowany przez KONTYNENTY, jury w składzie: Czesław Bednarczyk, Michał Chmielowiec (Sambor), Jan Darowski, Maria Polkowska i Florian Śmieja postanowiło nagrodzić wiersze o. Wacława Chabrowskiego (USA) i Jerzego S. Sito (Polska). Obaj poeci otrzymają po dwadzieścia pięć funtów.

APEL O POPARCIE KSIĄŻKI „JOHN F. KENNEDY AND POLAND”

Z przedmową Roberta F. Kennedy

Polski Instytut Naukowy w Ameryce przygotowuje do druku książkę zawierającą wszystkie ważniejsze wypowiedzi Johna F. Kennedy na temat Polski i Polaków. Było tych wypowiedzi wiele między 1953 i 1963 rokiem, i to bardzo ważnych. Są one w dalszym ciągu aktualne i stanowią żywy przykład przyjaźni jaką zmarły Prezydent darzył naród polski i Polonię Amerykańską.

Polski Instytut Naukowy uzyskał zgodę prokuratora generalnego St. Zjednoczonych na wydanie książki pod tytułem „John F. Kennedy and Poland”. Ponadto Robert F. Kennedy napisał wstęp do tego wydawnictwa. Znajdą się w nim również fotografie przedstawiające prezydenta Kennedy wśród Polaków, oraz oryginalny rysunek Z. Czernańskiego.

Cena w przedpłacie niższa

Polski Instytut Naukowy w Ameryce apeluje do wszystkich Polaków o zamawianie książki *w przedpłacie*, wobec tego, że nakład jej będzie ograniczony.

Za zamówienie minimum 5 książek — cena zniżona wynosić będzie \$1.25 za egzemplarz.

Za zamówienie jednej książki cena z przesyłką \$1.50.

W sprzedaży cena książki cena z przesyłką \$2.50.

Zamówienia i wpłaty prosimy kierować na adres *Polish Institute of Arts and Sciences in America Inc.* — 59 East 66 Street — New York. N. Y. 10021.

Tym co nie zginęli

Pisanie historii literatury najnowszej, w pełnym tego słowa znaczeniu współczesnej, jest sprawą pasjonującą. Idzie tu bowiem nie tylko o wymierzenie sprawiedliwości widzianemu światu, o maksymalny obiektywizm i unikanie klasyfikujących etykietek; idzie tu o uzyskanie dystansu koniecznego dla ujrzenia perspektywy historycznej. Problem kompetencji i temperamentu, konflikt między stanowiskiem krytyka a postawą historyka, tak dramatycznie stawiany jeszcze przez Ignacego Matuszewskiego, nabiera tu pełnej wymowy i wymaga jeśli nie całkowitego opowiedzenia się po jednej czy drugiej stronie, to przynajmniej umiejętnego kompromisu.

W naszych czasach, gdy gatunki literackie często zacierają wyraźne niegdyś granice, gdy formy stapiają się i przeplatają a rygory formalne zdają się usuwać na plan dalszy, problemy te nieco złagodniały, z tym wszystkim przecież książka o ambicjach historyczno-literackich zawsze w końcu wymagać będzie próby choćby klasyfikacji. Historia czy zaledwie przyczynek do historii literatury? Na pytanie to odpowiedzieć sobie musi zarówno autor książki jak i krytyk biorący ją na warsztat, by określić właściwe jej miejsce i sprecyzować kryteria swej oceny.

Często jednak, niejednokrotnie pomimo woli czy autorskiego zamierzenia, książka nosząca skromny podtytuł „szkice” okazuje się solidnym kawałem historii literatury, a wierzyć wolno, że niepostrzeżenie z latami narastający dystans czasu wiele pisanych na gorąco szkiców jako historię zweryfikuje. Pozornie luźny i nieformalny kształt szkicu czy eseju literackiego kryć może w sobie próby oceny i starannej analizy, które — jeśli trafnie osadzone zostaną zarówno w czasie jak i charakterze epoki — stanowić mogą rozdział dziejów literatury ciągle jeszcze pisanych i długo zapewne mających jeszcze czekać na pełne opisanie.

Praca to, powtórzmy, pasjonująca, lecz z wielu powodów nie wdzięczna, wymagająca oderwania się od osobistych wzruszeń i

uprzedzeń, któż jednak może być lepiej do niej powołanym od tych, którzy historię niedawnych lat, historię bystro uchodzącą w niepamięć żywo mają w pamięci? Z pamiętników, notatek i szkiców wyłania się jej surowy kształt, który pod piórem historyka literatury czy obiektywnego krytyka (jeśli tego rodzaju *contradictio in adiecto* założyć można) przerodzić się ma w karty Historii mówiącej obiektywną, pełną i świadomych uchybień pozbawioną prawdę.

Zadanie przecież kronikarza czy amatora-historyka staje się nieco łatwiejsze gdy ma on do czynienia z epoką wyraźnie zamkniętą. Dystans kilkunastu lat zaciera wtedy ostrość sądów i daje ową konieczną dla oceny perspektywę, jeśli spełniony zostanie jeden dodatkowy, lecz niemniej zasadniczy warunek szczerości i swobody wypowiedzi, w praktyce nie zawsze tylko od autora zależnych.

Uwagi tego typu nasuwają się czytającemu wydany w roku ubiegłym tom szkiców krytyczno-literackich Lesława Bartelskiego *Genealogia ocalonych* (1), zasługujący ze wszech miar na omówienie jako zgoła pionierska próba całościowego ujęcia dziejów i dorobku jednej wprowadzić tylko, lecz nadzwyczaj w dziejach najnowszej literatury polskiej ważnej grupy poetyckiej, tzw. „szkoły warszawskiej” lat okupacji. Autor, należący do pokolenia i środowiska młodych pisarzy skupionych wokół czasopisma „Sztuka i Naród”, wydaje się być człowiekiem, którego obowiązkiem było ogłoszenie książki o poetach SiNu. Dysponując nie tylko zachowanym archiwum redakcyjnym, ale i bogatymi wspomnieniami osobistymi należy on do tych nielicznych, którzy z warszawskiej pożogi ocalili, własna zaś działalność poetycka i publicystyczna pozwala mu na pokuszenie się o próbę analizy historycznoliterackiej, z uwzględnieniem, oczywiście, warunków, w jakich książkę swą mógł opublikować.

Określenie „obowiązek” wydaje się być tu szczególnie potrzebne. Tuż po zakończeniu wojny, gdy wielka fala literatury pamiętnikarskiej czy półfikcyjnych sprawozdań z okresu okupacji przyniosła dziesiątki pozycji wydawniczych, większość pisarzy powodowała się tym właśnie poczuciem dania świadectwa prawdzie, której kształt wydawał się nieprawdopodobny. I bez przesady powiedzieć można, że od brutalnego realizmu *Byliśmy w Oświęcimiu* aż po ultrasubiektywistyczne *Miasto niepokonane* książki okresu późnych lat czterdziestych starały się z obowiązku tego wywiązać jak najwierniej, zależnie od stosunku do świata, temperamentu pisarskiego i talentu autorów. Zbyt wcześnie było na wyciąganie ostatecznych wniosków, na oceny i analizy, szło jedynie o to by ocalić od zapomnienia, by dać świadectwo

(1) Lesław M. Bartelski, *Genealogia ocalonych. Szkice o latach 1939-1944*. Kraków, 1963, Wydawnictwo Literackie, str. 336, ilustr.

Redakcja przypomina, że p. Bartelski podpisał oślawiony „Kontrprotest” przeciwko Memoriałowi „34”. Książkę jego omawiamy jedynie ze względu na jej wartość dokumentarną.

prawdzie, by przekazać potomności... Odczytane w tym świetle opowiadania Adolfa Rudnickiego kryją w sobie ładunek sto-kroć potężniejszy od najszczerzowszych zbiorów dokumen-tów o powstaniu w warszawskim getcie, a *Dni kłęski* Żu-krowskiego, oczyszczone ze sztucznie doczepionego zakończenia, są wymowniejszym świadectwem Września niż jakakolwiek praca historyczna. Rolą jest bowiem literatury odtwarzanie i przekazy-wanie prawdziwie ludzkich wzruszeń, a rolę swą literatura polska tego okresu pojmowała na serio i wypełniała na ogół bezbłędnie.

Wydarzenia lat późniejszych, przemiana wolnej twórczości we freblówkę pisarzy i wszelkiego rodzaju naciski położyły kres tego typu pisarstwu na długo. Jednostronne i upolitycznione powieści typu *Września* Putramenta czy *Pokolenia* Czeszki nie tylko da-wały obraz całkowicie wykrzywiony, lecz w dodatku usiłowały wyolbrzymić nikłe siły, które w rzeczywistości niemal nie istniały; w wielu przypadkach, jak we wspomnianej powieści Żukrowskie-go, czysty nurt fikcji historycznej zostawał zamazany i wypaczony fałszywie brzmiącymi dodatkami lub przeróbkami, z wyraźną zresztą szkodą dla wartości literackiej utworu. Zbyt wiele pisano o roli krytyki w tym okresie by raz jeszcze powtarzać truizmy, wystarczy więc stwierdzić, że jak we wszystkich niemal dziedzi-nach i w literaturze dotyczącej okupacji powstały szkody zdawało się nie do odrobienia. Odchodzili ludzie, przepadały dokumenty, fałszywiała historia. Ludzie rozczytywali się w przekładach oku-pacyjnych opowiadań Vercorsa dziwić się podobieństwu do świadectw, których z niczym, poza własnymi przeżyciami nie było można porównać. Magia zniewolonego umysłu działała precyzyjnie i bezwzględnie.

Toteż mimo wszelkich zmian i nawrotów do przedpaźdier-nikowej polityki kulturalnej jakie dają się ostatnio dostrzec stwierdzić trzeba z radością, że książki typu *Genealogii ocalonych* ukazują się obecnie i miejmy nadzieję, że ukazywać będą. Nie bez przeszkód, to pewna; różnica dat między ukończeniem ma-szynopisu (1959), a dniem wydania (1963) jest bezwątpienia świa-dectwem trudności, jakie autor napotkać musiał i które wyraźnie odbiły się na poszczególnych partiach książki. Z tym wszystkim przecież czytelnik otrzymał nowy i cenny dokument epoki, próbę obiektywnej historii grupy poetyckiej „Sztuka i Naród” bez której żadna historia okupacji w Polsce, ani tym bardziej żadna historia współczesnej literatury nie będzie pełna.

Nim przyjdzie do oceny książki przypomnieć warto kilka faktów na ogół mało znanych, dla czytelnika zaś, który okupację spędził poza krajem, zupełnie obcych. „Sztuka i Naród”, w popu-larnym skrócie SIN, była konspiracyjnym periodykiem literackim wydawanym w Warszawie w latach 1942-1944 przez silnie prawi-cowe ugrupowanie Konfederacja Narodu, którego kierownictwa Bartelski nazbyt taktownie woli nie wymieniać, ograniczając się do mimochodem rzucanych nazwisk Dobraczyńskiego czy Hagma-jera lub też uwag niedwuznacznie wskazujących na polityczno-ideowe powiązania pisma (np. „Bojarski... wychodził z przesłanek

i tendencji nacjonalistycznych, kontynuując tę drogę, jaką przed wojną prowadziła Falanga", s. 88). Jakkolwiek dyskrecja ta sięga tak daleko, że podając np. konspiracyjne powiązania Baczyńskiego autor wymienia nazwy plutonu i batalionu unikając jednak nazwania po imieniu organizacji, której członkami były „Zośka” i „Parasol”, linia „odpolitycznienia” historii SINu wydaje się w zasadzie słuszna. Przytoczyć tu można słowa Bartelskiego, którym nikt z uczestników Powstania zaprzeczyć nie powinien:

„Konspiracja wyznaczała drogi rozwojowe — linia podziału dla tych roczników wydawała się niezwykle prosta; przebiegała wzdłuż granicy: wróg i sojusznik... Pokolenie nie przeszło przez doświadczenia walki klasowej czy społecznej, walkę z wrogiem uznawało za sprawdzian uczciwości politycznej jednostki. Wybór dróg ideowych, chociaż przebiegały one często pokrętnie, dokonywali za niego starsi. Walka bowiem była tym, co łączyło społeczeństwo bez względu na układ społeczny” (s. 289).

Nawiasem dodać tu warto, że zrozumiała w warunkach roku 1963 dyskrecja kłóci się nieco i rozбивa jednolity ton książki w zestawieniu z wstawkami typu „łopatologicznego”, opisującymi okupację tak, jakby czytelnik nigdy o niej nie słyszał; wolno jednak sądzić, że dysproporcje te powstały już w trakcie redagowania maszynopisu przy pomocy nożyc, nie zawsze jednakowo ostrych dla różnych aspektów okupacyjnej historii. Równowaga jednak książki została przez nie silnie naruszona, podobnie jak naruszona została dygresjami opisowo-lirycznymi, mającymi najprawdopodobniej podbarwić jej klimat bezpośredniością właściwą szkicowi i narracyjnej miejscami formie prezentacji postaci i wydarzeń. Ale jeśli nawet przyjmiemy, że dygresje wtrącono celowo, by rzecz uczynić bardziej osobistą, usuwają się one na zupełnie nieważny plan wobec autentycznego materiału poetyckiego i historycznej wartości wspomnień członka zespołu poetyckiego, który sam przez się, dzięki swym poezjom i działalności stanąć może w historii naszej literatury obok wileńskiej młodzieży czasów Mickiewicza.

Historia bowiem SINu i jego ludzi jest materiałem zupełnie fascynującym. W najcięższych latach okupacji, w terroryzowanej i coraz to cięższym próbom poddawanej Warszawie grupa debiutujących poetów zakłada i regularnie wydaje najprawdziwsze pismo literackie, realizując swój konsekwentnie wytyczony program aż do tragicznego końca miasta, które pogrzebało pod swymi gruzami tych, którzy z ulicznych egzekucyj, aresztowań i obozów ocaleć zdołali. Od kwietnia 1942 do lipca 1944 wydano 16 numerów, które zawierają ogromną część puścizny poetyckiej poetów wokół SIN zgrupowanych. Część pozostała, ukazująca się w wydawanych osobno *Arkuszach poetyckich* pojawiała się najczęściej również pod patronatem lub przy pomocy SINu.

Wysokie standardy poetyckie stawiane przez młodych poetów a także izolujące warunki pracy konspiracyjnej narzuciły pismu pewna elitarność, stąd też ilość nazwisk pojawiających się w kręgu pisma jest szczupła. Bartelski poszerza ją przez włączenie do swej serii szkiców sylwetki Tadeusza Borowskiego, który choć z

SINem związany nie był należał do najbardziej typowych przedstawicieli warszawskiej szkoły poetyckiej, do której trafił przez konspiracyjne studia polonistyczne. Jako autor wydanego anonimowo cyklu poetyckiego *Gdziekolwiek ziemia* (1942) i *Arkusza poetyckiego* nr 2 (1944) Borowski, mimo wszelkie dzielące go z SINem różnice znalazł się więc w tomie Bartelskiego słusznie, jakkolwiek — i tu znów zarzut dotyczący redakcji całości tomu — ostatni, poświęcony jego pamięci szkic brzmi przykrym zgrzytem po taktowym zakończeniu historii SINu dniem Powstania. Zgrzyt to tym ostrzejszy, że przedstawiając go jako człowieka szarpanego zwątpieniami pomija zarówno bojową publicystykę polityczną redaktora „Nowej Kultury”, jak i przemilcza przyczyny jego tragicznego zgonu, notka bowiem biograficzna, zakończona lakonicznym „umiera odbierając sobie życie 3 lipca 1951 r.” niczego nie wyjaśnia, kłócąc się z podniosłym bądź co bądź zakończeniem finałowego szkicu. Dla większego jeszcze zagmatwania portretu Bartelski przedrukowuje *Kolędę obozową* z czasów oświęcimskich i opatruje ją przypisem, iż kolęda „nie weszła do *Utworów zebranych* Borowskiego” (s. 233-34). Borowski, przez jednych kreowany na polskiego nieomal Majakowskiego, przez innych uważany za ofiarę *Brain-washing* jest postacią na pewno wymagającą bardziej szczegółowego potraktowania, jakiego próbę podjął przed laty w „Twórczości” Wiktor Woroszyński, z tym wszystkim przecież należy on do pokolenia stanowiącego główny temat książki i kwestionować jego miejsca w warszawskiej szkole poetyckiej nie można, nawet gdyby twórczość jego ograniczyła się do jednej tylko *Pieśni* z roku 1942, której ostatnia zwrotka najpełniej wyraziła jego postawę filozoficzną tamtych lat:

*Nad nami noc. Goreją gwiazdy,
dławiący, trupi nieba fiolet.
Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń!*

Główny jednak trzon szkiców Bartelskiego stanowi zwarta grupa poetów związanych z redakcją SINu w czasie jej krótkiej i żywej działalności. Należą do niej Wacław Bojarski, Andrzej Trzebiński, Tadeusz Gajcy (trzej kolejni redaktorzy pisma), Zdzisław Stroiński i Krzysztof Baczyński, pięciu poetów, z których żaden nie przeżył Powstania. Ci „Kolumbowie rocznika 20” jak swych rówieśników nazwie później Bratny, choć w przypadku grupy SINu lepiej nadawałaby się nazwa „Konradowie”, czy może lepiej jeszcze „Conradowie”, stanowili grupę niezwykle ukształtowaną, grupę, pamiętajmy, tworzącą i działającą w najsurowszych warunkach okupacji. Tradycje jej poezji wywodzi Bartelski słusznie przede wszystkim z Czechowicza, Sebyły i Miłosza, z tą tylko różnicą, że „generacja wojenna odrzuciła katastrofizm, jej tendencją była walka o oblicze nowego humanizmu, wyłaniającego się z klęski dawnych pojęć, które w zetknięciu z wojennym koszmarem zbankrutowały, humanizmu przeczuwanego

raczej, aniżeli świadomie kształtowanego. Cały więc wysiłek debiutujących w okresie okupacji zmierzał dość wyraźnie do stworzenia świata własnych wartości i to dążenie było wspólne dla całej „szkoły warszawskiej” (s. 76-77). Nieco dalej przytoczona zostaje wypowiedź Stefana Lichańskiego, który w powojennej recenzji poematu Bartelskiego *Przeciw zagładzie* stwierdza, że „neoekspresjonizm 'szkoły warszawskiej' to najmocniejszy i najradikalniejszy w ciągu dwudziestolecia i zamykającej je wojny nawrót do modernizmu... Nawrót, który nie ograniczał się do kwestii środków wyrazu artystycznego, ale był — krótkotrwałym zresztą renesansem modernistycznej koncepcji twórcy i poezji. Raz jeszcze poezja usiłowała zastąpić religię, filozofię, naukę; raz jeszcze sięgnęła po rolę kapłanki Absolutu i pośredniczki między nim a rodzajem ludzkim” (s. 239).

Koncepcja ta wydaje się nie tylko zrozumiała w warunkach życia narodu pozbawionego normalnie funkcjonującego aparatu kulturalnego, lecz w dodatku zgodna z norwidowskim mottem SINu, głoszącym iż „Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej”. Motto, jak dodaje Bartelski, potwierdzało postawę grupy poetyckiej, której ambicje sięgały znacznie dalej, poza ramy literatury. Pomijając już dramatyczny gest Bojarskiego, który życiem przypłacił próbę złożenia wieńca pod pomnikiem Kopernika, koncepcja ta zmierzała ku bardziej teoretycznym i ogólniejszym sformułowaniom. Oto trzeci z kolei redaktor SINu, Trzebiński, na przełomie lat 1943-44 ogłasza deklarację ideową Ruchu Kulturowego, który „nie miał stanowić ani partii ani stronnictwa politycznego. Jego główne zadanie polegało na wytworzeniu nowej powojennej elity kulturalnej, opartej na nowej idei w kulturze” (s. 203). Zamyśl, zbudowany na „zrozumieniu związku kultury polskiej z kulturą katolickiego Zachodu” nie zdążył przybrać konkretnych kształtów, stanowi przecież jedno jeszcze świadectwo humanizmu młodych poetów warszawskich. Trzebiński, rozstrzelany w masowej egzekucji ulicznej powiedział w nim swe ostatnie słowo.

Brana ogólnie poezja „szkoły warszawskiej” zarówno intelektualnym ładunkiem jak i wyszukaną formą poetycką stylizowaną barokową manierą niezwykle odbijała od masowej produkcji patriotycznych wierszy i wierszydeł tamtych czasów. Chętnie zresztą określała się sama, jak zobaczyć to można w jednym z wczesnych wierszy Baczyńskiego *Epilog* (1941):

*Zdzierać dzień po dniu jak do lodu przybity ślad
nie rzucając wokół: ojczyzna,
jest w tym kula syzyfowych lat,
jest w tym coś z heroizmu.
I to nie tylko jest wzroku siężenie —
jak oczodołów trupich w noc.
I to nie tylko, żeś w ziemię wrósł cieniem,
ale żeś w granit zawarta moc.
I tak już zawsze patrzeć bez zamknięcia powiek,*

w światło się worać i w ciemność zanurzyć,
oddzierać płatki aż zrozumiesz: człowiek
jak czarne serce spopielaje różę.

Skala wierszy, od *Wczorajszemu* po *Do potomnego* Gajcego tę świadomość własnego miejsca i znaczenia niejednokrotnie potwierdza, uważna zaś lektura cytowanych utworów pozwala wyrobić sobie zupełnie wyraźny osąd o słuszności przekonania ich autorów. Nawiasem mówiąc, cytatów Bartelski na szczęście nie poskąpił, tym sposobem poszerzając swą książkę do rozmiarów wcale przyzwoitej, choć z konieczności wyrwykowej antologii najlepszych wierszy SiNu, dotychczas rozsianych po czasopiśmie lub — jak w odosobnionym przypadku Baczyńskiego — pieczołowicie zebranych pod jedną okładką przez nieustrudzonego Kazimierza Wykę. Cytaty te często uzupełnia próba analizy krytycznej, miejscami bardzo trafnej, miejscami ograniczonej do komentowania cytowanego fragmentu, w sumie jednak dająca ogólną charakterystykę „szkoły warszawskiej”, której wspólną cechą był „lęk przed patosem... ów lęk, który wymagał od literatury intelektualnych rozwiązań, bo w płaszczyźnie czysto uczuciowych znaczeń prowadził do patriotycznego banału” (s. 68-69).

Ale tu redakcja wydawnictwa raz jeszcze nie sprostała zadaniu. Typ książki tego rodzaju obyć się nie może bez bibliografii i indeksu, dziwnie jakoś w zbyt wielu publikacjach Wydawnictwa Literackiego lekceważonych; zgrupowane na końcu tomu przypisy nie mają odsyłaczy w tekście, a krótkie biografie są właściwie skondensowanym powtórzeniem rzeczy już raz powiedzianych, w dodatku różniąc się nieraz dość zasadniczo od bardziej chyba oficjalnej wersji, jaką podaje *Słownik współczesnych pisarzy polskich*, nota bene też nie wolny od błędów (np. Baczyński zginął na Starym Mieście, podczas gdy w istocie poległ on w obronie Ratusza).

Za przeoczenia i potknięcia tego typu trudno jednak winić autora. Bartelski oddał sprawiedliwość swej trudnej epoce. Połączwszy element osobistych wspomnień a nierzadko i wzruszeń z charakterystykami sylwetek i twórczości poetów SiNu stworzył ich obraz w sposób możliwie najpełniejszy. Ci, którzy idąc za Liebertem „uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać musieli” ukazani zostali w *Genealogii ocalonych* jako krótkotrwała lecz wybitna grupa poetycka, której miejsce w historii literatury dotychczas nie było sprecyzowane w kategoriach innych jak wspólnota okresu czasowego. Ocalały ich utwory i większość z nich doczekała się po wojnie właściwych ocen krytycznych, dopiero jednak książka Bartelskiego potrafiła ukazać jako pełne środowisko literackie tych, którzy dzięki swej poezji sami ocalili na zawsze.

O pojednanie polsko-niemieckie

Pod uczuciowym tytułem (1), zaczerpniętym ze złowrogiego sloganu, stawia Aleksander Bregman w świeżo wydanej książce zagadnienie pojednania polsko-niemieckiego.

„Jak świat światem?” zawiera w znaku zapytania zapowiedź walki z formułą, o której niełatwo powiedzieć, aby była tylko przesadą. Pierwsza część książki zawiera sprawozdania z obserwacji i z licznych rozmów, przeprowadzonych przez autora z osobistościami, często wybitnie miarodajnymi, w czasie jego podróży do Niemiec, odbytej półtora roku temu. Stanowi ona jednocześnie wyposażenie informacyjne dla części drugiej, wypełnionej rozważaniami i wnioskami natury politycznej. Całość pracowniczego zebranego materiału nadaje książce niemałą wartość i stawia ją na poziomie, przewyższającym teoretyczną spekulację intelektualną, przeprowadzoną w ciszy bibliotecznego zakątka, z dala od realnego życia. Umożliwia to jednocześnie kontrolę rozważań i własnych wniosków autora, zawartych w ośmiu rozdziałach części drugiej. Porównując obie części, nietrudno zauważyć, że wyniki poczynionych obserwacji obudziły w umyśle autora poczucie misji. Nie będzie chyba sprzeczne z jego intencjami stwierdzenie, że książka ma za zadanie działanie w kierunku pojednania polsko-niemieckiego i że autor uznał za najważniejszy punkt wyjścia rozprawę z legendą o wrogu „dziedzicznym”, zakładającą niejako fatalistyczną nieuniknioność złych stosunków polsko-niemieckich.

Mimo trafności, oraz historycznej ścisłości wielu argumentów, wywody, zmierzające do wykazania, że Niemcy nie byli naszym „dziedzicznym” wrogiem, nie odznaczają się taką siłą przekonywania, jakiejbyśmy pragnęli. Możliwe, że chodzi o znaczenie słów, którego przy rozpatrywaniu stosunków polsko-niemieckich, nie można nie brać pod uwagę. Wrogi stosunek Niemiec do Polski, choć nie posiada nieprzerwanej ciągłości, obfituje w okresy, trwające wiekami. Ostatni okres, rozpoczęty w połowie XVIII wieku, w przededniu rozbiorów, trwał prawie bez przerwy do wybuchu drugiej wojny światowej, nabierając coraz bardziej dramatycznego napięcia, wyładowanego ostatecznie w koszmarną i nieludzką zbrodnię hitleryzmu. Dwa wieki mogą zasługiwać na epitet „dziedziczności”, przecież to okres życia ośmiu pokoleń. Fakt, że od pokoju toruńskiego aż do połowy XVIII wieku granica polsko-niemiecka rzadko czerwieniła się łuną pożarów, tłumaczy się, najpierw, stosunkową potęgą Polski po-Jagiellońskiej, a następnie kłopotami wewnętrznymi Niemiec i ich związaniem na innych granicach. A w dawniejszą jeszcze przeszłość nie warto się zagłębiać.

(1) Aleksander Bregman: *Jak świat światem?*?, nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn 1964.

Tej wrogiej ciągłości wcale nie obalają fakty przejściowego i krótkotrwałego złagodzenia, jak w okresie „wiosny ludów”, lub w czasie niedoszłej do skutku próby porozumienia w epoce stanisławowskiej. Parcie niemieckie na wschód było zjawiskiem, historycznie ponad wszelką wątpliwość stwierdzonym. Można by, w najlepszym razie, zgodzić się, że w pewnym okresie, na skutek osłabienia cesarstwa Habsburgów, realizatorami „Drang nach Osten” stały się Prusy, które także i państwowemu niemieckiemu narzucały swoją wolę, często przy użyciu siły.

W celu obalenia legendy o „dziedzicznym” wrogu niemieckim posługuje się Bregman tezą o prawdziwszym wrogu „dziedzicznym”, a mianowicie rosyjskim. Jedno nie wyklucza drugiego. W wyniku obydwóch parć, niemieckiego na wschód i rosyjsko-sowieckiego na zachód, znaleźliśmy się w dzisiejszym położeniu.

„Dziedzicznie” wrogi stosunek pomiędzy państwami, a nawet narodami, nie musi koniecznie wynikać z pobudek patologicznych, jak nienawiść, nawet gdy w pewnym okresie, jak hitlerowski, nabiera cech patologicznych. Wydaje mi się, że posuwanie się w naszym kierunku dwóch kół młyńskich, ze wschodu i zachodu, miało swoje uzasadnienie nietyle w dziedzinie patologii, ile w ówczesnych nakazach tzw. racji stanu, w przesłankach gospodarczych, w swoiście rozumianych koniecznościach bezpieczeństwa, słowem w elementach historii. Ważne jest pytanie, w jakim stopniu te elementy, do niedawna odgrywające rolę motorów, straciły na aktualności na skutek rewolucji technicznej drugiej połowy XX wieku.

Tak, jak medycyna leczy choroby dziedziczne, może wygasnąć również dziedziczna wrogość między narodami. „Dziedziczny” niemiecki wróg niekoniecznie musi być wrogiem wiekuistym, zwłaszcza, gdy chodzi o przyszłość. I chyba na tę stronę zagadnienia, jako na jedynie istotną, powinien być Bregman skierować główny swój wysiłek perswazyjny.

Wychodząc z tej podstawy, wkraczamy od razu w zagadnienia aktualne, takie, jak granica na Odrze i Nysie, podział czy zjednoczenie Niemiec, związek pomiędzy odzyskaniem niepodległości przez Polskę, a powrotem Niemiec Wschodnich na łono ogólnoniemieckiej macierzy.

Wydaje się, że podany w pierwszej części książki materiał sprawozdawczy z licznych rozmów, przeprowadzonych z politykami i działaczami niemieckimi wszystkich kierunków politycznych i stosunkowo niedawno, upoważnia autora do twierdzenia, że Niemcy zdają sobie sprawę z niemożliwości odzyskania ziem, straconych na rzecz Polski, bez wojny. Nie ulega również wątpliwości, że przytłaczająca większość Niemców, w obecnym stanie umysłów przynajmniej, wojny nie chce i nie wyobraża sobie możliwości prowadzenia jej samodzielnie. Z odpowiedzi, które Bregman otrzymał na swoje bardzo precyzyjne pytania zdaje się wynikać również, że istnieje pewna ilość Niemców i to we wszystkich warstwach społecznych i na różnych szczeblach hierarchii społecznej, którzy uważają granicę nad Odrą i Nysą za przesądzo-

ną i nawet gotowi są z nią się pogodzić. Na co jednak ankieta Bregmana nie daje wyraźnej odpowiedzi, bo zresztą jej dać nie mogła, to na zasadnicze dla Polaka pytanie, czy i w jakim stopniu Niemcy usunęli rewizję granicy z Polską raz na zawsze ze swojej idei państwowej.

Pytaniu temu nie odbiera aktualności umiejscowienie przez autora ośrodków rewizjonistycznych w związkach uchodźczych, w ich kadrze urzędniczej i w wymierającym pokoleniu wysiedleńców. Nawet niewątpliwy fakt asymilacji młodego pokolenia wychodźczego i jego obojętność na hasła rewizjonistyczne nie dają całkowitej pewności wyrzeczenia się przez naród niemiecki, a może jeszcze bardziej przez państwo niemieckie dążeń do odzyskania granic z roku 1937. Czym bowiem tłumaczyć oświadczenia rewizjonistyczne polityków, sprawujących władzę, a więc odpowiedzialnych za swoje słowa, jak niedawno Adenauer, a obecnie Erhard?

Bregman znajduje to wytłumaczenie we względach wyborczych i powtarza pod adresem Niemców powstałą w polskich kołach emigracyjnych propozycję wspólnej, czy jednoczesnej deklaracji trzech głównych stronnictw niemieckich o uznaniu linii Odry i Nysy, jako ostatecznej granicy wschodniej państwa niemieckiego po zjednoczeniu. Istotnie, do pewnego czasu głosy przesiedlonych i uchodźców będą ważyły na szansach kandydatów do parlamentu i innych ciał kolegialnych, pochodzących z wyboru, zwłaszcza przy nieznacznej różnicy w wyborczym stanie posiadania chrześcijańskich demokratów i socjalistów. Jest jednak faktem, że główne niemieckie stronnictwa polityczne ciągle jeszcze nie uznają za możliwe dla siebie złożenie takiej deklaracji i nie ma oznak na to, aby miały zamiar wszcząć z sobą na ten temat rozmowy. Wszystko zdaje się wskazywać, że sfery kierownicze w Republice Federalnej albo świadomie odkładają do bardziej sprzyjających okoliczności zajęcie stanowiska w sprawie granicy wschodniej, albo nawet łudzą się, że ewolucja stosunków międzynarodowych doprowadzi je w jakiś nieokreślony jeszcze sposób do odzyskania polskich ziem zachodnich. Za chwilę będziemy mogli wykazać, dlaczego te niewyznane zamiary mogą się zwrócić przeciwko jak najbardziej żywotnym interesom samych Niemców. W tym miejscu wystarczy stwierdzić, że w sprawie granicy Niemcy nie robią nic, przynajmniej na torze oficjalnym, aby przygotować pojednanie z Polską. Wolno zatem przypuszczać, że, jak do tej pory, nie bardzo im na tym pojednaniu zależy.

Z kolei autor „Jak świat światem?” stara się przekonać nas, że zjednoczenie Niemiec leży w interesie Polski. Z punktu widzenia samej logiki rozumowanie jest prawidłowe. Istotnie, nie można sobie wyobrazić Polski niepodległej i suwerennej, oddzielonej od Europy przez satelickie państwo wschodnio niemieckie, okupowane przez wojska sowieckie. Ale z polskiego punktu widzenia nie może być mowy o zjednoczeniu Niemiec, dopóki granica nad Odrą i Nysą nie będzie przez Niemców uznana. Więcej, z polskiego punktu widzenia nie może być mowy o zjednoczeniu Nie-

miec bez jednoczesnego powrotu Polski do pełnej suwerenności, połączonej z wyjściem z orbity sowieckiej. Samo bowiem uznanie polskiej granicy zachodniej może oznaczać także ulegalizowanie żelaznej kurtyny, utrwalenie podziału Europy na sowiecką i wolną, zamianę Polski i innych państw satelickich na sowieckie marchie graniczne, ze wszystkimi, mogącymi wyniknąć stąd skutkami. Zabiegi niemieckie, ograniczone do samego zjednoczenia, choćby nawet połączone z uznaniem Odry i Nysy, zagrażają utrwaleniem zależności Polski i innych państw satelickich od Związku Radzieckiego i dlatego muszą wywoływać wrogi stosunek opinii publicznej tych krajów, a w następstwie — wzmacniać spistość bloku komunistycznego. Pojednanie z Polską, jeżeli naprawdę Niemców interesuje, wymaga z ich strony włączenia sprawy zjednoczenia w ramy szerszego planu rozwiązywania całości zagadnień, wynikłych na skutek ostatniej wojny.



Pojednanie polsko-niemieckie zależy jednak nie tylko od zgody pomiędzy dwoma narodami, ale od rozwoju sytuacji międzynarodowej.

O ile trudności psychiczne, utrudniające Niemcom przekroczenie Rubikonu, polegającego na uznaniu linii Odry i Nysy można zrozumieć, chociaż nie oznacza to usprawiedliwienia, o tyle milczenie w tej sprawie przodujących wolnemu światu państw anglosaskich, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, nie wytrzymuje najłagodniejszej krytyki. Ich oświadczenie formalne, choćby takie, jakie w roku 1959 złożył generał de Gaulle, stawiając Niemcom jako warunek zjednoczenia, poszanowanie obecnych granic na wschodzie i gdzie indziej, przyspieszyłoby pogodzenie się ze stanem rzeczy, którego zmienić nie można, a którego nieuznawanie opóźnia proces zjednoczenia Niemiec i Europy. Według Bregmana, odłożenie ostatecznego uregulowania sprawy do traktatu pokojowego, który prawdopodobnie nigdy nie będzie zawarty, „był to ze strony przywódców anglosaskich akt tchórzostwa. Podejmowali decyzję, którą traktowali, jako ostateczną. Dlaczego więc nie mieli odwagi tego jasno powiedzieć?”. Trudno nie przyłączyć się do tego pytania.

Utrzymując dzisiejszy stan rzeczy, mogą Stany Zjednoczone usztywniać bardzo długo, ogromnym kosztem i w stałym napięciu równowagę amerykańsko-sowiecką na obszarze Europy, ale problemu europejskiego z całą pewnością rozwiązać nie potrafią. Sprawa niemiecka, jak zresztą sprawa krajów wschodnio europejskich, to nie są samoistne zagadnienia. To są elementy składowe zagadnienia europejskiego, a ono dopiero jest samoistne. Niezrozumienie tego zjawiska jest główną przyczyną trudności, z którymi Ameryka spotyka się w Europie, zarówno ze strony Francji, jak nawet gdy chodzi o przyszłość stosunków sowiecko-amerykańskich.



Wspominanie przy różnych okazjach, jak chociażby w czasie sesji Rady Sojuszu Atlantyckiego w maju tego roku, o zjednoczeniu Niemiec, jest bezcelową frazeologią, nie prowadzącą do żadnego celu. Zjednoczenie Niemiec nie może stanowić tematu negocjacji z Sowietami, dopóki linia Odry i Nysy nie będzie ostatecznie uznana, ale i to nawet nie jest warunkiem jedynym. W obecnym stanie rzeczy tematem negocjacji mogą być tylko znane już propozycje sowieckie, zmierzające do uznania Wschodnich Niemiec i neutralizacji Berlina, czyli do ulegalizowania żelaznej kurtyny, jaka istnieje w tej chwili. Są publicyści, a nawet politycy, którzy przypuszczają, że Sowiety staną się bardziej skłonne do rozmów na temat zjednoczenia Niemiec, gdy wzrost zagrożenia ze strony Chin, oraz konieczności ekonomiczne zaczną je zmuszać do poszukiwania w szybszym, niż obecnie tempie porozumienia z Ameryką. W rzeczywistości może się stać akurat na odwrót. Im bardziej narastać będzie w Rosji dążenie do porozumienia ze Stanami Zjedn., tym bardziej nieustępliwe będzie ich stanowisko w sprawie zjednoczenia Niemiec. Jest dla Sowietów, jak zresztą dla każdego państwa, co najmniej niewygodnie uzależniać się od sojusznika, w tym wypadku dopiero przypuszczalnego, na całej linii swego frontu politycznego i terytorialnego, zwłaszcza, gdy ten sojusznik używałby, jako ostrza lancy swego ugrupowania europejskiego, potężnych zasobów zasobów zjednoczonego państwa niemieckiego. W obecnym układzie sił politycznych na świecie, opartym o równowagę nuklearną, Kreml będzie wolał utrzymać podział Niemiec, wiedząc, że nikt, poza Niemcami nie będzie naprawdę kruszył kopii o zjednoczenie.

Zjednoczenia Niemiec nie można osiągnąć inaczej, jak w ramach rozwiązywania europejskiego, a więc przy uwzględnieniu interesów zarówno Europy Zachodniej, jak i środkowo-wschodniej. Polityka amerykańska błąkać się będzie na peryferiach zagadnienia, dopóki z tego stanu rzeczy nie wyciągnie właściwych wniosków.



Co jednak zastanawia w tej sytuacji, to że ani Bregman, ani żaden polski publicysta, czy polityk, nie bierze pod uwagę gaullistowskiej idei Europy samodzielnej i zjednoczonej, chociaż zaczyna ona interesować coraz więcej umysłów na świecie. Gdy czytam w uchwałach różnych polskich organizacji lub w artykułach publicystów, rzekomo europejskich, wzmianki o niejasności lub o mętności programu de Gaulle'a, to nie mogę się oprzeć wrażeniu, że chodzi o zwykłe uprzedzenie. Koncepcji europejskiej de Gaulle'a wolno nie uznawać, ale trzeba wówczas przeciwstawić jej inną, mniej „mętną”. Jak dotychczas, zarówno Amerykanie, jak „Europejczycy”, z polskimi włącznie, ograniczają się albo do ogólników, albo do działania w kierunku rozwodnienia Europy w wodach atlantyckich, w sposób zresztą pozbawiony wszelkiej precyzji, a za to pełen sprzeczności, jak formuła integracji, połączona

z żądaniem udziału Anglii w miksturze, z którą żaden Anglik nigdy się nie pogodzi.

W rzeczywistości Europa samodzielna, wychodząc z orbity amerykańskiej, przestałaby zagrażać europejskiemu skrzydłu sowieckiego uszykowania strategicznego, zwłaszcza, gdyby była oparta o ideę francuską, dobrowolnie przyjętą przez Niemcy i inne państwa europejskie. Zjednoczenie Niemiec, które przy tym rozwiązaniu straciłyby rolę ostrza lancy Sojuszu Atlantycznego, zasłużyłoby wówczas na namysł ze strony rosyjskiej, zwłaszcza, gdyby było dodatkowo skompensowane spotęgowaniem wymiany handlowej sowiecko-europejskiej. Stworzenie takiej Europy uzasadniałoby postulat jednoczesnego wyłączenia z orbity sowieckiej i wyposażenia w specjalny statut, zbliżający je do Europy, tych satelitów europejskich, którzy posiadali suwerenność państwową w okresie pomiędzy dwiema wojnami, a dziś stanowią graniczące z Niemcami marchie sowieckiego imperium. Ich bowiem obecność w zespole europejskim zapewniałaby trwałość francuskiej idei prawdziwej niepodległości Europy, zapobiegałaby możliwości hegemonii niemieckiej po zejściu de Gaulle'a ze sceny politycznej, zwalniałaby Sowiety z konieczności ciągłej i kosztownej czujności na tym skrzydle frontu sowieckiego, które Kreml może pragnąłby traktować z czasem jako drugorzędne.

Sądzę, że większe niż dotychczas zainteresowanie Polaków koncepcją de Gaulle'a może prowadzić albo do przyspieszenia decyzji rządu amerykańskiego w sprawie opracowania programu jakiejś polityki europejskiej, obejmującej całość zagadnienia, a nie tylko jego niemiecki ułamek, albo do zorientowania Niemców, że droga do zjednoczenia prowadzi przez poparcie polityki de Gaulle'a i dążenie do Europy samodzielnej, w jej historycznych granicach. Byłaby to także droga pojednania polsko-niemieckiego. Lękam się jednak, że Niemcy szybciej niż Polacy zrozumieją wszystkie korzyści, które im i Europie może przynieść koncepcja de Gaulle'a.



Nie można się dziwić zaniepokojeniu, z jakim Bregman analizuje panującą w Polsce psychozę lęku przed niemieckim rewizjonizmem. Jest to dziedzina, w której interesy imperium sowieckiego i partii komunistycznej osiągnęły więcej sukcesów, niż w zakresie doktryny marksistowskiej. O ile w Niemczech niemal dziecko zdaje sobie sprawę z niemożliwości zmiany terytorialnego stanu posiadania na wschodzie bez wojny, której nikt nie chce, o tyle w Polsce nie ma pełnej świadomości faktu, że Niemcy samodzielnie żadnej wojny w epoce nuklearnej prowadzić nie mogą, oraz że Stany Zjedn. nie rozpętają nigdy zatargu zbrojnego dla sprawienia przyjemności związkom ziomkowskim.

Niezależnie od wyimaginowanego zagrożenia bezpośredniego pisze Bregman o panującym w Polsce lęku przed możliwością nowego podziału Polski, lub choćby tylko ustępstw terytorialnych

w zamian za ewentualne przejście Niemiec do obozu sowieckiego. Zwraca przy tym słusznie uwagę, że ta operacja nie może interesować ani Niemiec, ani Związku Sowieckiego. Nawet kraje gospodarczo niedorozwinięte, jeżeli przyjmują ustrój komunistyczny, to na skutek podboju, albo opanowania władzy przez partię drogą gwałtu. Jaki interes mieliby Niemcy w poświęcaniu wolności i nieprawdopodobnego dobrobytu wszystkich klas społecznych dla odzyskania obszaru, który przestał być niemiecki, gdy nie ma na nim niemieckiej ludności? W niektórych umysłach, zarażonych psychozą wroga wiekuiatego, utrzymują się jeszcze wspomnienia doktryny narodu panów i życiowej przestrzeni. Ale Niemcy — oczywiście Niemcy Federalne — wiedzą, że chociaż państwo niemieckie nigdy w swej historii nie było tak małe terytorialnie, jak obecnie, nigdy nie było tak bogate i nigdy jego ludność nie znała podobnego dobrobytu. Nigdy teoria o przestrzeni życiowej jako o warunku rozwoju gospodarczego nie okazała się tak kłamliwą i tak nieinteligentną, jak w wypadku Niemiec. Odkładając na bok nostalgię uchodźców, rewizjonizm niemiecki zdaje się wynikać bardziej z braku wśród Niemców jakiegokolwiek polityki polskiej, niż z potrzeb, lub z konieczności rozwoju państwowego. Jest to groźne dla samych Niemców przede wszystkim, gdyż opóźnia procesy konieczne, jak zjednoczenie w ramach samodzielnej Europy historycznej.

Ale słusznie Bregman zauważa, że i z sowieckiego punktu widzenia posiadanie potężnego komunistycznego sąsiada na europejskich kresach sowieckiego imperium przestało być, jeżeli kiedykolwiek było atrakcyjne.

Ostatecznie, przesuwając Polskę nad Odrę i Nysę, realizował Stalin starą ideę, nazywaną programem Piotra Wielkiego, a wskazującą imperializmowi rosyjskiemu, jako cele, opanowanie dostępu do niezamarzających mórz i kontrolę europejskich szlaków handlowych. Na skutek doświadczeń dwóch wojen światowych chodziło także o jak najdalsze odrzucenie granicy niemieckiego zasięgu kulturalnego i politycznego na wschodzie. Stalinowi zależało również na przybliżeniu ku Europie Zachodniej baz rewolucji, względ, który w naszych czasach stracił wszelkie znaczenie, z powodu zaniku warunków obiektywnych dla zwycięstwa komunizmu w wysoko uprzemysłowionych krajach Zachodu.

Podobnie przedstawia się wartość pojawiających się tu i ówdzie pogłosek na temat drobnych ustępstw terytorialnych dla wzmocnienia pozycji Ulbrichta. Podobno w ciągu roku 1963 Sowiety sondowały kierownictwo polskiej partii komunistycznej na temat drobnych ustępstw terytorialnych w okolicach Szczecina, w celu podmurowania autorytetu Ulbrichta, w zamian za ewentualne odstąpienie Polsce jakiegoś pasa pogranicznego w obszarze Lwowa. Potknięcie to było niewątpliwie chwilowe, a w każdym razie sprzeczne z całą, dotychczasową linią rozwoju sowieckiej polityki zagranicznej. Jak wiemy, Moskwa znalazła inny sposób pospieszenia z pomocą najgorliwyszemu ze swych lenników, podpisując z nim w czerwcu rb. pakt o 20-letniej gwarancji.

Oddanie Szczecina z okolicą burzyłoby autorytet Sowietów w świecie komunistycznym, zmuszałoby 30 milionów Polaków do bezwzględnej walki z Rosją, dostarczałoby wspaniałej pożywki propagandzie chińskiej, apetytów niemieckich by nie zaspokoilo, a miłości dla Ulbrychta nie wywołało. Byłaby to operacja nieopłacalna, a Sowiety, jak dotychczas, nie miały zwyczaju robić czegoś, co by się nie opłacało. Jakkolwiek będą brzmiały te słowa dla ortodoksyjnego ucha emigracyjnego, jestem przekonany, że Sowiety traktują granicę nad Odrą i Nysą jako ostateczną i w tym sensie są jej gwarantem, nawet bez względu na ich stosunek do Polski. Chodzi o to, aby nie były gwarantem wyłącznym. O tym zaś tylko zachód i sami Niemcy mogą zdecydować. Polska dzisiejsza, pozbawiona możliwości prowadzenia samodzielnej polityki zagranicznej, nie może być sojusznikiem Rosji, lecz tylko jej lennikiem. Ale Polska wolna nie dałaby się z pewnością zepchnąć z linii Odry i Nysy, przyczyniając się w ten sposób do scementowania Europy, jako całości samodzielnej, nie zaangażowanej po stronie żadnego z dwóch super-mocarstw.



Obiema rękami można się podpisać pod protestem Bregmana przeciw różnym elukubracjom emigracyjnym, zabraniającym rozmów z Niemcami, dopóki nie spełnią oni warunku wstępnego, polegającego na uznaniu Odry i Nysy. Nawet reżym zajął inteligentniejszą postawę, dopuszczając do Warszawy wielką, niemiecką misję handlową pod kierownictwem zawodowego dyplomaty. Podobne zakazy dowodzą tylko braku zmysłu politycznego, a nawet poczucia rzeczywistości. Ostatecznie, Republika Federalna nie znajduje się obecnie w sytuacji, sprzyjającej wysuwaniu pod jej adresem żądań ultymatywnych. Rozmawiać trzeba, choćby po to, aby tłumaczyć Niemcom konieczność pogodzenia się ze *status quo* terytorialnym i przekonywać ich o zależności, istniejącej pomiędzy postulatem zjednoczenia i postulatem jednoczesnego wyłuskania z orbity sowieckiej jej europejskich satelitów z Polską na czele. Każdy wysiłek, choćby tylko indywidualny — jak np. — rozmowy Bregmana — jest cenny i użyteczny. Oczywiście, nikomu nie wolno zaciągać zobowiązań w imieniu całego narodu, ale to jest sprawa znajomości alfabetu politycznego, bez czego do działalności politycznej zabierać się nie wolno.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

”...Zabawy, spory w one lata”

Najlepszą pochwałą, jaką można oddać ostatniej gawędzie Jana Bielatowicza (1), to stwierdzić, że z równym zainteresowaniem i z równą przyjemnością przeczytają ją byli wychowankowie Jagiellońskiej Wszechnicy, znający przedwojenną jej rzeczywistość z własnego w niej uczestnictwa, jak czytelnik, który się z tamtą rzeczywistością dopiero dzięki wspomnieniom autora zapoznaje i nawet — jak w tym wypadku — spoufala. Pierwszy sprawdzian mówi o trafności ewokacji, drugi o jej plastyce i kolorze: o tym że żyje ona również własnym życiem a nie tylko odwoływaniem się do pamięci i do *pretium affectionis* tzw. weteranów. Przewagę nad nami, krakowianinami, daje przy tym Bielatowiczowi już okoliczność, że na studia do Krakowa przybył on aż... z Tarnowa. — „Ależ to bliżej — powiecie z uśmiechem — niż z paryskiej *banlieue* do Sorbony?”. Pomyłka. Wtedy odległość liczyła się inaczej: „całe dwie godziny” i to nie banalnie roztargnionego *deplacement* podmiejską kolejką, ale prawdziwej podróży. Dzięki czemu, razem z autorem i jego koszyczkiem na ramieniu, również czytelnik zaczyna od wyprawy do „dalekiego” Krakowa, potem od zapoznania się z geografią i z dobrodziejstwem inwentarza podnajmowanych stancji. Co więcej: podczas gdy my krakowianie, znaleźmy topografię uniwersyteckich budynków już od naszych lat szczenięcych, Bielatowicz umie zręcznie, z humorem i z świeżością odtworzyć drogę przybysza z prowincji, który — krok za krokiem — w ten nowy dla niego świat dopiero się wtajemnicza.

Suivez le guide! Postępując za nim, obejdziecie kolejno uczelniane budynki i sale wykładowe, Bibliotekę Jagiellońską i pracownię, ślubowanie studenckie i roku akademickiego inaugurację, kwesturę z jej personelem i misteria indeksów z ich nominami, janitora, dziekanat i pedelów. Przy każdej okazji usłużny przewodnik udzieli wam w pastylce również garść szczegółów, dotyczących historii: bez pedanterii ale wiernie i bez wiatrologii, tyle jedynie ale i wystarczająco, żeby dostatecznie umiejscowić, uzmysłowić zorientować.

Do najcenniejszych stronic gawędy Bielatowicza należą bez wątpienia kreślone przez niego konterfekty wykładowców. Profesorom polonistyki — świetnie zagęszczone portrety: Ignacy Chrza-

(1) *Gaude Mater Polonia. Wspomnienia o U.J.*; T. CI Biblioteki „Kultury”. Instytut Literacki, Paryż, 1964.

nowski, „wysoki prosty, urodziwy, z lśniącą srebrną grzywą, (...) dozujący bogate rejestry wzniosłości, smutku, żalu, rozpachy, tkliwości, gniewu i patosu”, ale zarazem uroczo serdeczny i dowcipny sypiący anegdotami i żartami. Stanisław Pigoń, erudyta wręcz niesamowity, „kryształowej uczciwości i dobroci (...), zawsze na usługi młodzieży, (...) skory do pomocy i rady, (...)”, a przy tym jak mało kto bezstronny i odważny”, szukający w czasie wykładu „stosownych słów jakby robił młotem” i w którego mowie „słychać było jak na dnie górskiego potoku huk toczących się spodem nurtu kamieni”. Postrach studentów (i nie tylko studentów) Kazimierz Nitsch, „z głową pochyloną jak do ataku, z capią bródką, za grubymi szklami, prychający z niecierpliwością”, ale też mistrz nieprześcigniony polskiej dialektologii, znający mowę nie tylko każdej wsi, ale każdej części wsi, „za potokiem i przed potokiem”, należący „do tych nielicznych uczonych polskich, którzy wykonali w całości zadania swojego życia”.

Że profesorów, lektorów i asystentów polonistyki maluje Bielatowicz wszystkich po kolei, z natury, z bliska i z rozmachem, tłumaczy się łatwo. Bardziej zadziwiające, że z równą werwą potrafi on mnożyć sylwetki, miniatury lub migawki również wykładowców z innych dyscyplin i (choć „wielka to śmiałość dmuchać w cudzą kaszę”) z innych wydziałów, w tym dowcipnie zróżnicowaną galerię profesorów prawa, ba — nawet medycyny! Jego piórem kieruje przy tym (i słusznie!) raczej skala tzw. *pittoresque* niż hierarchia ważności. Wynikają z tego tytułu tu i tam, to prawda, niejake dysproporcje, czasem spore. Podczas gdy np. znakomity anglista prof. Roman Dybowski, socjolog, prof. Jan St. Bystroń (czy szereg innych) wspomniani bywają albo nawiasowo albo w trzech czy najwyżej w czterech zdaniach, wielu lektorów posiada prawo do charakterystyk szerokich, nadziewanych cytatami i wyposażonych z reguły w szczerze zabawne anegdoty. Dysproporcje te wynikają z samego rodzaju gawędy; tylko nudziarz i pedant czyniłby z nich zarzut autorowi. Z małymi wszakże, tu i tam, wyjątkami. Myślę m.in. o romanistce: obok rozpastelowanego portretu *grandeur nature* prof. Wł. Folkierskiego i ujmującej sylwetki lektora Pierre Bernard (w tym kilka dobrych powiedzonek ale też jeden dowcip bardzo stary i nawet w tamtych już czasach okrutnie wyświechtany, tyle że przeszarżowany dodatkową i — szczegół zupełnie u Bielatowicza wyjątkowy — raczej wątpliwego smaku niż dowcipną nad-puentą), ani jednego zdania, ba — nawet jednego słowa o wybitnym romaniście i humaniście naprawdę europejskiej miary — prof. Stanisławie Wędkiewiczu. Jakby nie było, fresk jakim Bielatowicz darzy czytelnika jest barwny, żywy i bogaty. Do tego stopnia, że — wciągnięty w grę — czytelnik widzi się na nowo — o uroczych wdrożeniach u

prof. Chrzanowskiego i o niezapomnianych seminariach prof. Pigonia już nie mówiąc — przed okularami, bródką i nerwami „Mistrza z Gontyny” (tak nazwał prof. Nitscha Stefan Żeromski, o czym z wyborną mieszaniną łagodnej ironii i uznania lubił przypominać prof. Chrzanowski). I, jeżeli już koniecznie „prostować” z sztubackim wścibstwem, to zaledwie tak „doniosłe” szczegóły, jak ten że miodosytia „Pod Krzyżykiem” mieściła się nie na Stradomiu, lecz przy ul. Krakowskiej. Albo (serdeczny śmiech ukrywając): — Myli się Bielatowicz pisząc, jakoby na pytanie prof. Windakiewicza o „Pana Tadeusza” należało odpowiedzieć: „Historia niedokończonego sądu Podkomorzego”. Poprawna odpowiedź miała bowiem zawierać tylko trzy słowa: „Nieudany kompromis Podkomorzego”. Ani słowa mniej, ani słowa więcej, i żadnego innego, niż te trzy.

Odmiennego typu uwag wymaga ostatnia część gawędy, poświęcona ruchom i związkom studenckim.



Mała dygresja: Wyprzedzając trzydziestoletni jubileusz partyjnych swoich święceń i zastrzegłszy się, że „nigdy nie był pisarzem politycznym”, Bielatowicz wartko i żwawo wytłumaczył kiedyś (w „Myśli Polskiej” 1961, nr 8) „dlaczego należy do Stronnictwa Narodowego”. Gdybyż tylko tyle! Za jednym zamachem, w tym samym artykule, czarno na białym udowodnił, że dla Polaków poza Endecją nie masz już zbawienia. Wszystkie inne partie, ugrupowania i kierunki to sypanie piaskiem do oczu, potworki, cudactwa, dziwolągi: „Boć socjaliści to tylko polska sekcja ruchu międzynarodowego”. — „Stronnictwa ludowe nie wyszły nigdy poza okres ząbkowania politycznego”. — „Wśród młodzieży, (endecy) to była jedyna (!) grupa, która nie tylko publicznie przejawiała przywiązanie do swojej idei, lecz walczyła o nią nie dbając o prześladowanie i przeciwności”. — Tylko Endecja „w ogóle jedyne ze stronnictw miała program realny”. — „Nie miał ten ruch nic wspólnego rzecz jasna (?), z faszyzmem”. Ponadto wyprany był doszczętnie z wszelkiej demagogii. I nade wszystko: po wszystkich zaburzeniach i przewrotach ostatniego ćwierćwiecza „żadne z założeń (Endecji) nie straciło na aktualności, niczego nie trzeba było po tylu latach odwoływać ani reformować”. Nie mówiąc już o takiej „oczywistości”, jak ta, że „komuniści obawiają się w Polsce tylko jednej alternatywy”: endeckiej.

Czyżby znaczyło to, że rewelacje te dają w najmniejszym choćby stopniu miarę, wskaźnik czy tylko próbkę jego prozy (którą — poza jubileuszowymi dopustami — bardzo lubię i cenię)? Ani trochę. Ta ostatnia bywa na szczęście, z całkowicie innego kruszcu.

(I jakże by inaczej? Tyle świata przemaszeraował i przemierzył, tyle nawidział się i doświadczył!). Tym niemniej, czyż (przeniesiony banią wspomnień na studenckiej młodości łono!) mógł się ich autor, bodaj na jedną chwilę, z tamtej optyki wyzwolić?

Do tej optyki ma on naturalnie święte prawo, jak każdy autor do swojej. Tyle, że po kilku dziesiątkach wcześniejszych i świetnych stronic jego gawędy, widzenie raptownie kurczy się, zwęża i (akurat w ustępach, których temat bardzo dużo dawał okazji do wymownych konfrontacji, do „opowieści o smaku i zapachu czasu i miejsca, o gestach, minach, uśmiechu”) wyraźnie matowieje. To prawda, że autor wspomina również inne — poza Endecją — ugrupowania i związki. Nawet z wyraźną wolą zachowania lojalności wobec politycznych innowierców. Kłopot w tym, że widzi ich z reguły tylko *en fonction de* albo *par rapport à* l'Endecja. O ludowcach np. mniej więcej tyle, że ten (do czasu) sojusznik Endecji był sojusznikiem chimerycznym a przywódcy janusowi, „gadudy, stękały i chłopki-roztropki”. O katolickim „Odrodzeniu”, że z racji oparcia o Kurię książęco-metropolitalną i o „Głos Narodu” — przywódcy jego sympatyzowali z „Młodzieżą Wszechpolską”, natomiast z rezerwą trzymał się Jerzy Turowicz” (i tyle — dosłownie! — tej charakterystyki Turowicza, który — zaliczany w tamtych latach do najinteligentniejszych działaczy młodzieżowych — ceniony był wysoko również przez przeciwników). „Myśl Mocarstwową” skwitował (słusznym!) komplementem, że była najczystiej ideową grupą pro-rządową, nieliczną ale wyborową; szkoda, że nie znalazł ani jednego zdania by uzmysłowić czytelnikowi, dlaczego — mimo opozycji do reprezentowanego przez nich programu — przywódcy tej grupy (bracia Pruszyńscy, Łubieński, inni) oraz ich interwencje cieszyły się szacunkiem i uwagą nawet kół lewicowych. (To była tymczasem kwestia tej — jakże istotnej! — różnicy między patriotyzmem a tzw. „hurra-patriotyzmem”, postawy obywatelskiej w praktyce, a nie tylko w sloganach, rzeczowości, poziomu). Może dlatego, że — z racji jej „niezaangażowania” — trudno ją było umiejscowić związkowo-politycznie, ani wzmianki o postawie *klerkizmu* (Kazimierz Wyka, Wacław Kubacki, inni) (2).

Cytując polonistów, którzy rozwijali działalność w różnych ideowych zrzeszeniach, mnie — po starej znajomości — przydzielił autor do „czołówki” Związku Niezależnej Młodzieży Socjali-

(2) Nawet wyliczając referentów dyskusji o „Prądach ideowych”, własnie Wyki sobie nie przypominał, mimo że cytowany w tekście komplement dr. Bolesława Drobniera pod adresem Bielatowicza był równocześnie skierowany przeciw „sceptycyzmowi” i „pesymizmowi” Wyki: Bielatowicza publicznie pochwalił Drobnier, Wyce — po wieczorze — osobiście pogratulował zajętego stanowiska i poziomu prof. Stanisław Pigoń.

stycznej. O tym samym ZNMS mówi na innym miejscu, że „stał na dobrą sprawę osobowością Józefa Cyrankiewicza, przy którego boku był nieodłączny Pollux — Maks. Boruchowicz” (czyli ja). Otóż przy boku czy nie przy boku, na dobrą czy na złą sprawę: owi Castor i Pollux (lub — jak ich inni nazywali — „Cyruchowicz i Borankiewicz”) to jedno (3). Natomiast ZNMS posiadał cały szereg własnych organizatorów, mówców i teoretyków (Władysław Malinowski, Zygmunt i Feliks Grossowie, Jerzy Gróski, Julian Hochfeld, Wiktor Ehrenpreis, Adam Rysiewicz itd.). Za to *akurat* i ów Castor i ów Pollux, *chociaż socjaliści*, nie tylko nie należeli do przywódców ZNMS-u, ale... nie byli nawet jego członkami. (Dla dokładności: w przedostatnim już okresie, Cyrankiewicz, dla uniknięcia błędnych komentarzy na zewnątrz, zgłosił formalnie przystąpienie do ZNMS, ale też na tym wyczerpała się jego działalność na wewnątrz ZNMS). Poza tym: czy w istocie ZNMS był — jak pisze Bielatowicz — „ciągle szarpany wewnętrznymi rozłamami, rozwarstwieniami i podkopami komunistów”? Za „kadencji” (by to tak nazwać dla skrótu) Malinowskiego i F. Grossa oraz bezpośrednich ich następców, ZNMS stanowił po prostu akademicką sekcję P.P.S. W późniejszym okresie bywały czasowe (wcale niegroźne, bez większego wpływu, dotyczące raczej tzw. taktyki i zresztą naturalne w każdej partii) opozycyjki ZNMS *na wewnątrz* P.P.S., ale nie posiadały one tendencji komunistycznych. Komuniści mieli zresztą na U.J. swój własny związek (z Marianem Jabłońskim, Ignacym Hennerem, Zbigniewem Brykiem, Juliuszem Kanferem, Marią Stępień i in.): zrazu oficjalne „Życie”, a po jego zamknięciu (w końcu 1932) tzw. „O.M.S. Życie”, wreszcie — w ostatnim okresie — tzw. „Lewicę Akademicką”. Wiadomo mi o „szarpaniach i rozwarstwieniach” u komunistów (naprzód za sprawą trockistów, później w rezultacie rozczarowań po moskiewskich procesach, na koniec wskutek rozwiązania P.K.P.); nie wiadomo mi o żadnym udanym „podkopie” komunistów w ZNMS, ani o komunistycznej postawie któregokolwiek z działaczy ZNMS.

(3) Swoją drogą: tyle istnieje rzemiosł w Polsce i na świecie, a Cyrankiewicz musiał wybrać, jak na złość, rzemiosło premiera. Wtedy tyle razy z szampańskim humorem, „groziliśmy” sobie wzajemnie przyszłymi wspomnieniami, a teraz co? Gdyby nawet spisać ich trochę i ogłosić, zraża dobrze myślących i w kraju i na emigracji. I z tej samej przyczyny: jedni i drudzy chcieliby koniecznie, by pre-datować. I co najciekawsze: dokładnie w tym samym kierunku. Toteż bardzo doceniłem taki np. incydent: Zdarzyło się, że — z właściwą mu serdecznością (i... sentymentem dla — co tu gadać — wspólnych naszych koneksji) — Zygmunt Zaremba „nabierał” mnie, na temat *Józka*, w obecności gen. Bora-Komorowskiego. Na co gen. Bór, spontanicznie, z inteligentnym uśmiechem: — „Cyrankiewicz? Bardzo miły człowiek!”.

Cyrankiewicz i ja kierowaliśmy natomiast, w ciągu kilku lat, nie ZNMS lecz „Akademickim Związkiem Pacyfistów” i, skądinąd, „Akademickim Kołem Miłośników Dramatu”. O tym „Związku Pacyfistów” tyle już jednak wszystkiego w omawianej gawędzie (poza marginesową wzmianką o której potem), że endecy przyszli blokować wejście do sali na (urządzony przez AZP) wykład prof. Szymanowskiego z Warszawy, „sztandarowego pacyfisty i na dobitkę ateisty”, lecz zostali zmieceni przez robotników. Z przyjemną puentą, jak często u Bielatowicza, gdy odetchnąwszy po wysiłkach *ad maiorem endecorum gloriam*, podchwytuje i po ludzku, z uśmiechem glossuje „krótkie spięcia”, ale też: tylko z takiej wyłącznie perspektywy, tzn. uczestnika nieudanej blokady... przed wejściem. Czy dużo mógł widzieć lub usłyszeć? Zauważmy więc, że do działaczy „Akademickiego Związku Pacyfistów” w latach trzydziestych należeli m. in.: Janina Bogucka, Krystyna Markówna, Feliks Bocheński, Wojciech Natanson, Feliks Gross, Karol Estreicher, Józef Krzyżanowski, Michał Patkaniowski Jan Topiński, Kazimierz Ginwił-Piotrowski, Włodzimierz F. Marcinkowski, Tadeusz Pietsch, Jerzy Górski, Andrzej Banach, Stanisław Urbańczyk, Stanisław Dobrowolski, Bieliński. AZP delegował stale stagierów do Międzynarodowego Biura Pracy (BIT) w Genewie (fundacja min. Sokala), protestował — grubo przed dojściem Hitlera do władzy w Niemczech — przeciw antypolskiej licytacji uprawianej przez niemiecką pravicę „klasyczną” i hitleryzm; jeszcze w sam przeddzień dojścia Hitlera do władzy podejmował niemieckich pacyfistów katolickich, którzy jasno i z odwagą występowali przeciw drapieżnym tendencjom ich rodaków. Od chwili dojścia Hitlera do władzy i pożaru Reichstagu, nie ustawał w demaskowaniu wojennych przygotowań Hitlera, co spowodowało wymyślanie nam od „wojennych podżegaczy”. Nie tu miejsce wdawać się w liczne inicjatywy AZP. Ponieważ bardzo przemawia mi jednak do przekonania sugestia Bielatowicza mówienia o ówczesnej młodzieży akademickiej „w tonie *umiarkowanej* apologii”, jakże — choćby dla przykładu — nie wspomnieć długiej i uporczywej kampanii AZP w obronie męczzonego (i wkrótce zamęczonego) przez rząd hitlerowski (i to właśnie za jego walkę przeciw anty-polskim zamysłom) Karola Ossietzky’ego? O kampanii, prowadzonej przeciwko haniebnie wrogiej znowie zarówno większości (bo nie wszystkich) kół pro-rządowych jak prawicy. Równocześnie (zawsze bardzo tłumne!) zebrania AZP były — w ciągu wielu lat — rodzajem parlamentu, w którego dyskusjach wypowiadali się, *bez żadnych ograniczeń*, mówcy wszystkich kierunków.

Ponieważ nie tylko przywilejem ale nawet zaleceniem gawędy bywa pisać o tym przeważnie, co autor sam widział i to tak właś-

nie jak widział, nie wypominam mu tych deformacji *par omission* tytułem zarzutu. Chcę jedynie zauważyć, że na skutek zdeterminowanej optyki, wiele spraw musiał i mógł widzieć tylko bardzo ułamkowo i tylko bardzo osobiście.

Dotyczy to zresztą nie tylko wyżej wymienionych, lecz nie-endeckich stowarzyszeń w ogóle, więc również organizacji pro-rządowych (czyli — oprócz wzmiankowanej już „Myśli Mocarstwowej” — także Związku Strzeleckiego, Związku Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych). Bliższego komentarza doprasza się nade wszystko zwycięstwo endeków (wspartych „206 głosami *ad hoc* zapisanych... studentów teologii”) w wyborach do „aryjskiego” Bratniaka, w r. 1937. Powstrzymuję się tutaj od tego komentarza (mimo, że bardzo mnie on korci!) tylko dlatego, by któregoś z ówczesnych (ale trzeźwych i szczerych, a nie koniunkturalnych) piśsudczyków zostawić możliwość wytłumaczenia, jak to właśnie *przeciwko nim* wsparła wtedy endeków oficjalna i rozjuszona propaganda rządu: „laurowa i ciemna”.



Przejdźmy do „wielkich zebrań publicznych, przeważnie w sali Kopernika, urządzanych (...) dla studentów i publiczności kulturalnej Krakowa”. Że i tutaj najwięcej miejsca poświęcił autor Kołu Polonistów (dlatego, że opanowane przez endeków i z tytułu własnej w nim działalności), jego dobre prawo. Gorzej, gdy za pomocą niewinnych międzywierszy sugeruje, jakoby wspomniane wyżej zebrania „urządzane były *głównie*, choć nie wyłącznie, przez Koło Polonistów”, albo — na innym miejscu — że „improm Koła Polonistów w duchu narodowym przeciwstawiała lewica wieczory, urządzane czasem (?) przez Związek Pacyfistów a czasem (?) przez Koło Przyjaciół Dramatu Klasycznego”. Prawda i praktyka była tymczasem taka, że wieczory dyskusyjne zarówno Związku Pacyfistów, jak Koła Dramatu odbywały się, zyskując ogromną popularność, na długo zanim Koło Polonistów zaczęło im „przeciwstawiać” itd. Na domiar: podczas gdy *tego typu* zebrania Koło Polonistów urządzało tylko *sporadycznie*, każdy z dwóch wymienionych związków urządzał je z reguły co tydzień. Należy przy tym podkreślić, że w imprezach Koła Miłośników Dramatu wielość stanowisk reprezentowanych *każdorazowo* przez prelegentów oraz absolutna swoboda w dyskusji były *nigdy nienaruszoną* regułą. Bardzo duża ilość tych systematycznie urządzanych wieczorów, niezrównana frekwencja jaką się one cieszyły, okoliczność że przedmiotem ich bywały z jednej strony wszystkie kontrowersyjne tematy literackie dnia, z drugiej strony wszystkie liczące się premiery teatru, fakt że w dyskusjach tych uczestniczyli stale

teatralni recenzenci i autorzy, malarze i krytycy, reżyserzy i aktorzy, wszystko to sprawiało, że wieczory Miłośników Dramatu długo stanowiły jedną z najruchliwszych manifestacji i atrakcji „Kra-kowa żywego”. Do czego należy dodać imprezy „Litartu”, który (obok tradycyjnych rewii autorskich) organizował także wieczory dyskusyjne i to na tej samej zasadzie dopuszczania do głosu wszystkich opinii.

A teraz porównajmy: 1) By podkreślić, że „Młodzież Wszechpolska” organizowała nie tylko burdy antyżydowskie, ale demonstrowała również przeciw polityce przyjaźni z hitleryzmem, autor gawędy wspomina burzliwy pochód z kukłami Becka i Hitlera. W którym to było roku? Dopiero w 1938. 2) Jako szczytowe osiągnięcie opanowanego przez endeków (co prawda, to prawda!) Koła Polonistów, wymienia autor wielkie zebranie poświęcone „współczesnym prądom ideowym młodzieży”. Zgoda: wieczór był ciekawy i na dobrym poziomie. Ileż jednak toż samo Koło urządziło podobnych zebrań „na zasadzie poszanowania cudzych przekonań i wysłuchania credo mówców w spokoju”? Półtora. No, powiedzmy: dwa.

Mimo, że endecy („Młodzież Wszechpolska”) zajmują całe proscenium tej części jego wspomnień, autor gawędy jedynie rzadko, wręcz wyjątkowo nazywa ich po imieniu. Wierny taktycznemu idiomowi swego stronnictwa woli z uporem mówić o „młodzieży narodowej”. Konwencja? Zapewne. Tyle, że w sformułowaniach — rodzi ona istne perły. Taką np., między innymi, że komitety do wywoływania burd antyżydowskich złożone były „z przedstawicieli młodzieży nie tylko narodowej”. Albo, że „szturm do Bratniaka wykonała koalicja: narodowo — ludowo — śląska”. Nie mówiąc już o tym, że „wielu synów chłopskich garnęło się już to do młodzieży narodowej, już to do organizacji prorządowych”. (Z czego wnioszek — nieprawdaż? — że ani młodzież ludowa ani śląska Chadecja, ani organizacje prorządowe narodowymi już nie były). Chociaż emigranci (4), my, „weterani”, umiemy to rozszyfrować; ale młodszy?

W ładnym ustępie o „zajadłych, długotrwałych polemikach” na wyższym seminarium, mowa znowuż o dwóch „prawie iliadach polonistycznych”, w tym o batalii za i przeciw „literaturze narodowej”. Czytelnik nieświadom tych wzniosłych pseudonimów gotów uwierzyć, że duża liczba ówczesnych polonistów zwalczała za-

(4) Ten mój pobyt na emigracji radbym, przy okazji, zasygnalizować bardzo dyskretnie pani Marii Danilewiczowej, autorce cennego (jak zwykle gdy jej pióra) artykułu „Pod znakiem nauk służebnych” („Kultura”, 1964, nr 5/199). Mimo jej zapewnienia, wygotowana przez nią lista emigrantów, uwzględnionych przez krajowy „Słownik współczesnych pisarzy polskich” wcale nie jest pełna.

cięcie literaturę narodową (bez cudzysłowu), w imię literatury *anty* — lub co najmniej *a-narodowej*. A w rzeczywistości? Chodziło o dyskusję (to prawda, że zajadłą i długotrwałą!) ale za i przeciw kryteriom *rasistowskim*, proklamującym stawienie na indeksie i eksmisję z polskiej twórczości autorów pochodzenia żydowskiego, więc Feldmanów, Leśmianów, Tuwimów, Słonimskich, Wittlinów, Peiperów *et tutti quanti*. To nie to samo.

Podobnie z dyskusją na identyczny temat, w sali Kopernika, na dużym zebraniu publicznym („z natury rzeczy demagogicznym i wiecowym”). Symbolikę tego wieczoru widzi autor (dzisiaj!) w szczególności, że Lechowi Piwowarowi, który (dodajmy tu: jako jeden z wielu) zabrał głos w dyskusji, Jan Rembieliński miał z „wizjonerską” — według autora — pewnością niby oświadczyć, że „czy chce czy nie, i tak nawet na końcu świata wezmą go za Polaka”. Na co — ciągle według tejże wersji — „zrobiło się dziwnie cicho, Piwowar spuścił oczy, Rembieliński nagle spowaźniał. Ciało Piwowara znaleziono parę lat potem w lesie katyńskim”.

Niewdzięczna i przykra to rola rozbijać aż tak tragiczne symbole, na domiar gdy — jak w wypadku Piwowara — chodzi o mego bliskiego przyjaciela. Jakże było jednak naprawdę? Występując przeciw *rasistowskim* tezom prelegentów, Piwowar (i to właśnie dlatego ponieważ mówił do publiczności, która znając go doskonale, wiedziała że nie był Żydem), czyli tytułem przejrzyściej dla wszystkich butady, rzucił że („w takim razie”) jest Żydem. Na co Rembieliński: o tym że Piwowar nie jest Żydem, on wiedział, ponieważ to poznaje się niby po rysach. Tyle. Natomiast cała reszta wersji, więc owa „wizjonerska pewność” i ów podniosłe proroczy styl z tym „nawet na końcu świata”, nagła i „dziwna cisza”, nagłe spuszczenie oczu przez Piwowara i nagła powaga Rembielińskiego, wszystko to wypada już zaliczyć do działalności (na pewno mimowolnie, na pewno nieświadomie, ale też bardzo gruntownie) mitotwórczej. Symbolika śmierci Piwowara? Była, tak, ale inna. W całej grupie „Litartu” właśnie on, dobry i serdecznie lubiany kolega, inteligentny i subtelny poeta, był *jedynym* komunistą. Toż skądinąd (tym razem obok Adama Polewki) w poza-universyteckim gronie przyjaciół-literatów. (Nie był natomiast komunistą Leon Kruczkowski!). Wynikło z tego (o czym Bielatowicz wiedzieć już oczywiście nie mógł) sporo przykrych kwasów i nawet „szykan” w stosunku do Leszka, m.in. w wypadku czasopisma „Albo-Albo”. (5). On, wierny swoim przekonaniom, nie popuścił. W tym zestawieniu tkwi prawdziwa symbolika znalezienia się jego

(5) Nawiasem: tych samych „szykan”, mimo osobistych z nimi znajomości, doznawali Adam Polewka i Marian Czuchnowski. Z perspektywy lat i jego własnych doświadczeń, kochany Czuchnowski na pewno dawno nam już owe „dyskryminacje” sprzed potopu wybaczył.

zwłok wśród męczenników Katynia (a na pewno nie okoliczności, że rasistowskiego *Weltanschauung'u* nie podzielał).

Kilka słów o „zasadzie poszanowania cudzych przekonań i wysłuchania credo mówców w spokoju” (i to — by z góry wykluczyć nawet cień stronnictwa — wyłącznie w oparciu o tekst gawędy). Cytowałem już, jak to endecy usiłowali blokować wejście do sali na odczyt prof. Szymanowskiego. Gdzie indziej mowa znówu o wieczorze („Litartu”) poświęconym Sienkiewiczowi, który to wieczór miał (według autora!) „przebiegać w duchu rewizjonizmu Olgerda Górki”. — „Młodzież narodowa poczuła się obrażona i zmobilizowała na wieczór nie tylko swoje szeregi ale i dobrą kopę jajek. Gdy na katedrę wszedł Leon Kruczkowski, sypnęły się ku niemu owe jajka, mówca zaś nie wypowiedziawszy nawet słowa uszedł z życiem w zrozumiałym popłochu. (...) Wieczór był zerwany”. Czyżby? W rzeczywistości żadne z kilku (a nie „dobrej kopy”) jajek nie dosięgło prelegenta. „Obrażoną” młodzież endecką szybciotko i sprawnie z sali wyrzucono, Kruczkowski wygłosił odczyt przy żywym aplauzie publiczności, dyskusja potoczyła się już bez najmniejszych przeszkód. Poza tym: dlaczego wieczór ów przebiegać miał koniecznie „w duchu rewizjonizmu Olgerda Górki”, o tym wiadomo było nie organizatorom, ale tylko owym (z góry, na wyrost!) „obrażonym” (i specjalnie zmobilizowanym!) demonstrantom. Prelegentami tego wieczoru byli bowiem: prof. Ignacy Chrzanowski (kuzyn i entuzjasta Sienkiewicza!), Kazimierz Czachowski (wcale nie rewizjonista) i Kruczkowski (który mówił co prawda o rewizji, lecz niekoniecznie w duchu Górki). (Cały dalszy ciąg relacji autora, mianowicie o ośmieszeniu demonstrantów w czasie najbliższego zebrania „Koła Miłośników Dramatu” i o triumfie dowcipu nad „linią podziału”, bardzo już wierny).

Odnótował autor incydent, jak na odczycie hitlerowca Koeniga (mnie została w pamięci analogiczna demonstracja socjalistów na odczycie włoskiego ministra Grandi’ego), Cyrankiewicz wręczył prelegentowi wiązankę czerwonych róż z prośbą o złożenie ich na grobie pomordowanych socjalistów. Cyrankiewiczowi bukietem zamknęto usta, raniąc go kolcami, i wyrzucono za drzwi. Ponieważ Bielatowicz okazał z nim solidarność, i on „wyleciał na korytarz tym samym trybem, gdzie zaraz przystąpił do wymówek, że róże były tylko czerwone i że porządnie rozbijać zebrania potrafią tylko narodowcy. A socjaliści nie powinni się sami do tego zabierać”. Dowcipne, kwituję. Tyle, że socjaliści wcale rozbijać zebrań nie mieli zamiaru. (Nie idzie się rozbijać hiper-troskliwie obwarowanego zebrania w pojedynkę, z różami!). Chodziło natomiast o godną, i dlatego tak właśnie a nie inaczej, uplanowaną demonstrację. Która się udała: w wypadku Grandi’ego, nawet IKC opisał,

jak to „dostojny gość”, nie tracąc rzekomo kontenansu, wyjął pieniądze by z miejsca zamówić różę na grób zamordowanych... w Polsce... faszystów. Co wywołało sporo, ale bardzo „dostojnemu gościowi” ubliżających, komentarzy.

Wracając do młodzieży endeckiej: 1) chociaż na tej samej zapewne „zasadzie poszanowania cudzych przekonań i wysłuchania w milczeniu” etc., „obrażała” się ona częściej (i zawsze z góry na wyrost!), 2) nie udało się jej — w ciągu tych wszystkich lat — zerwać *ani jednego* z zebrań „Związku Pacyfistów”, „Koła Dramatu” czy „Litartu”.



I tym razem nie tytułem zarzutu, ponieważ chodzi o dopuszczalne w gawędzie *licencje*: do miłej wiatrologii należy określenie, jakoby „Litart” pozostawiał „pod patronatem (!) Peipera i Kurka” (wzięło się ono chyba stąd, że w polemikach na wyższym seminarium prof. Pigionia, kilku litartowców broniło z temperamentem peiperowskiej awangardy). Mimo, że w gawędzie nazwisko Peipera pojawia się (mylnie!) również w związku z publicznymi wieczorami dyskusyjnymi lewicy, w rzeczywistości — w ciągu tych wszystkich lat — odbył się wszystkiego jeden wieczór (autorski a nie dyskusyjny) Peipera: bardzo udany, w odkrywczej recytacji nieodżałowanego Władysława Woźnika, ale też tylko jeden jedyny. Dalej: szereg nazwisk, cytowanych przez autora w związku z „Litartem”, nigdy do „Litartu” nie należało. Należeli w zamian do niego inni (Władysław Bodnicki, J.A. Frasik, L. Piwowar, St. Piętaś itd.), wymienieni w odmiennych konstatacjach. Podobna (i dopuszczalna w gawędzie, przynaję) *zorganizowana konfuzja* w ustępach o innych grupach, np. „Naszego Wyrazu”. Do komitetu redakcyjnego tego pisma należeli: Helena Wielowiejska, Zofia Wielowiejska, Amelia Śreniawa, Kornel Filipowicz, Władysław Bodnicki, Zygmunt Fijas, Józef Sroga i Michał Chmielowiec. Dlaczego więc „paniczykowski komitet”, skoro kilka wierszy wcześniej ci sami Filipowicz, Bodnicki, Fijas, występują jako „ośrodek o wyraźnym zabarwieniu lewicowym”, zato na odmianę „pod patronatem” Polewki, Kruczkowskiego i Zegadłowicza (autor adoruje — widać — imaginacyjne patronaty!)? I skoro już mowa o pismach, dlaczego żadnej nawet wzmianki (by wspomnieć tylko literacko-artystyczno-społeczne) o „Gazecie Artystów” i „Tygodniku Artystów” (*jedyne*, które mogłyby usprawiedliwić pojawienie się w tekście gawędy referencji do Domu Artystów i do teatru eksperymentalnego „Cricot”), ani — skądinąd — o *najbardziej określonym* „Albo-Albo”?



Odwoływanie profesorów w wyniku Jędrzejewiczowskiej reformy, to jedna sprawa. Za to próba przedstawienia akurat „Młodzieży Wszechpolskiej” jako szermierza w boju o... wolność nauki...

Przemaalowanie (nawet gdy trudno zmywalną farbą) nazwy ulicy Gołębiej na nazwę Alkazar było, jako „wyczyn”, raczej łatwusiękie. Za to ów zachwyt nad świętym gen. Franco i nad zaprawiającą się w Hiszpanii — do ataku na Polskę — hitlerowską *Luftwaffe*...

Tak samo łatwutkim wyczynem było „doroczne niszczenie gablotki Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa” przez endeków. Ci ostatni mieli programową skłonność do rozbijania szyb, to i tę (przez nikogo niestrzeżoną) gablotkę rozbijali. Co to miało jednak wspólnego z opozycją między socjalistami a endekami na U.J.? (6).

Na koniec, krótko, o zaburzeniach antyżydowskich, sprawie (zgoda!) „niewdzięcznej i na ogół smutnej”, której „nie można jednak pominąć, pisząc o klimacie tamtoczesnego okresu”. — „Młodzież — formułuje autor — domagała się, owszem, *numerus clausus* dla studentów żydowskich, co jednakże bynajmniej nie miało charakteru dyskryminacji rasowej”. Zrozumie, kto potrafi. — „Okrzyk towarzyszący *eksmisji* studentów żydowskich brzmiał wcale nie *bij Żyda*, lecz przeciwnie: *nie bić*!” Toteż „gwałtownie, lecz bez żadnego bestialstwa” usuwano — ciągle według tejże wersji — aż dwóch Żydów (których autor potrafi na domiar wymienić nawet po nazwisku!). Miało to podobno w zasadzie trwać jeden dzień, a jeśli się i dłużyło (ku głębokiemu ubolewaniu organizatorów?), to tylko na skutek wystąpień tej złośliwej policji, „szczególnie jeśli rektorowie słabszej ręki zbyt pośpiesznie zamykali uczelnie”. (I to wszystko, wyobraźcie sobie, z powodu tych aż dwóch Żydów, usuwanych „gwałtownie, lecz bez żadnego bestialstwa”!).

Jak się to stało, że w ciągu wielu lat swego pobytu na U.J. autor żadnego — i to bestialsko! — pobitego Żyda nie dowiedział, nie wiem. Ja widziałem ich wielu. Do czego („pisząc w tonie umiarkowanej apologii”) należałoby koniecznie dodać pewną ilość pobitych nie-Żydów, którzy usiłowali napadniętym Żydom przyjść z pomocą. Tudzież, od czasu do czasu, innych jeszcze i

(6) „Świadome Macierzyństwo” nie miało żadnego związku z U.J. Przewodniczył temu Towarzystwu red. Ludwik Szczepański (były założyciel młodopolskiego „Życia”, które przeszło do historii literatury polskiej), asystowany przez znanego dziennikarza Tommanka, przez lekarzy dr Helenę Szlak-pak, dr Ślączkową, dr. Mieczysława Steinbacha i innych. Żadna z tych osób nie była ani studentem ani socjalistą.

Bogu-ducha winnych „aryjczyków”, pomyłkowo za Żydów — *in Gehitze des Gefechtes* — wziętych.

Tylko z okazji wybitych szyb wzmiankował autor „szynk Goldmana, na przeciw Collegium Novum”: „Któregoś roku podobno syn tego szynkarza uderzył w twarz kolegę medyka. Stąd odwet na interesie ojca, oczywiście (!?) ubezpieczonego”. Owo „oczywiście” takiemu jak ja ignorantowi (w sprawie szynku Goldmana i jego ubezpieczeń) musi zaimponować. Dużo mniej imponuje mi podobnie sielankowa relacja z wcale niesielankowego wypadku. Goldman, *ale śpiesząc w obronie napadniętych i pobitych kolegów-Żydów*, rzeczywiście uderzył innego medyka. Na co endecy zorganizowali wielodniową serię obłążeń mieszkania Goldmanów, obłążeń które — mimo interwencji policji — zakończyły się *śmiercią medyka Goldmana*. O tym trupie, w relacji, *oczywiście* ani słowa: zakłóciłby sielankę.

Dużo za to i z wigorem o występach policji przeciw bojówkarzom. W sumie taki obraz: żadnego studenta-Żyda nigdy nie prawdziwie złego na U.J. ze strony endeckich bojówkarzy nie spotkało, natomiast wielkimi męczennikami corocznie jesiennych (a w późniejszych latach już nie tylko jesiennych) manewrów byli endeccy bojówkarze.

Na pochwałę autora zapisuję: czytając owe stronicę, odnosi się (nie wiem czy słuszne) uczucie, że z podtekstu (i to właśnie przez tę *zmudną* gładkość sformułowań!) przebija grube zażenowanie.



Wszystkie te uwagi o zaburzeniach w „optyce” odnoszą się — przypominam — do bardzo niewielkiej tylko części omawianej publikacji. Całą resztę gawędy pochwaliłem szeroko na początku niniejszego artykułu. Tej całej reszty szczerze Bielatowiczowi gratuluję.

Michał Maksymilian BORWICZ

Nadeślane nowości wydawnicze

- WARSZAWSKI (Józef ks., T. J.). *Mickiewicz uczniem Sarbiewskiego*. Str. 527 i 1 nlb. z ilustracjami oraz indeksem nazwisk i miejscowości. Rzym, 1964, cena 5000 lit. lub 8 dol.).
- ROMANOWICZOWA (Zofia). *Szkłana kula*. Str. 177 i 7 nlb. (Wyd. „Libella”, Paryż, 1964, cena F. 10).
- WIENIEWSKI (Ignacy). *Antycznym szlakiem*. Studia i szkice. Przedmowa Pawła Hostowca. Ilustracje i obwoluta: Irena Ludwig. Str. 207 i 1 nlb. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn, czerwiec, 1964, cena 20 sh.).
- PAWŁOWICZ (Bohdan). *Krew na Oceanie*. Kartki z pamiętnika w konwoju do Rosji. Str. 169 i 7 nlb. (Wyd. Fregata Publ., New York, 1955).
- BROMKE (Romualda). *Rymy moje*. Poezje. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Polskie Two Literackie, Londyn, 1964).
- PARNICKI (Teodor). *Nowa baśń*. T. III: Labirynt. Ilustr. Danuta Staszewska. Str. 334 i 2 nlb. (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1964 cena 30 zł.).
- List trzydziestu czterech*. Głosy i komentarze. W opr. Juliana Krzeczowskiego. Str. 110 i 2 nlb. (Nakł. Związku Dziennikarzy R.P., Londyn, czerwiec, 1964).
- DZIEDUSZYCKI (Tadeusz). *Koniec dezercji kresowego rycerstwa na rzecz tyłowego kupiectwa*. Str. 16. (Londyn, 1964).
- I *Dywizja Pancerna*. Zarys historii wojennej. Zestawił płk dypl. Antoni Grudziński. Powielacz. Str. 177. (Nr. specjalny „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej, Londyn, kwiecień-czerwiec 1964, nr 34 tomu V, cena 6 sh.).
- SLIŻYŃSKI (Bronisław M.). *Polinae Millenium*. Aspekt biologiczny. Str. 16. (Nakł. Koła Przyrodników im. M. Kopernika w Edynburgu, Edynburg 1964).
- BUCZEWSKI (Zenon). *Scouts of Poland*. Powielacz. Str. 19 i 1 nlb. (Wyd. autor, Kitimat, B.C., Kanada, 1964).
- OSSOWSKI (Stanisław). *Class structure in the social consciousness*. Translated from the Polish by Sheila Patterson. Str. 202. Indeks. (Wyd. The Free Press of Glencoe, New York, 1963).
- GINTER (Maria). *Life in both hands*. The personal story of a heroine of the Polish Resistance. Str. 254 i 2 nlb. Ilustracje autorki. (Wyd. Hodder and Stoughton Ltd., London, lipiec 1964, cena 25 sh.).
- LEC (Stanisław Jerzy). *Neue unfrisierte Gedanken*. Aphorismen. Przekład Karl von Dedecius. 4 rysunki Daniela Mroza. Str. 64. (Wyd. Carl Hanser Verlag, München 1964. Cena egz.: broszura 4,60 DM., w płóc. okł. 5,80 DM.).
- Bibliography of works by Polish scholars and scientists published outside Poland in languages other than Polish* Compiled by Maria DANILEWICZ and Jadwiga NOWAK. Tom I: 1939-1962 (Pozycje 1-4011) oraz Indeks nazwisk. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Polskie Two Naukowe na obczyźnie, Londyn, 1964).
- LEWYTTZKYJ (Borys). *Sowjetische Geschichtsschreibung im Dienst des Chauvinismus*. Str. 1-18 w dodatku do organu Bundestagu „Das Parlament” Bonn, 5 sierpień 1964).
- LEWYTTZKYJ (Borys). *Un problema nel problema: la nazionalita in URSS*. Str. 37-48 w „Critica d'oggi” nr 29/30, Rzym.
- Zeszyty do historii Narodowych Sił Zbrojnych*. Zeszyt III. Str. 103. Powielacz, Chicago, 1964).

Listy do Redakcji

Lüneburg, 31 lipca 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W Flensburgu — Republika Federalna — ma być wszczęte dochodzenie celem ustalenia w jakim stopniu w czasie Powstania Warszawskiego oddziały SS-Gruppenführera Reinefartha były winne rozstrzelania w dniu 5.8.1944 o godz. 9-tej rano w Warszawie na Woli, osób cywilnych nie biorących udziału w Powstaniu.

Poszukuje się świadków tych wypadków, którzy byliby gotowi złożyć swoje zeznania bądź przed niemieckimi przedstawicielami dyplomatycznymi, bądź chcieliby ewentualnie przyjechać do Republiki Federalnej aby świadczyć osobiście.

W związku z tym proszę, aby ewentualni świadkowie zwrócili się z krótkim opisem swoim przeżyć do:

Dr Hanns von KRANNHALS

314 Lüneburg

Heinrich Heine Strasse 39,

a dalsze kroki zostaną przedsiębiorzone.

Z wysokim poważaniem.

Dr H. von KRANNHALS



Griffith, N.S.W., 15 lipca 1964 r.

W „Kulturze” z kwietnia br. znajduję interesującą wiadomość o sobie, mnie samemu nieznaną. Mianowicie, na str. 142, w „nieoficjalnej a rozszerzonej wersji” wykazu członków Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, czytamy: „JASIŃSKI, Zbigniew, delegat Związku na Australię, bardzo tam czynny. Do nas dochodzą pogłosy”.

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie jest instytucją niewątpliwie pożyteczną i potrzebną, choćby dlatego, że rzadcy mecenas literatury mogą użyć go sobie jako skarbonki na datki, z których powstają cenne nagrody literackie. I na tym, zdaje się, kończy się aktywność Związku. Czy Związek żyje życiem bujnym a wspaniałym, czy też dogorywa — nie wiem, bo Związek nie ma zwyczaju przysyłania komunikatów o swej działalności swym uboższemu krewnym z australijskiej prowincji. Kiedyś głowiłem się nad kwestią, w jaki sposób odbywają się wybory do władz Związku? Co się dzieje z głosami takimi jak mój? Martwe dusze, tylko od płacenia składek?...

Kilka lat temu, w momencie słabości, posłałem Związkowi czek, pokrywając nim swe składki członkowskie NA LAT SIEDEM Z GÓRY. Jestem święcie przekonany, że takiego drugiego wariata nie ma w całym Związku. Tymczasem... kol. Napoleon Sądek, dzierżąc funkcję skarbnika, przysłał mi

srogie upomnienie o uiszczenie takowych. Był to jedyny komunikat Związku, innych nie otrzymuję. Czekam więc na nowe upomnienie: jeśli nadejdzie uiszczyć się nowym czekiem na lat siedem z góry, by było jeszcze ciszej.

Nie, nie jestem „delegatem Związku na Australię”. Nawet gdyby powierzono mi tak zaszczytną funkcję, coś ja mógłbym począć z nią — w Australii? Gdzie i w ogóle przed kim, wobec kogo można by Związek reprezentować — w Australii?

Stwierdzam uroczyście, że zarówno w Australii jak poza Australią jestem reprezentantem tylko jednej instytucji i żadnej innej. Jest nią „Jednosobowy Związek Rodaków w Griffith (pod hasłem „W Jedności Siła!”)”. Jak to zwykle bywa wśród Polaków, czasem się z sobą kłócimy (ja z Jasińskim, a Jasiński ze mną), na ogół jednak dochodzi do uzgodnienia różnic. Czyżby właśnie to było źródłem owych „pogłosów”, dochodzących do autora informacji, podanej w „Kulturze”?...

Serdecznie pozdrowienia łączę do wyrazów poważania.

Zbigniew JASIŃSKI

Drogi Panie Redaktorze!

Ze zdumieniem przeczytałem list p. Bronisława Kamińskiego-Durocher w numerze 7/201-8/202 „Kultury”. Mimo mego wyjaśnienia, że zarówno „Gog” jak „Libro Nero” są *fikcją*, że żaden czytelnik Papiniego nigdy nie tylko nie mógł wierzyć, ale w intencji autora nie powinien być wierzyć w istnienie amerykańskiego miliardera Goga, w jego korespondencję z Papinim, w autentyczność jego rozmów z Hitlerem, Mołotowem czy Picassem, p. Kamiński-Durocher ośmiela się twierdzić że „prawdopodobnie nigdy spór o autentyczność tego tekstu nie zostanie wyjaśniony”. Żadnego „sporu o autentyczność” nigdy oczywiście nie było. Jeśli „spowiedź Picassa” była publikowana na Zachodzie jako autentyk, to, podobnie jak w Polsce, dzięki nieuczciwości dziennikarzy i ignorancji redakcji — i tu i tam w celu zdyskredytowania sztuki nowoczesnej i w obronie akademizmów burżuazyjnych czy soc.-realistycznych. Gdyby p. Kamiński-Durocher oświadczył, że nigdy Papiniego nie czytał, że padł ofiarą nieuczciwości tego, który pierwszy sfabrykował to ordynarne fałszerstwo i puścił je do prasy zachodniej, nie miałbym do niego żadnej pretensji.

Niestety p. Kamiński-Durocher nadal sieje zamęt dając do zrozumienia, że jest to mimo wszystko wypowiedź samego Picassa. Trudno mi wobec tego uwierzyć że działał wyłącznie w obronie „walorów narodowych”, mimo że powołuje się na Chopina, Moniuszkę, Szymanowskiego, Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Gierzyńskiego, Chęłmońskiego, Wyspiańskiego...

K. A. JELEŃSKI

Guebwiller, dnia 7.7.64. r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W czerwcowym numerze Kultury p. Zbyszewski w artykule pt. „Wspólny Rynek a Europa Wschodnia” podkreśla między innymi katastrofalny stan polskiego eksportu do Francji. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że Polska nie posiada lub nie produkuje nic by móc rzucić na francuski rynek.

Pan Zbyszewski dodaje, że Niemcy Zachodnie i Włosi importują z Polski więcej niż Francja. Z tym się zgadzam. Pomimo wszystkiego należy postawić pytanie dlaczego tak jest. Pytanie to jest zupełnie proste. Francja, a ściślej mówiąc francuskie przepisy czy manipulacje celne, utrudniają wszel-import.

W praktyce wygląda to następująco:

Założmy, że mam towar, którego wartość wynosi 1000 F. Jeżeli cło na dany towar wynosi np. 15% to powinien płacić 150 F cła i koniec na tym.	
Praktycznie płaci się 15% cła	150,00 F
2% od uiszczanego cła (150)	3,00 F
Dalej płaci się 25% T.V.O. od 1150 (1000 + 150)	287,50 F
2% podatku od wartości towaru	2,00 F

Zamiast 15% cła płaci się nie 150 F ale dosłownie 442,00 F

Należy pamiętać, że przy artykułach elektrotechnicznych, przy wyrobach skórzanym, przy przyrządach optycznych, i w ogóle przy towarach określanych przez „speców” z ministerstwa finansów jako luksus, płaci się podatek w wysokości 33% a nie 25%. Z reguły cło we Francji wynosi 40 — 50%. Na wędliny z Polski nakłada się 3,60 na 1 kg.

Dodam, że te manipulacje ukrytego cła stosuje się również do krajów „szóstki”. Nie wiem czy ci tego nie widzą lub czy nie chcą widzieć.

Po takich operacjach importowany towar drożeje już o blisko połowę. Wszystko to obija się na cenach detalicznych. Znane jest nam wszystkim, że Polacy sprzedają za granicą swoje towary b. tanio. W wypadku francuskim napotyka się na silne bariery celne i trudno w takim wypadku zwiększyć obroty. Z chęci zwiększenia obrotów handlowych z Francji nie można przecież oddać towaru za zwykłe „Bóg zapłać”.

Francja importuje, niestety, minimum produktów niezbędnych. W W. Brytanii można kupić np. smakołyki (inne produkty też) z całego świata. Francuskie sklepy są zaopatrzone z reguły w towary krajowego wyrobu. Towary zagraniczne, które podlegają ocenie trzeba dosłownie przepłacać.

Szkodę ponosi wyłącznie klient. Po pierwsze dlatego, że życzonych sobie rzeczy nie znajduje. Po drugie francuscy wytwórcy uzgadniają ceny i stale je podnoszą. Konkurencji praktycznie nie ma.

Załączam wyrazy szacunku i poważania.

Henryk NOCH



Berkeley, 22 lipca 1964

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym zwrócić uwagę na mały błąd w liście p. M.K. Dziewanowskiego (str. 237). Otóż Dymitr Mereżkowski nigdy nie był laureatem Nobla. Był „konkurentem” Bunina, ale nagrody nie dostał, a dostał ją Bunin. W emigracyjnym świecie emigracji rosyjskiej w Paryżu głośne było w swoim czasie niezadowolenie i zawiść Mereżkowskiego, czy może raczej jego żony Zinaidy Gippius. Nawiasem mówiąc Bunin był jedynym laureatem Nobla, który dostał i przyjął nagrodę, wśród pisarzy rosyjskich.

Wyrazy szacunku i serdeczne wyrazy łączę.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Québec, 25 lipca 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście do Redakcji (*Kultura*, 201-2, s. 240) p. Zadembski krytykuje zdanie przytoczone przez p. Mieroszewskiego — „You are a foreigner, are you not?”. Otóż zdanie to jest najzupełniej poprawne, podobnie jak i zdanie „Yes, I am Polish”, choć bardziej charakterystyczne dla potocznej rozmowy byłyby skróty „aren't” i „I'm”. Natomiast „You are a foreigner, are not you” (podkr. moje) to nie po angielsku. „I am Polish” znaczy „Jestem Polakiem” podobnie jak mniej potoczne „I am a Pole”, które również nie zaspokoiliby rozmówcy p. Mieroszewskiego.

Niedokładnościami gramatycznymi grzeszy wiele cytat obcojęzycznych w *Kulturze* i gdzie indziej (wiele, ale nie wszystkie, jak widać z powyższego), bo snobizm cytowania z języka, którego się nie zna dostatecznie jest rzeczą bardzo ludzką, ale najczęściej są to niedokładności drobne i nieistotne, więc niechże *Kultura* oszczędzając miejsca na swych łamach ignoruje takie poprawki. Natomiast niewczesnych poprawiaczy trzeba pouczać.

Łączę wyrazy szacunku.

Roman RETMAN

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHLswick 1860

Wydawca : INSTITUT LITTÉRAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant : Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3^e trimestre 1964

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8ª Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do rabcyia w redakcji « KULTURY » i w Ksiegiarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiakzowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonz-zerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CI

JAN BIELATOWICZ

GAUDE MATER POLONIA

G a w ę d a

Wspomnienie o Uniwersytecie Jagiellońskim

Str. 80

Cena 7 F (10 sh. 6 d.; dol. 1,50)



TOM CII

STANISŁAW MACKIEWICZ

POLITYKA BECKA

Str. 188

Cena egz. 12 F (18 sh.; \$ 2,50)



WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM II

Ukazał się w sierpniu rb. i został rozesłany subskrybentom.
Str. 440